

**Juliusz Verne**

**Pięć tygodni w balonie**

**Pięć tygodni w balonie**

**ROZDZIAŁ I**

Na posiedzeniu Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, w dniu 14 stycznia 1864 roku, zebrali się bardzo liczni słuchacze. Prezes Francis M. w mowie, często przerywanej oklaskami, oznajmił swoim kolegom ważną wiadomość.

Pomiędzy innymi powiedział:

- Anglia po wsze czasy przodowała wszystkim narodom w dziedzinie odkryć geograficznych (oklaski). Doktor Fergusson, niewątpliwie nie zaprzeczy, iż jest Anglikiem (głosy: nie! nie!).

Projekt jego, jeżeli zostanie urzeczywistnionym, przyczyni się do uzupełnienia rozproszonych i niezbyt dokładnych wiadomości o kartologii Afrykańskiej, a gdyby nawet nie udał się, to i wówczas zadziwi świat cały i zaliczony będzie do najśmielszych przedsięwzięć ducha ludzkiego! (przeciągłe okrzyki zadowolenia).

- Hura! hura! - krzyczało zachwycone tymi słowy towarzystwo.

- Niech żyje nieustraszony Fergusson! - zawołał jeden z roznamiętnionych słuchaczy.

Rozległy się ożywione okrzyki. Nazwisko Fergussona wymawiane było przez wszystkich.

W sali posiedzeń zapanował niepamiętny od dawna krzyk i hałas.

Wśród słuchaczy znajdowali się starzy, odważni podróżnicy, którzy niejednokrotnie zwiedzili wszystkie pięć części świata; nie obce im były katastrofy okrętowe, pożary na statkach, tomahawki Indian, rozmaite narzędzia tortur, pale Polinezyjczyków, apetyt ludożerców itp.; pomimo to nie mogli opanować wzruszenia. Chyba żaden z mówców w Królewskim Towarzystwie Geograficznym nie wywołał takiego wrażenia, jak Francis M.

W Anglii zapał nie kończy się na objawach zadowolenia i uznania; na tym samym bowiem posiedzeniu uchwalono udzielenie Fergussonowi znacznej zapomogi pieniężnej, mianowicie 2500 funtów szterlingów.

Jeden z członków zgromadzenia zapytał prezesa, czy dr. Fergusson będzie zebrany przedstawiony.

- Jeżeli panowie sobie życzycie, może to nastąpić natychmiast - odpowiedział Francis M.

- Niechaj przyjdzie! - wołano. - Człowieka tak odważnego warto zobaczyć!

- Być może, że ten Fergusson wcale nie istnieje - odezwał się jeden z niedowiarków.

- Trzeba go wówczas wynaleźć - odpowiedział pewien dowcipniś. Aby położyć kres uwagom i

komentarzom, Francis M. polecił woźnemu wprowadzić do sali Fergussona, który niebawem się ukazał.

Rozległy się okrzyki zapału i powitania.

Przybyły był to mężczyzna lat około czterdziestu, średniego wzrostu i takiejże tuszy. Twarz jego zaczerwieniona wskazywała sangwiczny temperament; miał regularne rysy twarzy, nos dość długi, a spokojny i inteligentny wyraz oczu nadawał jego fizjonomii wiele powabu.

Ręce miał długie, a z postawy nóg sądzić było można, że nieraz odbywał dalekie piesze wycieczki.

Z całej osoby wiał spokój i powaga, nikt nie mógł przypuścić, ujrawszy go, iż ukrywał jakieś złe zamiary.

Okrzyki: hura! wciąż się wzmagały i dopiero wówczas ustały, gdy doktor dał znak, iż chce przemówić.

Wszedł na katedrę i, podniósłszy wskazujący palec ku niebiosom, otworzył usta, wypowiadając jedno, jedyne słowo:

"Excelsior".

Jeden z marynarzy, który poprzednio odnosił się z niedowierzaniem względem doktora, zmienił obecnie swe zdanie i żądał ogłoszenia w całości mowy Fergussona w Sprawozdaniach Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie.

Kim był ten doktor i jakiemu mianowicie przedsięwzięciu miał się poświęcić?

Ojciec Fergussona, odważny kapitan marynarki angielskiej, od dzieciństwa zaznajamiał syna z niebezpieczeństwem i przygodami swego powołania.

Dziecko, które nie zaznało nigdy obaw i trwogi, bardzo wczesnie zdradzało umysł bystry i zadziwiająca skłonność do nauk, umiało też sobie radzić w najtrudniejszych okolicznościach życiowych.

Jak tylko zaczął czytać, oddawał się z zapałem lekturze o odważnych podróżach, badaniach morza i odkryciach, które wślawiły połowę XIX stulecia.

Marzył o zdobyczach osiągniętych przez Bruce'a, Caille'a, Levillant'a, Selkirk'a, Robinsona Crusoe, którego sławę uważał za nie mniejszą od poprzednich. Ile przyjemnych chwil spędził

na jego wyspie Juan Fernandez. Często pochwalał projekty opuszczonego majtka, nieraz jednak poddawał ścisłemu rozbiorowi zamiary i projekty tegoż. Byłby w niektórych okolicznościach postąpił inaczej; może zrobiłby to lub owo lepiej, ale nigdy by nie opuścił tej wyspy, na której czułby się szczęśliwym; nawet wówczas nie opuściłby jej, gdyby go chciano zamianować lordem admiralicji

Ojciec Fergussona, człowiek wykształcony, nie zabraniał synowi czytać, ale jednocześnie kształcił go poważnie, zaznajamiając z hydrografią, fizyką i mechaniką, oraz ogólnymi zasadami botaniki, medycyny i astronomii.

Gdy czcigodny kapitan zakończył życie, Samuel, liczący podówczas dwadzieścia dwa lata, odbył już podróż naokoło świata. Zapisał się do oddziału inżynierów i odznaczył się niejednokrotnie. Życie obozowe nie przypadło mu jednak do gustu, podał się też niebawem do dymisji i udał się polując i botanizując na północ półwyspu indyjskiego. Przebył pieszo przestrzeń z Kalkuty do Suraty, stamtąd powędrował do Australii, w 1845 roku przyjmował

udział w wyprawie kapitana Stuarda do wnętrza Nowej Holandii. W roku 1850 powrócił do Anglii i, nie mogąc zagrać miejsca, towarzyszył ekspedycji kapitana Mac-Clare, mającej na celu zbadanie wybrzeży kontynentu Ameryki od zatoki Berynga do przylądka Faravell.

Trudy podróży i zmiany klimatyczne zupełnie nań nie oddziaływały; mógł całymi dniami nie jeść, a nocami nie sypiać; wszystko znosił odważnie i mężnie i nigdy z ust jego nie wyszły słowa skargi lub żalu.

Nie zadziwimy się przeto, iż niestrudzonego podróżnika znowu znajdziemy w podróży po zachodnim Tybecie (1855-1857) w towarzystwie braci Schlaginweit.

Podczas tych rozmaitych wycieczek Fergusson był jednym z najgorliwszych korespondentów dziennika "Daily Telegraph", mającego kilka milionów czytelników.

Znano wszędzie naszego doktora, chociaż nie był członkiem żadnego instytutu naukowego, ani też klubu podróżniczego.

Fergusson trzymał się z dala od wszelkich towarzystw, należał do ludzi, którzy walczą czynami, a nie słowami; wolał czas swój poświęcić badaniom i odkryciom, niż nudnym posiedzeniom towarzystw.

Poznawszy charakter i usposobienie Fergussona, nie zadziwią się czytelnicy, widząc, z jakim spokojem przyjmował on dowody uznania Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

Nie mógł on wcale zrozumieć, dlaczego się unoszono tak nad jego zamiarami.

Po zamknięciu posiedzenia w tryumfie zaprowadzono doktora do Travellerklubu, gdzie wyprawiono wspaniałą ucztę. Liczne wnoszono toasty na cześć wielkich podróżników, wsławionych naukowymi odkryciami, wreszcie na cześć Fergussona, który zamierzał

uzupełnić szereg odkryć w Afryce.

## **ROZDZIAŁ II**

Nazajutrz ogłosił "Daily Telegraph" artykuł treści następującej: "Tajemnicze wnętrza Afryki nareszcie będzie zbadane, tegoczesny Edyp rozwikłał tę zagadkę, której nie potrafili rozwiązać uczeni w ciągu sześciu wieków. Niegdyś uważano odszukanie źródeł Nilu jako przedsięwzięcie niemożliwe do wykonania.

Doktor Barth podążył po wytkniętej przez Denhama i Clapertona drodze aż do Sudanu, Dr.

Livingstone czynił śmiało wyprawy od przylądka Dobrej Nadziei aż do rzeki Zambezi; kapitan Burton i Speke zbadali wielkie międzymorze, nie wniknął jednak nikt do wnętrza Afryki; w tym więc kierunku winny być teraz zwrócone usiłowania podróżników i badaczy.

Prace tych nieustraszonych pionierów wiedzy będą obecnie uzupełnione przez doktora Fergussona.

Podróżnik ten i badacz, którego opisy czytelnicy nasi z takim zajęciem odczytywali, powziął myśl odbycia podróży balonem przez całą Afrykę, dążąc ze Wschodu na Zachód.

Wedle naszych informacji, puści się on w podróż z Zanzibaru. Propozycja dotycząca tej naukowej wyprawy, uczynioną została wczoraj urzędownie na posiedzeniu Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, które ją przyjęło i jednocześnie wyznaczyło 2500 funt. szterl.

na pokrycie kosztów wyprawy.

Nie omieszkamy czytelników naszych szczegółowo zawiadamiać o przebiegu zadziwiającej tej podróży, o jakiej dotąd nie wspominają roczniki odkryć geograficznych."

Artykuł powyższy, jak było do przewidzenia, wywołał wstrząsające wrażenie.

W odpowiedzi na zawiadomienie "Daily Telegraph" posypały się artykuły różnych czasopism, pomiędzy innymi w "Bulletins de la société Geographique", ośmieszający Królewskie Towarzystwo Geograficzne, Travellerklub i cały projekt Dr. Fergussona.

Natomiast pan Peterman, w swoim miesięczniku "Mittheilungen", wychodzącym w Gotha, stanął w obronie doktora, znając tegoż osobiście i jego niestrudzoną odwagę.

Wkrótce też wszelkie wątpliwości zostały usunięte, gdyż przygotowania do podróży odbywały się systematycznie; budowano balon, a rząd Wielkiej Brytanii oddał do dyspozycji doktora okręt transportowy "The Resolute", z kapitanem Pennet.

Liczne porobiono zakłady nie tylko w Londynie, ale i w całej Anglii, a mianowicie: Czy Dr.

Fergusson w ogóle istnieje? Czy podróż podobna może być odbyta? Czy doktor powróci z tej wyprawy lub nie?

Zakładano się o znaczne sumy, jak gdyby chodziło o wielką wygraną na torze wyścigowym.

Oczy wszystkich były zwrócone na Fergussona, uważano go za bohatera dnia, chociaż on sam nie miał pojęcia, iż nim się tak zajmowano.

Udzielał chętnie każdemu szczegółów dotyczących wyprawy, gdyż należał do ludzi prostych i przystępnych. Zjawiali się doń liczni awanturnicy, chcący przyjąć udział w wyprawie, ale tym stanowczo odmawiał, nie podając powodów odmowy. Zgłaszali się również wynalazcy rozmaitych

mechanizmów z prośbą zastosowania ich systemu przy kierowaniu balonem, lecz i tych grzecznie z niczem odprawiał, a gdy go pytano, czy w tym względzie sam coś wynalazł, nie udzielał stanowczej odpowiedzi.

### ROZDZIAŁ III

Doktor Fergusson miał przyjaciela, który, chociaż różnił się z nim pod wieloma względami, zwłaszcza usposobieniem, wszelako panowało pomiędzy nimi powinowactwo ducha i serca.

Dick Kennedy, tak się nazywał ów przyjaciel, był Szkotem w całym tego słowa znaczeniu: otwarty, stanowczy, o niezłomnej woli.

Mieszkał w małym miasteczku Leith, w pobliżu Edyburgu, zajmował się rybołówstwem, nie zaniebując ulubionego polowania, czemu się wreszcie dziwić nie można, bo był prawdziwym dzieckiem Kaledonii, przyzwyczajonym większą część życia spędzać w górach.

Znano go też powszechnie jako wybornego strzelca.

Fizjonomia Kennedy'ego przypominała twarz Halberta Glendininga, opisaną przez Waltera Scotta w powieści p.t. "Klasztor". Był zgrabny, posiadał siłę herkulesową, opaloną twarz, ożywione czarne oczy; w ogóle robił na pierwszy rzut oka bardzo przyjemne wrażenie.

Przyjaciele zapoznali się w Indiach, służąc w jednym pułku; Dick z zamiłowaniem polował na tygrysy i słonie, Samuel zaś oddawał się badaniom roślin i owadów; rezultaty osiągnięte przez obojgu były bardzo pomyślne. Przyjaźń młodych ludzi niczem nie została zamąconą; losy rozdzielały ich wprawdzie od czasu do czasu, ale sympatia znowuż łączyła.

Po powrocie do Anglii często się rozłączali z powodu wypraw przedsięwziętych przez doktora, który jednakże za powrotem nie omieszkwał zawsze parę tygodni przepędzić u swego przyjaciela.

Dick gawędził wówczas o przeszłości, a Samuel poruszał projekty przyszłości; jeden patrzył wstecz, drugi w dal.

Po przybyciu z Tybetu doktor przez dwa lata nie wspominał o nowych podróżach i Dick cieszył się nadzieją, że jego upodobania do podróży i przygód zostały wreszcie zaspokojone.

Myśl ta napawała go rozkoszą. Kennedy domagał się od przyjaciela, aby zaniechał raz na zawsze podróży, zaznaczając, iż dla wiedzy dość już pracował, a dla ludzkości nawet za wiele.

Fergusson wówczas nie odpowiadał, był wciąż zamyślony, nie sypiał po nocach, robiąc doświadczenia z rozmaitymi maszynami, niewiadomego użytku. Z tego wszystkiego widocznym było, że kiełkowała w mózgowicy jego myśl jakaś.

Nad czym mógł on tak rozmyślać i pracować? zapytywał siebie Kennedy, gdy przyjaciel jego w

styczniu opuścił go i przeniósł się do Londynu.

Odpowiedź na to pytanie znalazł następnego dnia w zaznaczonym już przez nas artykule

"Daily Telegraph".

- Litościwy Boże! - zawołał - ten człowiek zwariował!

Przebyć Afrykę balonem! - A więc o tym myślał przez dwa ostatnie lata!

Te i temu podobne wykrzyki wydawał Dick, uderzając się pięścią w czoło - wzruszenie jego nie miało granic.

Gdy stara jego przyjaciółka, pani Elżbieta, zwróciła uwagę, że cały ten projekt może polegać na mistyfikacji, odpowiedział żywo:

- Głupstwo! znam przecie Samuela, projekt taki mógł tylko powstać w jego głowie. Puścić się balonem, bujać w powietrzu! zazdrościć ptakom!

Nie! z tego nic nie będzie! postaram się temu przeszkodzić! Jeśli mu się tym razem nie stawi przeszkod, któż zaręczy, iż pewnego pięknego poranku nie puści się w podróż na księżyc!

Jeszcze tego samego wieczora wzburzony i zaniepokojony wsiadł do wagonu kolei żelaznej i następnego dnia rano stanął w Londynie. Niebawem po przybyciu do stolicy, fiakr zawiózł go przed mały domek doktora, położony przy ulicy Soho Square Greck. Wszedł do przedsionka i przybycie swe zwiastował silnym uderzeniem we drzwi, które niebawem otworzył Fergusson.

- Dick? - zawołał doktor, nie wyrażając wielkiego zdziwienia.

- Tak, to ja - odpowiedział Kennedy.

- Czyś przybył na polowanie do Londynu? Cóż cię tu sprowadza?

- Zamiar popełnienia przez kogoś wielkiego głupstwa, któremu chcę przeszkodzić.

- Głupstwa?

- Czy wiadomość podana w tej oto gazecie jest prawdziwą? - zawołał Kennedy, pokazując numer "Daily Telegraph".

- Więc o tym mówisz? te dzienniki muszą zaraz wszystko wypaplać, ale usiądź, kochany Dicku.

- Nie, nie usiądę! - powiedz mi, czy w istocie masz zamiar odbycia tej podróży?

- Tak, stanowczo, przygotowania są w pełnym biegu, ja... - Gdzie się odbywają te przygotowania? jakem Dick, zniszczę je doszczętnie!

Zacny Szkot wpadał w coraz większy gniew i wciąż powtarzał: - zniszczę, stanowczo zniszczę!

- Uspokój się kochany przyjacielu - mówił doktor - pojmuję bardzo dobrze twoje rozjątrzenie, gniewasz się zapewne na mnie, iż cię nie zawiadomiłem przedtem o moich nowych projektach.

- On to nazywa nowymi projektami!

- Daję ci słowo, że byłem bardzo zajęty - ciągnął dalej Samuel - w ostatnich czasach tyle miałem roboty, pomimo to jednak nie wyjechałbym przed napisaniem do ciebie...

- Nic mi na tym nie zależy!...

- Ponieważ mam zamiar zabrać cię ze sobą...

Szkot spojrział na doktora niedowierzająco i rzekł:

- Więc tak! - mówisz pewnie o tym, że udamy się obydwaj do Bedlam!...

- Liczyłem na ciebie na pewno i wybrałem też na współtowarzysza podróży, odrzucając licznych amatorów.

Kennedy struchlał ze zdziwienia.

- Gdybyś mnie zechciał przez dziesięć minut uważnie posłuchać, byłbym ci wdzięczny! - rzekł doktor.

- Czy mówisz serio?

- Zupełnie serio!

- A jeżeli się nie zgodzę ci towarzyszyć?

- Tego nie uczynisz!

- Jeżeli jednak stanowczo odmówię?

- Wówczas udam się sam.

- Siadajmy - powiedział Dick i pomówmy spokojnie.

- Z chwilą, gdy się przekonałem, że nie żartujesz, możemy rzecz tę szczegółowo omówić.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, Dicku, możemy przy gawędce zjeść śniadanie?

Przyjaciele zasiedli do stołu, zajmując miejsca naprzeciwko siebie.

- Kochany Samuelu plan twój jest szalony, o wykonaniu jego nawet myśleć nie można, jest on wprost



niemożliwy!

- Tak stanowcze zdanie, będziemy mogli wypowiedzieć dopiero po zrobieniu próby.

- Ale chodzi o to, by i tej próby nie robić.

- Powiedz dlaczego?

- Pomyśl o niebezpieczeństwach, najrozmaitszych przeszkodach!

- Przeszkody istnieją dlatego, aby ich zwalczać, co się zaś tyczy niebezpieczeństw, to któż im się nie naraża? Wszystko w życiu przedstawia niebezpieczeństwo! Największe nieszczęście może się zdarzyć nawet i wtedy, gdy siedzimy za stołem, lub nawet wówczas, gdy kładziemy kapelusz na głowę. Powinniśmy prócz tego uznać, że wszystko co było, znowuż będzie, że przyszłość jest tylko oddaloną nieco teraźniejszością.

- Znam twoje przekonania - wtrącił Kennedy, ruszając ramionami - jesteś fatalistą.

- Zawsze nim pozostanę, ale nie zajmujmy się tym, jaka nas czeka dola, lecz kierujmy się przysłowiem angielskim: "Kto ma wisieć, nie utonie".

Nie było co na to odpowiedzieć, Kennedy wszakże nie zaniedbał całego szeregu argumentów, których wyliczanie za daleko by nas zaprowadziło. - Czemu jednakże nie chcesz - zakończył

Dick po całogodzinnej, ożywionej rozprawie - pójść śladem zwykłych śmiertelników, którzy przed tobą zwiedzili Afrykę, jeżeli już szczęście twoje zależy od tej wyprawy?

- Czemu? - zawołał doktor w uniesieniu, dlatego, że wszystkie dotąd czynione próby spełzły na niczem, dlatego, że od czasu zabójstwa Munga Parka nad Nigrem aż do chwili zniknięcia Vogla w Wadai, śmierci Oudneja i Klappertona w Murmur i Sakatu aż do Maizana, który został poćwiartowany, majora Lainga który zginął z rąk Tauregów aż do zamordowania Roschera z Hamburga, liczne ofiary przybyły do tej listy męczenników afrykańskich! Dlatego również, że jest to niemożliwym wobec żywiołów, głodu, pragnienia i febry; wobec dzikich zwierząt i jeszcze dzikszych plemion, dlatego więc, gdzie jednym sposobem dotrzeć nie można, trzeba próbować innych i tam, gdzie prostą drogą dojść nie może, należy ją obejść, lub przejść po nad nią.

- Gdybyż tylko chodziło o to, żeby przejść po nad nią, wtrącił Kennedy, ależ ty chcesz po nad nią przefrunąć!

- A więc - ciągnął dalej doktor ze spokojem - czegoż mam się obawiać? Postarałem się o to, aby uniknąć spadku balonu, gdyby jednak mój statek powietrzny mnie zawiódł, wówczas znajdę się na ziemi w tych samych warunkach, co i moi poprzednicy w swoich wyprawach odkrywczych. Lecz nie, balon mój się ostoi, na to możemy śmiało liczyć.

- Przeciwnie, na to liczyć nie powinniśmy.

- Ależ tak, kochany Dicku; nie myślę rozstać się z moim statkiem powietrznym aż do chwili dotarcia

do zachodniego brzegu Afryki. Z moim balonem wszystko możebne, bez niego padnę ofiarą niebezpieczeństw i naturalnych przeszkód tego rodzaju wypraw. Siedząc w balonie, kpię sobie z upałów, burz, samumu, niezdrowego powietrza; ani dzikie zwierzęta, ani ludzie nie mogą się do mnie przyczepić. Gdy mi będzie za gorąco, podniosę się wyżej, gdy za zimno, opuszczę się. Poprzez góry i przeпаście przefrunę, przez rzeki i potoki przemknę się jak ptak, a gdy burze zobaczę, uniosę się ponad nią. Posuwam się bez wysiłków; wznoszę się ponad miasta i przebiegam z szybkością orkanu; przed oczyma moimi roztacza się karta Afryki w wielkim atlasie świata.

Kennedy został oczarowany widokiem roztoczonego przed nim obrazu, zdawało mu się, że unosi się już w przestworzach, co go przyprawiło o zawrót głowy; patrzył na Samuela z podziwem i troską.

- Po tym wszystkim, coś mi tu opowiedział, mój Samuele, zapytuję, czyś wynalazł pewny sposób kierowania balonem?

- Nie, gdyż to jest niemożliwym

- Więc, kierujesz się?...

- Opatrznością. W każdym razie ze wschodu na zachód, gdyż zamierzam posługiwać się passatami, mającymi stały kierunek.

- O tak - rzekł Kennedy - passaty... na pewno... można w ostateczności... czy to możliwe?...

- Czy możliwe? - mój kochany przyjacielu, to pewne. Rząd angielski oddał do mojego rozporządzenia okręt, a nadto postanowiono, aby 3 lub 4 okręty krążyły nad wybrzeżem zachodnim. Najpóźniej za trzy miesiące udam się do Zanzibaru, aby napełnić balon i stamtąd uniesiemy się w przestworza...

- My! - zawołał Dick.

- Czy masz jeszcze co do nadmienienia? Słucham cię przyjacielu.

- Bardzo wiele, pomiędzy innymi objaśnij mi, czy ubytek gazu przy zatrzymaniu się w miejscowościach, które chcesz zwiedzić, nie zaszkodzi ci w dalszej podróży? O ile wiem, była to przyczyna nieudania się dotąd wszelkich dalekich podróży balonem.

- Kochany Dicku, odpowiem ci na to jednym słowem... Będę się zatrzymywał, nie tracąc ani jednego atomu gazu.

- I pomimo to będziesz mógł unosić się i opuszczać dowolnie? Jakimże to sposobem?

- To moja tajemnica, przyjacielu, ufaj mi, a hasłem naszym niechaj będzie: "Excelsior!"

- A więc niech będzie "Excelsior" - odpowiedział myśliwiec, nie rozumiejąc ani słowa po łacinie.

Kennedy był zdecydowany opierać się wszelkimi siłami wyjazdowi przyjaciela, udawał

jednak chwilowo, że dał się przekonać i postanowił obserwować postępowanie doktora, który energicznie zajął się przygotowaniem do wyprawy.

## ROZDZIAŁ IV

Linia powietrzna nie była przez doktora Fergussona wybraną przypadkowo. Czynił on długotrwałe studia nad punktem, z którego powinien się być wznieść i po długiej rozwadze wybrał Zanzibar, miejscowość położoną na wschodnim wybrzeżu Afryki pod 6° południowej szerokości, tj około 430 mil geograficznych na południe od równika. Stąd również wyszła ostatnia ekspedycja, wysłana dla odkrycia źródeł Nilu.

Fergusson zajmował się gorliwie przygotowaniem do podróży i pod jego osobistym kierunkiem był budowany balon, którego przeznaczenie zachowywał w tajemnicy. Pracował

również gorliwie nad przyswojeniem sobie języka arabskiego i różnych narzeczy i wkrótce uczynił w tym względzie znaczne postępy.

Dick Kennedy przez cały ten czas go nie opuszczał, jak gdyby obawiał się, iż mu się cichaczem wymknie w przestworza. Starał się także perswazją odwieść przyjaciela od jego niebezpiecznych zamiarów, udawał się nawet do czułych próśb i zaklęć, ale doktor był

niewzruszony.

Biedny Szkot godzien był politowania, dreszcze go przejmowały, gdy wznosił oczy na horyzont. Podczas snu uczuwał jakieś zawrotne kołysania i każdej nocy zdawało mu się, że spada z niezmierzonej wysokości.

Musimy jeszcze dodać, że w tym czasie wyleciał kilka razy z łóżka i pierwszą jego czynnością następnego ranka było pokazanie Fergussonowi siniaków, których się nabawił.

- Patrz, uważaj, taki siniak po upadku z trzech stóp wysokości, teraz proszę cię rozważ, gdyby...

Ponure te przypuszczenia nie robiły żadnego na doktorze wrażenia.

- Nie spadniemy! - odpowiadał stanowczo.

- Jednak to możliwe!

- Powtarzam, że nie spadniemy!

Na tak stanowcze oświadczenie Dick nic nie odpowiedział. Najwięcej go jednak niepokoiło nadużywanie przez Fergussona w rozmowie liczby mnogiej. Mówił on: Będziemy gotowi tego a tego dnia... Wyruszymy w drogę... Stąd wzniesiemy się... itd. Nie wyrażał się też inaczej, jak nasz balon, nasz statek, nasze wyprawy odkrywcze, nasze przygotowania, nasze wloty. Na tę liczbę mnogą, skóra cierpła na biednym Szkocie, pomimo, iż był stanowczo zdecydowanym, nie brać udziału w podróży. Nie mógł się jednak sprzeciwić przyjacielowi i dodajmy, iż sprowadził z Edynburgu odzież odpowiednią do podróży.

Pewnego dnia oznajmił doktorowi, iż przy nadzwyczajnie sprzyjających warunkach szanse udania się wyprawy gotów przyjąć jako jedną na tysiąc, przytoczył jednak zaraz, chcąc usunąć podróż w daleką przeszłość, całą litanię różnych niebezpieczeństw.

Zastanawiał się nad tym, czy ekspedycja jest pożyteczną, czy odkrycie źródeł Nilu jest w samej rzeczy konieczne?... Czy można będzie powiedzieć, że pracowało się dla szczęścia ludzkości?... Czy plemiona Afryki, obdarzone cywilizacją, będą przez to szczęśliwsze?... Czy w ogóle ma się pewność, że cywilizacja stoi tam na niższym stopniu, niż w Europie? Czy nie warto by wyprawy jeszcze odłożyć? Prawdopodobnie w przyszłości będą odkryte praktyczniejsze i mniej życiu grożące sposoby podróżowania po Afryce. Kto wie, może to już nastąpi po upływie miesiąca lub pół roku: po roku jednak ręczyć można za to, że pewien odkrywca wpadnie na tę myśl szczęśliwą...

Uwagi te wywołały niespodziewany skutek, doktor zniecierpliwił się.

- Czy naprawdę Dicku, ty fałszywy przyjacielu, pragnąłbyś aby chwała ta przypadła w udziale komu innemu? Czy mam zadać kłam całej mojej przeszłości? Przestraszyć się trudności, będących do zwalczenia? Podłym zwlekaniem wynagrodzić rząd angielski i Towarzystwo Geograficzne za to, co dla mnie uczyniły?

- Ależ... - zaczął na nowo Kennedy.

- Ależ - odpowiedział doktor - czy ty nie wiesz, że podróż moja już natrafia na współzawodnictwo? Już inni odkrywcy gotują się do wyprawy do środkowej Afryki!

Kennedy milczał.

## **ROZDZIAŁ V**

Fergusson miał bardzo gorliwego służącego, imieniem Joe. Rzetelny, duszą i ciałem był

oddany swemu panu. Wykonywał rozkazy, nie rozumiejąc ich nawet, nie był nigdy mrukliwym, ani rozgniewanym; jednym słowem był to wymarzony sługa. Fergusson mógł co do szczegółów swego codziennego życia zupełnie na nim polegać. Tak, to był doskonały, poczciwy Joe. Służący, który zamawia obiad, przyswoiwszy sobie gust swego pana, pakując kuferek, nie zapomina ani koszul, ani skarpetek, posiada klucze i tajemnice swego pana, nie nadużywając ich nigdy. Joe uwielbiał swego chlebodawcę, w jego oczach należał on do ludzi niezwykłych, posiadał też za to zupełne zaufanie doktora. Gdy Fergusson coś powie, twierdził

Joe, tylko głupiec może się sprzeciwić; cokolwiek pomyśli, jest słusznym, co przedsięweźmie, możliwym, a co wykonał, godnym uwielbienia. Można by Joego poćwiartować, coby mu wprawdzie nie sprawiło przyjemności, nigdy jednakże nie odwołałby zdania o swym panu.

Gdy zatem doktor powziął zamiar podróżowania po Afryce balonem, wierny sługa będzie mu towarzyszył, nie ulegało to żadnej wątpliwości dla niego, choć dotąd mowy jeszcze o tym nie było.

Mógł on swemu panu przy sposobności oddać liczne usługi. Gdyby szukano nauczyciela gimnastyki

dla małp w zoologicznym ogrodzie, byłaby to właściwa dla niego posada, ponieważ umiał znakomicie skakać, piąć się, fruwać i wiele innych karkołomnych ćwiczeń.

Jeżeli Fergusson będzie głową, a Kennedy ramieniem tej ekspedycji, wówczas Joe stanie się jej dłonią...

Towarzyszył on swemu panu już w kilku podróżach i posiadał liczne wiadomości w nich zdobyte.

Główną wszakże jego zaletą było doświadczenie życiowe, połączone z różowym sposobem patrzenia na rzeczy; wszystko było dlań logicznym, naturalnym, łatwym, i skutkiem tego skargi i przekleństwa znał ledwie z nazwy. Pośród innych zalet był dalekowidzem. Zaufanie, które pokładał w swoim panu, było źródłem sprzeczek pomiędzy nim a Kennedym, jeden wierzył, drugi wątpił.

Doktor wobec tych sprzeczek pozostawał neutralnym, nie słuchając rad ani jednego ani drugiego.

- A zatem panie Kennedy? - zagaił Joe pewnego dnia rozmowę.

- Czego chcesz, mój chłopcze?

- Zbliża się chwila, sądzę, że wkrótce wyruszymy na księżyc.

- Chcesz zapewne powiedzieć do lądów księżycowych, nie wybieramy się tam wprawdzie, ale pomimo to niebezpieczeństwo pozostaje niemałe!

- Niebezpieczeństwo? - o niebezpieczeństwie mówić nie można, jeżeli się ma z takim człowiekiem do czynienia, jak doktor Fergusson.

- Nie chcę cię wprawdzie pozbawiać tego miłego złudzenia, mój kochany Joe, ale przedsięwzięcie doktora jest po prostu szaleństwem. Zresztą podróż ta nie przyjdzie do skutku.

- Podróż nie przyjdzie do skutku - chyba pan nie widziałeś balonu, który przygotowują w warsztatach panów Mitschel w Londynie. - Będę się strzegł go podziwiać!

- Szkoda, tracisz piękny widok, panie Kennedy, pyszny to budynek, a jaka śliczna łódka, jakże nam dobrze i miło w niej będzie.

- A więc serio masz zamiar towarzyszenia swemu panu?

- To się rozumie - odparł Joe. - Może mam go samego puścić teraz, gdy pół świata z nim razem przebiegłem? Kto go będzie wspierał, kto rękę poda, gdy trzeba będzie przeskoczyć przepaść, a kto pielęgnować, gdy zachoruje? - nie, panie, Joe wykona swój obowiązek, pozostanie na stanowisku.

- Dzielny z ciebie chłopak! - krzyknął Szkot z uznaniem.

- Przecież i pan z nami jedziesz?

- Naturalnie, będę wam towarzyszył aż do ostatniej chwili, aby odwieść od popełnienia wielkiego

głupstwa. Nawet podążę za wami do Zanzibaru, aby zrobić co będzie można, aby przeszkodzić urzeczywistnieniu tego szalonego pomysłu.

- Nie uwłaczając panu, ręczę, że pan nic nie zdoła. Mój pan nie jest takim narwańcem, jak pan sądzisz. Nim coś przedsięwzię, długo się namyśla, ale gdy raz coś postanowi, to sam lucyfer go od tego nie odwiedzie.

- Zobaczmy!

- Nie łudź się pan. Zresztą dużo na tym zależy, abyś nam pan towarzyszył! Afryka jest cudownym krajem dla tak doskonałego jak pan strzelca. Zobaczysz pan, iż nie pożałujesz tej podróży.

- Nie będę żałował; zwłaszcza, gdy ten uparciuch da się przekonać i zostanie.

- Między nami mówiąc, chyba panu wiadomo, iż dziś ma się odbyć ważenie?

- Co takiego?

- Ano, pan doktor, pan i ja, wszyscy trzej musimy się ważyć.

- Jak dżokeje!

- A tak, lecz nie lękaj się pan głodowej kuracji, gdybyś nawet był zbyt ciężkim, zabierzemy, jakim jesteś.

- Nie poddam się ważeniu - oświadczył Szkot stanowczo.

- Ależ, panie Kennedy, to potrzebne do budowy maszyny.

- Niech budują bez ważenia nas.

- A jeśli w braku dokładnych obliczeń nie wzniesiemy się?

- Tego mi właśnie trzeba!

- Przygotuj się pan jednakże, mój pan wnet po nas przyjdzie.

- Ja z nim nie pójdę!

- Tego mu pan chyba nie zrobisz?

- Zrobię!

- Eh! - tak pan mówisz, póki go tu niema, gdy jednak spojrzysz panu w oczy i powie: Dicku, przepraszam za moją śmiałość, muszę koniecznie wiedzieć, ile ważysz, wówczas pan z nami pójdiesz, o zakład idę.

- Nie pójdę!

W tej chwili wszedł doktor do gabinetu, gdzie toczyła się powyższa rozmowa, spojrzął

przeciągle na Kennedy'ego, który jakoś nie był w humorze i rzekł;

- Dicku, chodź zemną, a i ty także Joe, muszę się przekonać, ile wazycie.

- Ależ...

- Kapelusza nie zdejmuj. - Chodź.

I Kennedy poszedł. Udali się do pracowni pp. Mitschel, gdzie waga już była przygotowaną.

Doktor kazał Kennedy'emu stanąć na platformie, co tenże wykonał bez oporu, mruczając tylko:

"no, no, to mnie jeszcze do niczego nie zobowiązuje".

- Sto pięćdziesiąt trzy funty - rzekł doktor, zapisując cyfrę w notatniku.

- Czy jestem za ciężki?

- Broń Boże, panie Kennedy - odrzekł Joe - a zresztą ja jestem lekki, więc zrównoważymy się.

Joe pełen zapału zajął miejsce myśliwego, z pośpiechu o mało nie przewróciwszy wagi.

Następnie przybrał imponującą postawę, jakby Wellington, stojący przy wejściu do Hyde-Parku, który naśladować chciał Apollina, chociaż bez tarczy.

- Sto dwadzieścia funtów - notował doktor.

- Ha, ha - wołał zadowolony Joe.

- Na mnie kolej - rzekł Fergusson i zanotował następnie 135 funtów; - wazymy razem nie więcej nad czterysta funtów.

- Panie doktorze, mogę schudnąć o 20 funtów, jezeli to ma być z korzyścią dla naszej wyprawy.

- Nie trzeba, mój chłopcze, jedz, ile chcesz, masz tu pół korony, abys mógł coś dobrego spożyć.

## **ROZDZIAŁ VI**

Fergusson zajmował się już od dłuższego czasu szczegółami wyprawy. Naturalnie balon, cudowny statek, który go miał nieść po przestworzu, był nade wszystko przedmiotem jego pieczołowitości. Postanowił napełnić balon wodorem, aby nie powiększyć zbytnio jego rozmiarów. Przygotowanie tego gazu jest łatwym, jest on 14 razy lżejszy od powietrza i wyszedł zwyczajnie podczas prób dokonywanych.

Po bardzo ścisłych obliczeniach doszedł doktor do przekonania, że najpotrzebniejsze do wyprawy przedmioty wazyc będą 4000 funtów, a zatem obliczyć trzeba, jak wielką powinna być siła, zdolna

unieść ten ciężar. Ciężar 4000 funtów może być zrównoważony przez ciśnienie przestrzeni powietrznej 44.847 stóp kubicznych, co znaczy, że 44.847 st. kub.

powietrza równa się wadze 4000 funtów.

Jeśli zatem budujemy balon zdolny pomieścić 44.847 st. kub. i zamiast powietrza napełnimy go wodorem, lżejszym 14 1/2 razy, pozostaje różnica w równowadze, wynosząca 3724

funtów.

Ta różnica właśnie stanowi siłę wzlotu balonu. Jeśli napełnimy balon owymi 44.847 st. kub.

gazu, to będzie on pełny; tego jednak się nie robi, bo, wznosząc się w rzadkie warstwy powietrza, gaz się rozszerza i może balon rozsadzić. Doktor postanowił na mocy znanego jemu tylko pomysłu napełnić swój balon tylko do połowy, a że jak nam wiadomo, musiał

zabrać 44.847 st. kub. wodoru, trzeba więc zaopatrzyć balon w podwójną prawie siłę wzlotu.

Kształt balonu miał być podłużny o średnicy poziomej 50, prostopadłej zaś 75 st., otrzymał

zatem sferoid, którego zawartość równała się cyfrze 90.000 st. kub.

Gdyby Fergusson mógł się posługiwać dwoma balonami, widoki pomyślnego rezultatu wyprawy znacznie by się wzmogły. Gdy jeden balon pęka, można posłużyć się drugim, wyrzuciwszy część balastu. Kierowanie jednak dwoma statkami jest bardzo trudnym, jeżeli mają się wznosić jednocześnie. Po dłuższej rozwadze Fergusson, dzięki genialnemu pomysłowi, posłużył się dodatkimi stronami dwóch balonów, pomijając ujemne; zbudował

mianowicie dwa statki powietrzne różnej wielkości i umieścił jeden w drugim. W balonie zewnętrznym o rozmiarze wyżej przytoczonym, mieścił się mniejszy tego samego kształtu o średnicy poziomej 45, a prostopadłej 68 stóp. Zawartość zatem zewnętrznego balonu wynosiła 67 st. kub. Urządzono też klapę, tworzącą komunikację pomiędzy jednym i drugim balonem. Urządzenie to było między innymi dlatego korzystnym, że w razie wypuszczenia gazu w celu spadku balonu, można to było uczynić z większego balonu, a nawet wypróżniwszy go zupełnie, mniejszy balon pozostawał nietkniętym. Można było nawet pozbyć się zupełnie tej zewnętrznej powłoki i rozporządzano wówczas drugim statkiem, który nie stawałby się igraszką wiatrów, jak zwykle na wpół opróżnione balony.

W razie jakiegokolwiek niepomyślnego zdarzenia; jak zaczepienia się, rozdarcia zewnętrznego balonu, drugi pozostawał całym. Obydwa statki były przygotowane z jedwabiu lionńskiego, powleczonego gutaperką, mającą tę zaletę, iż nie podlega zepsuciu pod wpływem gazów, ani kwasu. Powłoka ta była w stanie utrzymywać płyny przez czas nieograniczony, waga jej wynosiła 1/2 funta na 9 st. kwadr. Ponieważ powierzchnia balonu wynosiła około 11.600 st. kwadr., przeto ważyła jego powłoka 650 funtów. Powłoka drugiego balonu, mająca powierzchni 9200 st. kwadr., ważyła 510 funtów; waga całości zatem wynosiła 1160 funtów.



Liny, które utrzymywać miały łódkę, skręcone były z najlepszego gatunku konopi, a obydwie wentylatory, jako też ster łódki były przedmiotem drobiazgowej troskliwości. Łódka była okrągła o średnicy 15 stóp, wyrobiona z trzciny koszykowej, okuta żelazem; pod spodem znajdowały się elastyczne resory w celu zmniejszenia siły uderzenia w razie wypadku. Ciężar jej włącznie z linami nie przynosił 280 funtów. Prócz tego z polecenia doktora przygotowano 4 skrzynie z grubej blachy, połączone między sobą rurami i zaopatrzone w krany; można również było założyć węza gumowego o dwóch nierównych końcach, jeden długości 25, a drugi 15 stóp. Skrzynie dopasowane do rozmiarów łódki, zajęły w niej jak najmniej miejsca.

Wąż gumowy, który miał być użyty później, zapakowano oddzielnie, również silną baterię elektryczną Bunsena, aparat ten tak był dowcipnie złożony, iż nie ważył więcej nad 700

funtów wraz z 25 galonami) wody, znajdującymi się w oddzielnej skrzynce. Instrumenty przeznaczone do podróży, składały się z 2 barometrów, 2 busoli, 1 sekstantu, 2

chronometrów, sztucznego horyzontu, 1 altazymutu (przyrząd do przybliżania odległych przedmiotów). Obserwatorium w Greenwich oddało się na usługi doktora. Ten nie miał

jednak zamiaru robienia doświadczeń fizycznych, chciał się tylko poinformować o ścisłym położeniu rzek, gór i miast. Zaopatrzone zostały również w trzy wypróbowanej dobroci żelazne kotwice, oraz w lekką, 50 stóp długą, jedwabną drabinkę. Fergusson obliczył ściśle wagę swoich zapasów, złożonych z kawy, herbaty, sucharów, solonego i suszonego mięsa, pewnej ilości wódki i 2 skrzyń z wodą, każda po 22 galony Nie zapomniał również o namiocie, o kocach, mających zastąpić pościel, ani o broni, kulach i prochu.

Oto spis ciężarów, mających się znajdować na balonie: Fergusson

135 funtów

Kennedy

153 "

Do przeniesienia

288 "

Z przeniesienia

288 "

Joe

120 "

Waga pierwszego balonu

650 "

Waga drugiego balonu

510 "

Łódka i sznury

180 "

Kotwica i instrumenty,

196 "

broń, koce i namiot

Mięso, suchary, kawa

380 "

i wódka

Balast

200 "

Woda

400 "

Aparat

700 "

Waga gazu

276 "

Razem

4000 "

W taki sposób doktor rozmieścił owe 4000 funtów. Zabierał tylko 200 funtów balastu, na wypadek nieprzewidziany, gdyż ufając w siłę swego aparatu, był przekonany, iż użytkować go nie będzie.

## **ROZDZIAŁ VII**

Dnia 10 lutego przygotowania zbliżały się ku końcowi. Balony włączone jeden w drugi, były zupełnie

gotowe. Wytrzymały silne ciśnienia pędu wiatru, który puszczone w nie dla próby.

Joe rozgorączkowany, z radości nie wiedział co czynić, wiecznie znajdował się na drodze pomiędzy Greckstreet a zakładami braci Mitschell, zawsze czynny, zawsze wesoły, każdemu, kto tylko słuchać był rad, gotów był opowiadać wszelkie szczegóły wyprawy, dumny, że będzie towarzyszył swemu panu.

16 lutego statek "Resoluté", śrubowiec o 800 tonach, zarzucił kotwicę na wysokości Greenwich. Kapitan statku, Pennet, był człowiekiem bardzo miłym, a wyprawą Dr.

Fergussona, którego znał od dawna, zajmował się z wielkim zainteresowaniem.

18 lutego umieszczono balon na spodzie statku pod osobistym nadzorem Fergussona. Do wytworzenia wodoru naładowano na statek 10 beczek kwasu siarczanego i 10 beczek starego żelaza. Aparat do rozwinięcia gazu, składający się z 30 beczek, również umieszczono na spodzie statku. Różnorodne te przygotowania ukończono 18 lutego wieczorem, a wygodnie urządzone kajuty oczekiwały doktora i jego przyjaciela Kennedy'ego. Ten ostatni, pomimo ciągłych przysięg, iż nie pojedzie, udał się jednakże z przyborami myśliwego na pokład.

10 lutego trzech podróżni przybyli na pokład, gdzie ich kapitan i oficerowie przyjęli z wielkimi oznakami wyróżnienia. Doktor był chłodny, jak zazwyczaj, Dick wzburzony, co się zaś tyczy Joego, ten z radości skakał, biegał po całym statku i opowiadał najrozmaitsze dykteryjki.

Zyskał wkrótce miano "wesołego pasażera", polubiono go ogólnie.

20 lutego Królewskie Towarzystwo Geograficzne zaprosiło Fergussona i Kennedy'ego na wielką ucztę pożegnalną. Dowódca statku i oficerowie również uczestniczyli w biesiadzie, bardzo wesołej i obfitującej w toasty dla naszych przyjaciół.

Podczas deseru nadeszło poselstwo od królowej, zasyłała ona podróżnikom pozdrowienia i życzenia pomyślnej wyprawy. Nastąpiły naturalnie toasty na cześć Jej kr. Mości; nareszcie po północy biesiadnicy rozeszli się po rozczulającym pożegnaniu.

Niebawem dowódca statku "Resoluté", oczekującego w pobliżu mostu Westminster, oraz pasażerowie i załoga na łodziach udali się do Greenwich.

O godzinie 11-tej na pokładzie wszyscy już spali.

Dnia 21 lutego z rana o godzinie 3-ciej rozpalono kotły i "Resoluté" poszybował w kierunku ujścia Tamizy.

W czasie podróży doktor miewał formalne wykłady z geografii. Młodzi ludzie interesowali się wielce odkryciami w Afryce, uczynionymi w ciągu 40 lat ostatnich; Fergusson opowiadał

o podróżach Bartha, Burtona, Speke'a, Granta i opisywał im tajemniczy kraj, który obecnie tak żywe budził zajęcie wśród świata naukowego.

Uwaga słuchaczy spotęgowała się jeszcze, gdy Fergusson zaczął opowiadać szczegóły przygotowania do swej podróży; chciano sprawdzić jego obliczenia i rozpoczęto dyskusję, w której żywy przyjął udział.

Przed wszystkim dziwiono się, że Fergusson zabiera taki mały zapas żywności; pewnego dnia jeden z towarzyszy podróży zainteresował go w tym względzie.

- Dziwi to pana? - odrzekł Fergusson. - Jak długo, myślisz pan, będę w drodze?

- Pewnie miesiące?

- Jeżeli tak, to mylisz się; w razie, gdyby podróż się przedłużyła, będziemy zgubieni i nie osiągniemy zamierzonego celu. Przecież wiadomo panu, że od Zanzibaru do wybrzeża Senegalu niema więcej nad 3500 do 4000 mil, jeżeli więc w 12 godzin przebędziemy 240 mil.

tj tyle, ile czasu by potrzebował pociąg naszych kolei i, jeżeli będziemy jechali dniem i nocą, to wystarczy siedem dni do przejazdu Afryki.

- Ale wówczas pan nic nie zobaczysz, nie będziesz mógł robić zdjęć geograficznych, ani też zbadać dokładnie kraju?

- W tym też celu - odpowiedział doktor - zatrzymam się tam, gdzie będę uważał za potrzebne, zwłaszcza wówczas, gdy mi grozić będą silne prądy wietrzne.

- Nie obejdzie się bez tego - odpowiedział Pennet - szaleją niekiedy orkany, które przebiegają w ciągu godziny 240 mil.

- Widzi więc pan - zauważył doktor - że przy takiej szybkości można by Afrykę przejechać w ciągu 12 godzin. Przebudzić się w Zanzibarze, a położyć się spać w Saint-Louis..

- Ale czy balon - zapytał oficer - może szybować, gnany takim wiatrem?

- Tak - odpowiedział Fergusson - zdarzało się to.

- I balon wyszedł bez szwanku?

- Zupełnie.

- Balon być może! ale człowiek - zauważył Kennedy.

- Także! ponieważ balon jest zawsze nieruchomy w stosunku do otaczającego go powietrza; on nie porusza się, lecz masa powietrzna. W ogóle nie zależy mi na robieniu tego rodzaju prób i, jeżeli będę mógł balon mój podczas nocy przytwierdzić do drzewa lub umocować na jakim punkcie powierzchni ziemi, nie omieszkam z tego skorzystać. Jesteśmy zaopatrzeni w żywność na dwa miesiące i nic nie stanie na przeszkodzie naszym dzielnym strzelcom do upolowania dziczy, gdy spuścimy się na ziemię.

- Ach panie Kennedy, będziesz pan miał sposobność wykazania swej zręczności - zauważył

pewien młody majtek, obserwując Szkota z zazdrością.

- Pomijając już to - dodał inny - że połączysz pan przyjemność z wielką sławą, którą pozyskasz.

- Moi panowie - odpowiedział strzelec - jestem wam wdzięczny za oddawane mi pochwały...

ale nie mogę ich przyjąć, gdyż nie pojedę...

- Co! - wołano ze wszech stron - pan nie pojedziesz?

- Nie pojedę!

- Nie chcesz pan towarzyszyć doktorowi?

- Nie tylko to, lecz jestem tu jedynie, aby go w ostatniej chwili powstrzymać od tej wyprawy.

Oczy wszystkich zwróciły się na doktora.

- Nie zważajcie panowie na to, co mój przyjaciel mówi - rzekł ten spokojnie - O wyprawie tej nie można z nim mówić, wie on jednak dobrze, że będzie mi towarzyszył w podróży.

- Przysięgam na mego patrona...

- Nie przysięgaj Dicku, jesteś zmierzony, zważony wraz z twoim prochem, strzelbami i kulami, dopasowany do naszego balonu; nie mówmy o tym więcej.

I w samej rzeczy Dick od dnia tego aż do przybycia do Zanzibaru, nie odezwał się w tej sprawie i w ogóle przez czas ten zachowywał głębokie milczenie.

## **ROZDZIAŁ VIII**

Statek "Resoluté" posuwał się szybko ku Przylądkowi Dobrej Nadziei, powietrze sprzyjało, morze było spokojne. Dnia 31 maja, tj w 27 dni po wyjeździe z Londynu, na horyzoncie ukazała się góra Table, można też było przez lunetę dopatrzeć Capstadt, położony u podnóża amfiteatralnych pagórków i wkrótce "Resoluté" zarzucił w porcie kotwicę. Zatrzymano się tylko na czas bardzo krótki w celu zaopatrzenia się w węgiel, co uskuteczniło w ciągu jednego dnia, a następnego ranka statek skierował się na południe celem dostania się do kanału Mozambickiego.

Nie była to pierwsza podróż morską Joego, niebawem przywykł do życia na pokładzie i wszyscy go też polubili z powodu jego szczeroci i dobrego humoru.

Odblask sławy jego pana padał i na niego, gdy mówił, słuchano go uważnie, jakby wyroczeni.

Podczas gdy doktor nauczał w kajucie oficerskiej, Joe królował na pokładzie. Naturalnie była głównie mowa o podróży balonem. Trudno było Joemu przekonać niedowierzających słuchaczy o możliwości przedsięwzięcia, ale gdy raz tego dokonał, szło już bardzo gładko i opowiadania jego wywierały wstrząsające wrażenie na umysły majtków.

Opowiadał on swoim słuchaczom, że po tej podróży nastąpią liczne inne, że jest to tylko początek całego szeregu znakomitych wypraw.

- Wiecie, moi przyjaciele, że gdy raz się spróbuje podróżowania balonem, nie można się już obejść bez tego rodzaju komunikacji, przy następnej wyprawie zamiast udać się z jednej strony na drugą, puścimy się prosto, wciąż się podnosząc.

- Dobrze! zatem wprost na księżyc - zauważył jeden ze zdumionych słuchaczy.

- Na księżyc? - odparł Joe; - nie, to byłaby podróż za zwyczajna! Na księżyc może się każdy dostać! a wreszcie niema tam wody i należałoby zabierać znaczne zapasy... jak również parę butelek powietrza, potrzebnego do oddychania.

- Czy można tam dostać dżynu? - zapytał jeden z majtków, lubiący wielce ten napój.

- Nie, mój kochany! Nie chodzi nam o księżyc, lecz chcemy krążyć wśród gwiazd, wśród wspaniałych planet, o których mój pan tak często ze mną rozprawiał. Rozpocznijmy naszą wędrówkę od złożenia wizyty Saturnowi.

- Temu, którego otacza taki pierścień? - zapytał gospodarz statku.

- Tak, pierścień ślubny, tylko nie wiadomo, co się stało z jego małżonką.

- Więc tak wysoko się wzniesiecie? - zauważył zdziwiony chłopiec okrętowy. Pan wasz widocznie jest diabłem wcielonym?

- Diabłem? nie, jest on za dobry.

- Więc na Saturna? - zapytał jeden z niecierpliwych słuchaczy.

- Tak na Saturna, naturalnie, później odwiedzimy Jowisza; komiczny to kraj, w którym dnie mają tylko 9 1/2 godziny, bardzo to wygodne dla próżniaków; gdzie rok np. trwa 12 lat, co znowu jest bardzo korzystne dla ludzi którym przeznaczono żyć tylko pół roku. Przedłuża to nieco ich istnienie.

- 12 lat - powtórzył zdumiony chłopiec okrętowy.

- Tak, mój mały, gdybyś się tam urodził, byłbyś niemowlęciem jeszcze, a ten tam stary 50-letni chłopczykiem 4-letnim. - To nie do uwierzenia - zawołali wszyscy słuchacze.

- Istotna prawda - zapewniał gorąco Joe. - Ale jeżeli pozostaniecie na jednym miejscu, nic ze świata nie zobaczycie, niczego się nie nauczycie, mało różnić się będziecie od świnek morskich. Chodźcie na Jowisza, zobaczycie najrozmaitsze cuda; ale trzeba tam zachowywać się przyzwoicie, gdyż posiada on groźną straż przyboczną!

Śmiano się, ale w części wierzono jego słowom; mówił potem o Neptunie, który gościnnie przyjmuje żeglarzy, o Marsie, gdzie zbiegają się wojska wszelkiej broni, co wcale nie jest przyjemnym Co się tyczy Merkurego, to świat tam haniebny, sami złodzieje i kupcy, którzy są tak do siebie podobni, że

ich rozróżnić nie można; wreszcie opisywał Wenus w najpiękniejszych wyrazach.

- A gdy powrócimy z tej wyprawy - mówił Joe - udekorują nas gwiazdą południowego krzyża, który tam u góry świeci.

- I sprawiedliwie nań zasłużycie - odpowiedzieli majtkowie.

Tak mijały wśród ożywionej rozmowy długie godziny na pokładzie, podczas gdy w kajutach oficerskich trwały w dalszym ciągu pouczające wykłady doktora.

Pewnego dnia rozprawiano o kierowaniu balonem i słuchacze usilnie prosili Fergussona, aby wyjawiał w tym względzie swoje zdanie.

- Mniemam - powiedział - że się nie uda wynaleźć sposobu kierowania balonem. Znam wszelkie w tym zakresie próbowane i projektowane systemy, ale żaden nie został uwieńczony rezultatem, przy tym wszystkie są niewykonalne. Pojmujecie panowie, że zajmuję się tą sprawą bardzo gorliwie, ponieważ jest ona nader ważną dla mnie, ale środkami dostarczanymi dotąd przez mechanikę, rozwiązać jej nie mogłem.

Trzeba by wynaleźć poruszającą siłę o niewątpliwej mocy i niemożliwej lekkości i pomimo to nie będzie można walczyć z silnymi prądami powietrznymi. Dotąd wreszcie więcej zajmowano się kierowaniem łodzią niż balonem i na tym właśnie polega błąd.

- Przecież istnieje uderzające podobieństwo - odezwano się - pomiędzy balonem a okrętem, a tym ostatnim można kierować dowolnie.

- Muszę temu zaprzeczyć - odpowiedział doktor. Powietrze jest nieskończenie mniej gęste niż woda, w której okręt zanurza się tylko do połowy, podczas gdy balon w całości unosi się w atmosferze i w stosunku do otaczającej go ciężkości pozostaje nieruchomym.

- Jesteś zatem pan zdania, że aeronautyka już wypowiedziała swoje ostatnie słowo?

- Stanowczo nie! - Jeżeli nie można kierować balonem, to trzeba wynaleźć coś, co by go utrzymywało w korzystnych dlań prądach atmosferycznych. W miarę jak się podnosimy, stają się one więcej jednostajnymi i postępują potem stale w jednym kierunku; nie stawiają im już przeszkód góry i doliny, które pokrywają powierzchnię kuli ziemskiej, a te, jak wiadomo, są główną przyczyną zmian wiatrów i jego nierównomiernej siły. Jeżeli jednak te strefy raz oznaczone będą, to pozostaje tylko balon poddać odpowiedniemu prądowi.

- Ale wówczas - wtrącił kapitan statku - będzie trzeba wznosić się lub opadać, ażeby właściwą strefę osiągnąć. Na tym polega kochany doktorze główna przeszkoda.

- A to dlaczego, kochany panie Pennet?

- Bo byłaby to przeszkoda dla dalekich podróży, ale nie dla spacerów powietrznych.

- Dlaczego?

- Ponieważ balon podnosi się tylko wtedy, jeżeli się wyrzuca balast, a spada ze stratą gazu i że przy tym sposobie zapasy balastu i gazu bardzo prędko by się wyczerpały.

- Kochany Pennecie, to jedyna trudność, którą nauka winna starać się usunąć. Nie chodzi tu o kierowanie balonem, lecz poruszenie go z góry na dół bez utraty gazu.

- Masz pan słuszość, kochany doktorze, ale ta trudność nie została jeszcze usunięta, środki odpowiednie nie wynalezione.

- Przepraszam, wynalezione.

- Przez kogo?

- Przeze mnie

- Przez pana?

- Zechciej pan zrozumieć, że, gdybym ich nie wynalazł, nie mógłbym nawet pomyśleć o tym, aby przejechać Afrykę balonem; w ciągu 24 godzin skończyłaby się moja podróż. -

Dlaczegoż pan o tym przedtem nie wspominałeś?

- Bo nie zależało mi na tym, aby publicznie mówiono o moim wynalazku, uważałem to wreszcie za zbyt cenne.

- A teraz, kochany Fergussonie, czy wyjawisz nam swoją tajemnicę?

- Tak, moi panowie, środek jest bardzo prosty.

Ciekawość słuchaczy była do najwyższego stopnia podrażnioną, gdy doktor ze zwykłym swym spokojem zaczął opowiadać.

## **ROZDZIAŁ IX**

- Próbowano często, moi panowie, dowolnie się unosić w górę i spadać bez utraty gazu i balastu. Francuz Meunier chciał celu tego dopiąć za pomocą zjednoczenia powietrza.

Belgijczyk, doktor van Hecke, za pomocą skrzydeł i biegunów chciał osiągnąć siłę poruszającą się w kierunku prostopadłym, która jednak w większości wypadków okazała się niewystarczającą.

Postanowiłem zatem pominąć wszelkie w tym względzie próby i do kwestii tej przystąpić samodzielnie. Przede wszystkim pomijam w zasadzie balast i zatrzymuję go tylko w ograniczonej ilości na wypadek konieczny, jak np. zepsucia się aparatu, lub możliwości uniesienia się bardzo wysoko celem obejścia przeszkód w drodze.

Środki moje do wznoszenia się i opadania polegają na tym jedynie, że za pomocą rozmaitej temperatury rozszerzam lub zgęszczam zamknięty w balonie gaz i rezultat ten osiągam w sposób



następujący:

Zauważyliście panowie, że wraz z łodzią zapakowano kilka skrzyń, których użytek był wam niewiadomy, a skrzyń tych zabrałem 5 sztuk. Pierwsza zawiera około 25 galonów wody, do której dodaję kilka kropel kwasu siarczanego dla zwiększenia jej wydajności i rozkładam ją za pomocą silnej baterii Bunsena. Woda składa się, jak wiadomo, z dwóch części wodoru i jednej tlenu. Ten ostatni pod działaniem baterii oddziela się, przenikając do drugiej skrzyni.

Trzecia skrzynia, stojąca z wierzchu, o podwójnym dnie, jest przeznaczoną do przyjęcia wodoru.

Krany, z których jeden posiada dwa razy tak wielki otwór aniżeli drugi, łączą obie te skrzynie z czwartą, którą nazwę skrzynią połączenia. Tam bowiem łączą się dwa gazy powstałe z rozdziału wody. Zawartość tej skrzyni połączenia wynosi około 21 st. kub.

Na wierzchu tej skrzyni znajduje się rura platynowa zakończona kranem.

Pojmujecie panowie, że aparat, który wam opisuję, jest zwyczajną dmuchawką tlenowodorową, której ciepłota przewyższa żar w kuźni.

A teraz przystąpię do opisu drugiej części aparatu.

Z mojego hermetycznie zamkniętego balonu wybiegają u dołu dwie pomiędzy sobą małą przestrzenią oddzielone rury, z których jedna wychodzi z górnej, a druga z dolnej warstwy wodoru, napełniającego balon. Rury te spadają aż do łódki i układają się zwinięte w przeznaczoną na ten cel skrzynię żelazną w formie cylindrycznej, która nosi nazwę skrzyni ogrzewalnej. Znacie panowie przeznaczenie piecyka pokojowego i wiecie, jakie jest jego działanie. Powietrze pokojowe przechodzi przez rury i wraca ogrzane; opisany zatem przeze mnie aparat jest niczem innym, jak rodzajem pieca. Jakiż jest więc system tego ogrzewania?

Jeżeli zapalimy dmuchawkę tlenowodorową, to wodór w rurze węzowej się ogrzewa i prędko wznosi się w górną część balonu, pusta przestrzeń rury wypełnia się warstwami niższymi gazu, które również się ogrzewają i w taki sposób w wężu wytwarza się niezmiernie szybki prąd gazu, wciąż ogrzewanego. Wiadomo, że gaz w miarę powiększania temperatury powiększa swoją objętość o  $\frac{1}{480}$  albo 1600 stóp kub.; wyceniam zatem 1674 stóp kub.

powietrza, co siłę wzlotu balonu powiększa o 160 funtów. Zyskuje się ten sam rezultat, jak gdyby wyrzucono balast podobnej ciężkości.

Jeżeli zatem podniosę temperaturę o 180 stopni, powiększam objętość gazu o  $\frac{180}{480}$ , wówczas wyceniam 16.740 stop. kub. i podnoszę siłę wzlotu o 1600 funtów.

Zrozumiecie panowie, że w ten sposób łatwo mi utrzymać równowagę biegu.

Objętość balonu jest tak obliczona, że gdy jest napełniony do połowy, usuwa taką ilość powietrza, ile wynosi waga podróży, łódki i wszelkich innych dodatków.

Balon wtedy utrzymuje równowagę, ani się podnosi, ani opada. Chcąc się podnieść, ogrzewamy za

pomocą tego samego aparatu temperaturę, balon nadyma się i wznosi się w miarę, o ile rozszerzamy wodór. Spadek balonu skutecznia się w ten sposób, że obniżamy żar dmuchawki tlenowodorowej i temperatura się ochładza.

Wzlot balonu da się zatem szybciej skutecznić, niż spadek. Jest to okoliczność pomyślna, gdyż nie mam nigdy na celu prędko spadać, gdy przeciwnie mogę być często w położeniu, gdzie szybkim wzlotem uniknę przeszkód; niebezpieczeństwa mojej wyprawy znajdują się pode mną, a nie nade mną, wreszcie zabieram też pewną ilość balastu, co mi zapewnia możliwość jeszcze szybszego podnoszenia się w razie potrzeby.

Ponieważ mogę zapas wody, stanowiącej mój motor odnowić, spuszczać się na ląd, jestem w stanie podróż przedłużyć do czasu nieokreślonego. Oto cała tajemnica, moi panowie, a że jest bardzo prostą, powinna mi zapewnić powodzenie, jak zwykle rzeczy proste.

Ścieśnianie i rozszerzanie gazu w balonie, oto moje środki, nie wymagające ani sztucznych skrzydeł, ani mechanicznych motorów.

Aparat ogrzewający i dmuchawka tlenowodorowa nie zajmują dużo miejsca, ani też nie są zbyt ciężkie.

Sądzę zatem, iż zjednoczyłem wszystkie warunki, mogące mi zapewnić powodzenie.

Tym zakończył Dr. Fergusson swój wykład, przyjęty ogólnymi oklaskami. Nie można mu było nic zarzucić, wszystko uczony nasz przewidział i obliczył.

- W każdym razie jest to wyprawa niebezpieczna - rzekł kapitan statku.

- Nic to nie znaczy, jeżeli jest tylko wykonalną - odparł lakonicznie Fergusson.

## **ROZDZIAŁ X**

Dzięki sprzyjającemu wiatrowi statek "Resoluté" szybko zbliżał się do miejsca przeznaczenia.

Przeprawa przez kanał Mozambicki szczęśliwie została dokonana. Wszyscy pragnęli jak najprędzej przybyć do celu i współdziałać w przygotowaniach do wyprawy.

Nareszcie z dala ujrzano Zanzibar, położony na wyspie tej samej nazwy i 15 kwietnia, o 11-tej godzinie rano, okręt zarzucił kotwicę.

Zaraz po przybyciu "Resoluté" zjawił się na pokładzie konsul angielski.

- Wątpiłem dotąd - rzekł on, podając rękę doktorowi - lecz teraz już nie wątpię.

Zaofiarował doktorowi, Kennedy'emu, a także Joemu gościnę w swoim domu.

Bagaż trzech podróżnych zostały odniesione do konsula i zajęto się niebawem przygotowaniem do wyprawy.

Z chwilą, gdy rozpoczęto prace około przygotowania balonu do wzlotu, konsul został

zawiadomiony, że ludność wyspy sprzeciwia się temu siłą.

Wiść o przybyciu chrześcijan, zamierzających wznieść się w przestworza, wywołała wzburzenie umysłów, ponieważ negrzy przypuszczali, iż przedsięwzięcie to jest skierowane przeciwko ich religii i wyobrażali sobie, iż chrześcijanie zamierzają stoczyć walkę ze słońcem i księżycem, najwięcej przez nich czczonymi

Postanowiono przeszkodzić wszelkimi siłami tej podróży; konsul, który, jak zaznaczyliśmy, był poinformowany o usposobieniu ludności, zwrócił na to uwagę Fergussona, oraz kapitana Penneta. Kapitan radził nie zwracać uwagi na groźby, lecz Fergusson innego był zdania.

- Nie ulega wątpliwości, że w rezultacie odniesiemy zwycięstwo, ale kochany kapitanie, jak łatwo może się zdarzyć jakiś wypadek! Jeden rzucony kamień, a balon może ponieść poważne uszkodzenie i wyprawa mogłaby być w niwecz obróconą.

Należy nam postępować bardzo ostrożnie.

- Cóż więc robić?

- Wedle mnie najlepiej będzie, gdy przeprawicie się panowie na wyspę, położoną po tamtej stronie portu, każecie balon tam przetransportować i otoczyć się strażą z majtków, wówczas nie będziecie mieli czego się obawiać.

- Wyborna myśl - powiedział doktor - w ten sposób będziemy mogli spokojnie prowadzić nasze przygotowania.

Kapitan zgodził się także na tę radę i "Resoluté" otrzymała rozkaz zbliżenia się do wyspy Kumbeni. Dnia 16 kwietnia w południe umieszczono balon w miejscu bezpiecznym, otoczonym gęstym lasem.

Wkopano w ziemię dwa po 80 stóp wysokie maszty w równej od siebie odległości i za pomocą lin wciągnięto na tę wysokość statek powietrzny.

Nie był on jeszcze wydętym; mniejszy był tak umieszczony w większym, że obydwie można było jednocześnie podnieść. Do każdego była przymocowana rura, przeznaczona do wpuszczania wodoru.

17 kwietnia zabrano się do uporządkowania aparatu, wytwarzającego gaz. Składał się on z 30 beczek, w których osiągnięto rozkład wody za pomocą połączenia żelaza i kwasu siarczanego z dużą ilością wody.

Po oczyszczeniu wodór zgromadził się w ogromnym naczyniu, z którego za pomocą rur dostawał się do balonu. W ten sposób obydwie balony otrzymały ściśle określoną ilość gazu.

Aby wytworzyć pożądaną ilość gazu, trzeba było użyć 1870 galonów kwasu siarczanego, 1650 funtów żelaza i 966 galonów wody. Czynność rozpoczęta następnego dnia około godziny 3-ciej z rana,

trwała osiem godzin. Nazajutrz balon pokryty siatką, unosił się wdzięcznie nad łódką, którą przytrzymały liczne worki z ziemią. Aparat nadymający z największą ostrożnością, spełniał w dalszym ciągu swe zadanie, a rury przewodnie przytwierdzono ściśle do skrzyni cylindrycznej.

Kotwice, liny, instrumenty, koce, namiot, zapasy żywności i broń zostały umieszczone w miejscu przeznaczonym w łódce. Zapas wody sprowadzono z Zanzibaru. 200 funtów balastu rozdzielono w 50 workach i umieszczono w dolnej części łódki.

Przygotowania te ukończono o godz. 5-tej wieczorem, straż czuwała wciąż i łodzie

"Resoluté" okrążyły kanał ze wszystkich stron.

Negrzy nie przestawali się gniewać. Czarnoksiężnicy biegali w jedną i drugą stronę, niektórzy fanatycy zamierzali dotrzeć do wyspy, zostali jednak odparci. Rozpoczęły się zaklęcia czarodziejów, sprowadzające deszczów, którym się zdawało, że mogą rozkazywać obłokom, wzywali na pomoc orkany i deszcze z kamieni, w tym celu zbierali liście rozmaitych drzew, które gotowano na łagodnym ogniu, podczas tego zabijano owcę, przebijając długą igłą jej serce. Pomimo tych ceremonii niebo pozostało jasnym i daremnie zabito owcę.

Około godziny 6-tej wieczorem podróżni po raz ostatni spożywali obiad u stołu dowódcy i jego oficerów. Kennedy, któremu nikt więcej pytań nie zadawał, szeptał po cichu jakby do siebie niezrozumiałe słowa, nie spuszczać wzroku skierowanego wciąż na Fergussona.

Obiad ten w ogóle nie odznaczał się ożywieniem.

Stanowcza chwila zbliżała się, napędzając wszystkich niepokojem.

Jakie losy czekają podróżnych?

Czy kiedykolwiek jeszcze znajdą się u domowego ogniska, wśród swoich przyjaciół? Jeżeli balon ich zawiedzie, co się z nimi stanie wśród dzikich plemion, w tych niezbadanych okolicach, być może, niezmiernych pustyniach? Fergusson zawsze chłodny i spokojny, mówił o tym i owym, usiłował daremnie rozproszyć smutek, który opanował wszystkich.

Ponieważ obawiano się wrogich wystąpień wobec osoby doktora i jego towarzyszy, wszyscy trzej udali się na spoczynek na pokład "Resoluté"; o 6-tej rano opuścili kajuty i udali się na wyspę Kumbeni.

Balon kołysał się lekko pod powiewem wschodniego wiatru. Worki z piaskiem, które go przytrzymały, zostały zastąpione przez 20 majtków.

Kapitan Pennet i oficerowie byli obecni przy uroczystym odjeździe.

W tej chwili Kennedy nagle podszedł do doktora, schwycił go za rękę i rzekł:

- Więc to rzecz postanowiona, Samuelu, ty jedziesz?

- Stanowczo, kochany Dicku!

- Wszak wszystko uczyniłem, aby tej podróży przeszkodzić?

- Tak jest.

- W takim razie mam spokojne sumienie. Będę ci towarzyszył.

- Liczyłem na to - odpowiedział doktor.

Na twarzy jego widać było pewne wzruszenie. Chwila rozstania zbliża się. Kapitan i oficerowie wzruszeni ściskali nieustraszonych przyjaciół, nie wyłączając rozweselonego Joe, każdy z obecnych chciał jeszcze uścisnąć dłoń doktora.

O godzinie 9-tej trzej podróżni zajęli miejsca w łódce, doktor zapalił dmuchawkę tlenowodorową i powiększył płomień celem wywołania prędkiego ogrzania, po czym balon, który na powierzchni ziemi utrzymywał zupełną równowagę, po upływie paru minut począł

się wznosić. Majtkowie puścili trzymane sznury i łódka podniosła się do 20 stóp.

Doktor, stojąc wśród swoich dwóch towarzyszy, zawołał: - Kochani przyjaciele, nadajmy naszemu balonowi nazwę, która mu szczęście przyniesie. Niech się zwie "Victoria". Rozległy się głośnie hura! Niech żyje królowa! Niech żyje Anglia!

W tej chwili wzmogła się siła wzlotu balonu. Fergusson, Kennedy i Joe po raz ostatni przesłali swym przyjaciołom ostatnie pozdrowienie. - Puście sznury! - zawołał doktor i Victoria szybko poszybowała w przestworza.

## **ROZDZIAŁ XI**

Powietrze było spokojne, wiatr umiarkowany. "Victoria" podniosła się do wysokości 1500 stóp, sunąc w kierunku południowo-zachodnim.

Co za wspaniałe widoki roztaczał się przed oczyma podróżnych. Widać było w całości wyspę Zanzibar; pola nabierały w oczach widzów rozmaitych wzorów i wielkie kępy drzew, wskazywały gęste lasy. Mieszkańcy wyspy wydawali się jak maleńkie robaczki. Okrzyki hura i wystrzały armatnie na okręcie powoli milkły w oddali.

- Jakże to wszystko jest piękne! - zawołał Joe, przerywając milczenie.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Doktor zajmował się badaniem barometru i przyglądaniem się różnym zjawiskom towarzyszącym wznoszeniu się balonu. Kennedy spoglądał na dół, nie mogąc się napatrzyć rozmaitym widokom.

Ponieważ promienie słońca oddziaływały na dmuchawkę tlenowodorową, wzrastało napężenie gazu i "Victoria" dosięgła wysokości 2500 stóp. "Resoluté" wyglądała jak zwyczajna barka, a na

zachodzie ukazywało się wybrzeże afrykańskie.

- Dlaczego panowie nic nie mówicie? - zaczął znowu Joe.

- Patrzymy - odpowiedział doktor i skierował lunetę na kontynent.

- Ja nie mogę milczeć, muszę mówić.

- Mów zatem, ile ci się żywcem podoba.

I Joe zaczął wykrzykiwać: O! Ach! ho!

Podczas podróży ponad morzem, doktor uważał za właściwe utrzymywać się na tej wysokości, ponieważ w ten sposób mógł obserwować wybrzeże na większej odległości. Na termometr i barometr, które były umieszczone wewnątrz na wpół otwartego namiotu, wciąż zwracał uwagę, drugi zaś barometr na zewnątrz umieszczony, miał służyć do obserwacji nocnej. Po upływie dwóch godzin "Victoria", przebiegając 8 mil na godzinę, posuwała się widocznie do wybrzeża. Doktor postanowił zbliżyć się znowu do lądu, zmniejszył płomień w dmuchawce i balon wkrótce opuścił się na 300 stóp od ziemi, znajdował się nad Mrimą, taką bowiem nazwę nosiła ta część wschodniego wybrzeża. "Victoria" wznosiła się ponad pewną wsią, której nazwę doktor na karcie wynalazł, była to wioska Kaole. Zebrana ludność wydawała okrzyki gniewu i obawy, strzelała nadaremnie ze swych łuków na zjawisko powietrzne, majestatycznie posuwające się dalej.

Wiatr dął w kierunku południowym, ale doktor tym się nie zaniepokoił, gdyż mógł puścić się drogą obraną przez kapitanów Burtona i Speke.

Kennedy tak samo jak Joe, stał się teraz rozmownym. Rozprawiali nieustannie, wyrażając podziw i zachwyt.

- Co wobec naszego balonu znaczy dyliżans pocztowy! - wołał jeden.

- Albo statek parowy! - dodał drugi.

- Albo też kolej żelazna, w której mija się kraje, nawet ich nie widząc!

- Tak, na balonie, to rzecz inna - rzekł Joe. - Człowiek się nie spostrzeże, jak sunie w przestrzeń, a natura roztacza przed jego oczyma coraz nowy ogromny obraz.

- A może byśmy zjedli śniadanie? - zaproponował Joe, któremu świeże powietrze dodało apetytu.

- Niezła myśl, mój chłopcze.

- Wnet ugotuję. Będą suchary, konserwy mięsne.

- I kawa - dodał doktor.

- Pozwalam ci z mego aparatu zapożyczyć ognia, w ten sposób unikniemy możliwego pożaru.

- A więc zaczynamy jeść - przypomniał Kennedy.

- O to proszę, moi panowie - rzekł Joe - a podczas gdy zjem moją część, przygotuję kawę, której dobroć nie pozostawi nic do życzenia.

- W istocie - potwierdził doktor - faktem jest, że Joe obok tysiąca innych przymiotów, posiada talent wyborczego przyrządzania tego napoju.

Po kilku chwilach Joe podał trzy filiżanki kawy, po wypiciu której każdy udał się na swoje stanowisko. Okolica odznaczała się wyjątkową urodzajnością, kręte i wąskie ścieżki ukrywały się w gęstej zieleni; unoszono się nad polami, gdzie dojrzewały właśnie tytoń, kukurydza i jęczmień.

Gdzieś tam znajdowały się olbrzymie pola ryżu, odznaczające się swymi prostymi łodygami i purpurowym kwiatem. Zauważono owce i kozy zamknięte w wiszących klatkach, zbudowanych na palach, w celu ochrony ich przed lampartami. Bujna roślinność nadawała temu urodzajnemu gruntowi różnorodny, wciąż zmieniający się widok. W licznych wsiach powstawały wrzawa i podziw wobec widoku "Victorii", a doktor trzymał się na wysokości niedoścignionej przez strzały.

W południe doktor oznajmił, spojrzawszy na mapę, iż znajdują się ponad krajem Usaramo.

Miejscowość ta była gęsto zarośnięta palmami, drzewami kokosowymi i melonami, jak również krzewami bawełny. Joe znajdował wegetację tę naturalną, ponieważ przebywano Afrykę.

Kennedy zauważył przepiórki i zające, zachęcające do strzałów, byłoby to jednak marnowaniem prochu, gdyż zwierzyny nie można było zabierać.

Żeglarze napowietrzni poruszali się z szybkością 12 mil na godzinę i znaleźli się niebawem pod 38°30' długości, ponad wsią Tunda.

- Tutaj - powiedział doktor - zapadli na silną gorączkę Burton i Speke i przez chwilę myśleli, że będą zmuszeni zaniechać swego przedsięwzięcia.

W okolicy tej panuje wciąż malaria; doktor mógł uchronić się od tej zarazy jedynie w ten sposób, że podniósł balon ponad miazmatami wilgotnej ziemi.

Widziano jak tuziemcy na widok "Victorii" zaczęli biec w różne strony i uciekać, Kennedy miał wielką ochotę z bliska im się przypatrzeć, ale Fergusson odmówił jego życzeniu.

- Przywódcy plemion mają broń palną - powiedział on - a balon nasz byłby łatwym celem dla kuli.

- Czy dziura spowodowana kulą, wywołałaby spadek balonu? - spytał Joe.

- Nie bezpośrednio; ale otwór mógłby się rozszerzyć i wówczas narażeni bylibyśmy na utratę gazu.

- Trzymajmy się więc w przyzwoitej odległości od tych niedowiarków.

- Patrzcie, kraj nabiera teraz innego widoku, wsie są rzadsze, wegetacja na tej szerokości ustaje,

grunt staje się górzystym i można przypuszczać, że znajdujemy się w pobliżu gór.

- W istocie - zauważył Kennedy - zdaje się, iż po tej stronie wysuwa się kilka wzgórz

- Na zachodzie... są to pierwsze łańcuchy Urifara, góra Duthumi prawdopodobnie, po za którą mam nadzieję ukryć się na noc. Musimy teraz utrzymywać się na wysokości 500 do 600 stóp.

Patrząc na czynność doktora, mającą na celu wzniesienie się balonu, zauważył Joe:

- Miałeś pan wspaniałą myśl, panie doktorze, cała ta robota z aparatem ani nie jest trudną, ani nużącą, odkręca się jeden z kurków i sprawa załatwiona.

W chwili gdy balon uniósł się wyżej, strzelec, oddychając swobodniej, rzekł: - Tu jest o wiele lepiej, odbłask promieni słonecznych na tym czerwonym piasku stawał się niemożliwym.

- Co za wspaniałe drzewa - zawołał Joe, są one w samej rzeczy piękne. Z tuzina tych pni można by stworzyć cały las.

- To baobaby - odpowiedział Fergusson - patrzcie na tego tam, pewnie ma objętości 100 stóp.

Być może, że pod tym właśnie drzewem zginął w 1845 roku Francuz Maizan, gdyż znajdujemy się nad wsią Dejala-Mhora, dokąd sam dotarł. Został tu przez jednego z przywódców plemion pochwycony, przywiązany do pnia baobabu i rozciętowany na kawałki. Nieszczęsny liczył zaledwie 26 lat.

- I rząd francuski nie domagał się żadnego zadośćuczynienia za zbrodnię? - zapytał Kennedy.

- Rząd francuski reklamował, Said Zanzibaru uczynił wszystko celem pochwylenia mordercy, ale wszelkie jego starania pozostały bez skutku.

- Nie chciałbym się tu zatrzymać - powiedział Joe - panie doktorze, poszybujmy wyżej.

- Tym chętniej Joe, ponieważ mamy przed sobą górę Duthumi. Jeżeli moje obliczenia są ścisłe, przebędziemy górę przed 7-mą wieczorem.

- Czy będziemy nocą podróżowali? - zapytał Kennedy.

- Nie, lub przynajmniej, o ile możliwości, jak najrzadziej; z należytą ostrożnością i czujnością można by podróżować bez obawy, ale nam nie wystarcza przejechać Afrykę, musimy ją także widzieć.

- Dotąd nie mamy czego narzekać, mój panie i władco. Zamiast pustyni znajdujemy grunty uprawne i urodzajne. Jak to wierzyć geografom?...

- Poczekaj mój Joe, poczekaj, zobaczysz później.

Około godziny 6 1/2 wieczorem "Victoria" znajdowała się przed górą Duthumi; miała ona wznieść się przeszło na 3000 stóp, by przejść ponad tą górą i w tym celu doktor podniósł



temperaturę o 18 stopni (10°C.).

Trzeba przyznać, iż kierował on swoim balonem rzeczywiście jedynie za pomocą naciśnięcia ręki.

Kennedy wskazywał na natrafione przeszkody i "Victoria" unosiła się ponad górą. O godzinie 8-mej balon znalazł się na drugiej stronie stoku, zarzucono kotwicę na gałęziach olbrzymiego nopalu. Niebawem spuścił się na sznurze Joe i umocował go silnie. Podano mu jedwabną drabinę, po której zręcznie powrócił. Balon zachowywał się zupełnie spokojnie, będąc osłonięty od wschodniego wiatru.

Przygotowano wieczerzę i podróżnicy z apetytem ją spożyli, robiąc sporą szczerbę w zapasach.

- Jaką przestrzeń dziś przebyliśmy? - spytał Kennedy. Doktor, wyjąwszy atlas Petermana, który był najlepszym jego przewodnikiem, zaczął się w nim rozpatrywać.

Oznaczywszy punkty na mapie, doszedł do przekonania, że przebyli przestrzeń dwustopniową na szerokość, czyli 120 mil na zachód. Kennedy zauważył, że droga wiedzie na południe, ale doktor był tym zupełnie zadowolony, gdyż chciał o ile możności zbadać ślady, któredy przeszli jego poprzednicy.

Postanowiono godziny nocy podzielić na trzy części i czuwać kolejno. Doktor miał czuwać od 9-tej, Kennedy od 12-tej, a Joe od 3-ciej godziny z rana.

Obaj ostatni, otuliwszy się kołdrami, niebawem spokojnie zasnęli, podczas gdy doktor pozostał na straży.

## **ROZDZIAŁ XII**

Noc przeszła spokojnie, w sobotę z rana Kennedy, obudziwszy się, skarżył się na zmęczenie i dreszcze. Powietrze uległo zmianie. Horyzont pokrył się gęstymi obłokami, groziła burza.

Smutny to kraj Zungomero, w którym, z wyjątkiem 14 dni w styczniu, bezustannie padają deszcze.

Silna burza zaczęła niebawem szaleć, tak zwane "nullahs", rodzaj trąb powietrznych, przechodziły, niszcząc zupełnie drogi.

- Wstrętny to kraj - powiedział Joe - zdaje się, że panu Kennedy'emu nocleg tutaj nie bardzo posłużył.

- Mam w istocie silną gorączkę - skarżył się strzelec.

- Nie dziwię się temu, kochany Dicku, znajdujemy się w najniezdrowszej okolicy Afryki, nie zatrzymamy się tu jednak długo. Dalej w drogę!

Joe podniósł zręcznie kotwicę, powrócił do łódki i "Victoria" puściła się w drogę, gnana silnym wiatrem. Okolica zaczęła się niebawem zmieniać. W Afryce często się zdarza, że tuż za niezdrową miejscowością, znajduje się okolica z bardzo zdrowym klimatem. Kennedy cierpiał widocznie bardzo, gdyż gorączka trawiła jego silny organizm.

- Nie pora teraz chorować - twierdził on, okrył się kołdrą i urządził sobie postanie pod namiotem.
- Cierpliwości, kochany Dicku - pocieszał go Fergusson - wkrótce odzyskasz zdrowie.
- Odzyskam zdrowie? Samuelu, jeżeli posiadasz w swojej podróźnej apteczce środek, który może mnie znów postawić na nogi, to daj mi go proszę, nie zwlekając. Zamknę oczy i otworzę usta.
- Mam coś lepszego, kochany Dicku, dostarczę ci naturalnego środka na febrę, który nic kosztować nie będzie.
- Jakim sposobem? - Sposobem bardzo prostym, wzniosę się ponad tę zaraźliwą atmosferę, potrzeba mi na to tylko 10 minut. W istocie po upływie tego czasu podróźni nasi byli ponad wilgotną strefą.
- Jeszcze chwilę, Dicku, a odczujesz wpływ czystego powietrza i słońca.
- To będzie cudowne lekarstwo! - zawołał Joe.
- Bardzo naturalne!
- Nie wątpię!
- Posyłam Dicka na świeże powietrze, jak to się co dzień w Europie zdarza.
- Ach ten balon, to rzeczywiście raj - powiedział Kennedy, który czuł się już lepiej.
- We wszelkich okolicznościach umie sobie radzić - dodał Joe.

Masa obłoków, które się w tej chwili rozsuwały pod łodzią, przedstawiały zadziwiający widok; posuwały się one jedna ponad drugą i złączały ze wspianiałym przepychem, odsuwając promienie słoneczne.

"Victoria" osiągnęła 4000 stóp; termometr wskazywał opadanie temperatury; nie widziano też ziemi.

W odległości około 50 mil wysuwała się góra Rubeho ze swoim iskrzącym wierzchołkiem, tworzyła ona granicę kraju Ugogo, pomiędzy 30°20' długości. Wiatr dął z szybkością 20 mil na godzinę, ale podróźni nie odczuwali żadnego wstrząśnienia, ani też zmiany miejsca pobytu.

Po upływie trzech godzin przepowiednia doktora sprawdziła się. Kennedy stracił dreszcze i spożywał z apetytem śniadanie.

- Środek twój jest o wiele lepszy niż chinina - rzekł on, wielce zadowolony.

Około godziny 10-tej z rana powietrze się rozjaśniło. Wytworzyły się szczyrby w obłokach, ziemia stała się znów widoczną i "Victoria" ku niej się zbliżała.

Doktor szukał prądu, który by go poniósł więcej na północny wschód znalazł go na przestrzeni 600 stóp od ziemi.

Okolica stawała się górzystą. Okręg Zungomero zaciął się na wschodzie z ostatnim drzewem orzecha kokosowego.

Wkrótce zaczęły się wysuwać coraz wyraźniej grzbiety gór i trzeba się było mieć na ostrożności.

- Znajdujemy się wśród skał - powiedział Kennedy.

- Uspokój się, Dicku ominiemy je szczęśliwie - rzekł doktor, kierując zręcznie swym statkiem nadpowietrznym.

- Gdybyśmy byli zmuszeni maszerować po tym gruncie, znaleźlibyśmy się w kraju bardzo niezdrowym; połowa naszych zwierząt roboczych zdechłaby już z wycieńczenia. Od czasu wyjazdu z Zanzibaru wyglądalibyśmy jak cienie, nadto wciąż bylibyśmy narażeni na brutalność ze strony przewodników i tragarzy. We dnie wilgoć i duszący upał, w nocy chłód nie do zniesienia i kąsanie much, których żądła przecinają najgęstsze płótno i doprowadzają do szaleństwa najcierpliwszego człowieka. Cóż dopiero wspominać o dzikich zwierzętach i dzikszych jeszcze plemionach.

- Nie próbowałbym - odpowiedział krótko Joe. - Nie przesadzam - mówił dalej doktor - a gdybym wam opowiedział przygody podróżnych, którzy byli na tyle śmieli i odważyli się zapuścić w te okolice, stanęłyby wam łzy w oczach.

Około godziny 11-tej podróży nasi przejechali kotlinę Ymendsche; rozproszeni na pagórku tuziemcy grozili daremnie "Victorii", która wznosiła się coraz wyżej i na koniec dotarła do Rubeho, tworzącego trzeci najwyższy łańcuch gór Usagara.

- Bacność! - zawołał Fergusson - zbliżamy się do Rubeho, którego nazwa u tuziemców oznacza "podróż wiatrów"; dobrze zrobimy, gdy wyminiemy jego spiczasty wierzchołek.

Jeżeli moja mapa jest dokładną, winniśmy wznieść się ponad 5000 stóp.

- Czy będziemy często krążyli w tych górnych strefach?

- Rzadko, albowiem góry afrykańskie w stosunku do gór europejskich i azjatyckich są niższe, w każdym wszelako wypadku "Victoria" nasza przeleci bez żadnych trudności po nad nimi.

Niebawem rozszerzył się gaz pod działaniem żaru i balon widocznie wzniósł się w górę.

Rozszerzenie się wodoru nie było niebezpiecznym i olbrzymie wnętrze statku powietrznego było dopiero nim napełnione w 3/4 częściach. Barometr wskazywał, iż znajdowano się na wysokości 6000 stóp.

- Czy będziemy mogli długo tak podróżować? - zapytał Joe.

- Atmosfera ziemi ma 36.000 stóp paryskich wysokości - odpowiedział doktor. - W dużym balonie można by się wznieść jeszcze wyżej. Przedsięwzięli to panowie Brioschi i Gay Lussac, lecz krew puściła im się z ust i uszu; brakło im powietrza do oddychania.

Przed paru laty puścili się w górne strefy dwaj śmiali Francuzi, panowie Barral i Bixio, lecz balon ich doznał uszkodzenia...

- A czy spadli? - zapytał z zajęciem Kennedy.

- Tak jest - ale spadli tak jak uczeni, nie ponosząc żadnej szkody.

- A więc moi panowie - powiedział Joe - wolno wam naśladować ich upadek, ale ja, ponieważ się nie zaliczam do uczonych, wolę trzymać się środka, nie zapuszczać się ani za wysoko, ani też spadać za nisko. Nie trzeba być zarozumiałym!

Na wysokości 6000 stóp ciężkość powietrza widocznie się zwiększyła. Głos słyhać mniej dokładnie, wzrok zaciemnia się i oko, spoglądając na dół, widzi nieokreślone masy; ludzie i zwierzęta nikną z przed naszych oczu, drogi wyglądają jak wąskie paski, jeziora zamieniają się w małe stawy.

Doktor i jego towarzysze znajdowali się w anormalnym stanie, prąd atmosferyczny porwał

ich ponad góry, na których wierzchołkach leżały wielkie masy śniegu, górzysty ten kraj wskazywał robotę neptuniczną, pierwszych dni stworzenia świata. Słońce świeciło w zenicie i promienie jego padały ukośnie na puste wierzchołki; doktor zrobił dokładne zdjęcie tych gór, składających się z czterech rozmaitych grzbietów i ciągnących się prawie w prostej linii jeden obok drugiego.

Wkrótce "Victoria" znalazła się po drugiej stronie Rubeho, na skłonie zarośniętym drzewami o ciemnozielonych liściach, potem dotarła do okolicy, robiącej wrażenie pustyni o rozmaitych przepaściach, ciągnącej się od kraju Ugogo; dalej znajdowały się żółte, puste równiny, pozbawione wszelkiej roślinności.

Nieliczne kępy drzew, które w dali zamieniały się w lasy, otaczały horyzont.

Doktor zbliżał się do ziemi, kotwica została wyrzucona, zahaczywszy się na gałęziach olbrzymiego sykomoru. Joe opuścił się szybko po drzewie na dół i ostrożnie przymocował

kotwicę, doktor zajął się utrzymaniem równowagi balonu. Wiatr prawie zupełnie ustał.

- Teraz - powiedział Fergusson - weź dwie strzelby przyjacielu Dicku, jedną dla siebie, drugą dla Joego i spróbujcie szczęścia, a może na obiad spożyjemy pieczeń antylopy.

- Na polowanie! - zawołał z ożywieniem Kennedy, wyszedł z łodzi i spuścił się na dół. Joe zlął po gałęziach i oczekując na strzelca, prostował swe członki.

- Ale nie uciekaj nam pan - wołał z dołu Joe.

- Nie obawiaj się, mój chłopcze. Skorzystam teraz z waszej nieobecności i uzupełnię notatki, wam życzę pomyślnej wyprawy i zalecam ostrożność. Wreszcie z mojego posterunku będę obserwował okolice i, gdy dostrzegę coś podejrzanego, dam wystrzał z karabinu, będzie to sygnał do powrotu.

- Zgoda! - odpowiedział strzelec.

## ROZDZIAŁ XIII

Pusty, wyschnięty kraj miał grunt gliniasty i zdawał się być zupełnie opuszczonym.

Gdzeniegdzie tylko ukazywały się ślady karawan, mianowicie szkielety ludzkie i zwierzęce, pomieszane ze sobą.

Po półgodzinnym marszu zapuścili się Dick i Joe w gęsty las drzew gumowych, oglądając się bacznie na wszystkie strony i trzymając strzelby w pogotowiu. Joe, chociaż nie był z zawodu strzelcem, umiał zręcznie obchodzić się z bronią.

- Jak mi to dobrze robi, panie Dicku, że znów mogę trochę maszerować, choć nie powiem, żeby grunt ten należał do najwygodniejszych.

Kennedy dał znak swojemu towarzyszowi, żeby milczał i zatrzymał się.

Przy łożysku strumyka gasiło pragnienie małe stado antylop. Zdawało się, iż zręczne te zwierzęta węszyły niebezpieczeństwo. Za każdym łykiem podnosiły swe piękne głowy do góry, zwracając się w kierunku strzelców. Kennedy dał strzał, ukrywając się pod gałęzią drzewa. Stado w jednej chwili rozpierchło się, pozostawiając tylko jedną antylopę, trafioną wystrzałem. Kennedy pobiegł do swej zdobyczy, był to wspaniały okaz wielkiej antylopy.

- Pyszny strzał! - zawołał strzelec. - Śliczny gatunek antylopy, oczyszcze jej skórę i zachowam na pamiątkę.

- W istocie myślisz pan to uczynić na serio, panie Dicku?

- Naturalnie - spojrzysz na to piękne futro.

- Lecz doktor stanowczo nie pozwoli na powiększenie bagażu.

- Masz słusność Joe, ale to gniewa, że jest się zmuszonym pozostawić w całości takie piękne zwierzę.

- W całości? Nie, panie Dicku, najwięcej pożywne części wykroimy, a za pańskim pozwoleniem zajmę się tą czynnością tak dobrze, jak najlepszy rzeźnik w Londynie. Pan, panie Dicku, zechciej tymczasem urządzić na trzech kamieniach piec do smażenia, suchego drzewa znajdziesz w obfitości, a po upływie paru minut będziemy mieli pieczeń gotową.

- Za kilka chwil będzie wszystko gotowe - odparł Kennedy i niebawem zajął się budową ogniska, w którym po paru minutach ogień żywo zajaśniał.

Joe zrobił około tuzina kotletów, oraz z bioder przyrządził smaczny rostbef.

- Posili to przyjaciela Samuela - powiedział strzelec.

- Czy wiesz pan, nad czym teraz rozmyślam, panie Dicku?
- Pewnie nad robotą, którą wykonywasz, tj o kotletach.
- Nie, panie Dicku, myślę nad tym, co by się z nami stało, gdybyśmy balonu nie znaleźli.
- Boże! co za straszna myśl! przypuszczasz, że doktor mógłby nas opuścić?
- Nie, lecz gdyby kotwica się odzepiła?
- To niemożliwe! Wreszcie Samuel mógłby łatwo z balonem swoim znowu się opuścić, przecież dosyć zręcznie nim kieruje.
- Prawda, ale gdy wiatr go uniesie, gdy do nas nie będzie mógł powrócić?
- Słuchaj Joe, skończ już swoje przypuszczenia, nie są one wcale przyjemne.
- Ach, panie Kennedy, wszystko co się na tym świecie wydarza, jest naturalnym, wszystko więc zdarzyć się może i trzeba być przygotowanym.

W tej chwili w powietrzu rozległ się wystrzał.

- Słyszysz pan? - zawołał Joe.
- Mój karabin, poznaję jego wystrzał.
- Sygnał!
- Grozi nam niebezpieczeństwo!
- Może jemu? - zawołał Joe.
- W drogę!

Strzelcy pośpiesznie wzięli swoją zdobycz i zabrali się do odwrotu.

Gęstość zarośli przeszkadzała im dojrzeć "Victorii", od której nie powinni się daleko znajdować.

Rozległ się drugi wystrzał.

- Zależy na pośpiechu! - rzekł Joe.
- Znowu wystrzał!
- Wygląda to tak, jakby te wystrzały miały na celu osobistą obronę.
- Spieszmy więc!

I pobiegli, jak mogli najprędzej. Przybywszy na skraj lasu, ujrzeni zaraz "Victorię" na swoim miejscu i doktora siedzącego w łodzi.

- Co się stało? - zapytał Kennedy.

- Wielki Boże! - zawołał Joe.

- Co takiego?

- Tam na dole naokoło drzewa, gromada negrów otacza balon.

W istocie, chociaż w oddaleniu dwóch mil od balonu, Joe ujrzał około 30 ludzi, żywo gestykulujących, krzyczących i skaczących w około sykomoru. Kilku wdrapało się na drzewo i dotarło najwyższych gałęzi. Niebezpieczeństwo zdawało się być poważnym

- Mój pan zgubiony! - zawołał Joe.

- Uspokój się Joe, zachowaj zimną krew, mamy życie czterech ludzi w swych rękach.

Naprzód! Z niezwykłą szybkością przebyli około mili, gdy znowu z łódki padł wystrzał, był

on wymierzony na olbrzymie stworzenie, które wdzierало się na najwyższą gałąź Ciała jego, staczając się, zawisło na gałęzi w oddaleniu 20 stóp od ziemi.

- Ho! - zawołał Joe, zatrzymując się - do diabła, co wstrzymuje tę bestię, że nie spada?

- Nie powinno nas to obchodzić - odparł Kennedy. - Uciekajmy! uciekajmy!

- Ach, panie Kennedy! - zawołał Joe, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu - trzyma się ona na gałęzi na swoim ogonie, w istocie na swoim ogonie! Małpa, to małpy!

- W każdym razie lepiej, niżby to mieli być ludzie - odpowiedział Kennedy, rzucając się na hałasującą czeredę. W samej rzeczy było to stado dzikich, strasznych i wstrętnych pawianów.

Kilka wystrzałów zaprowadziło natychmiast porządek w stadzie, które rozpierchło się w różne strony, pozostawiając kilkanaście trupów na miejscu wypadku.

Po kilku chwilach Kennedy wszedł na drabinę, Joe wdrapał się na drzewo i odczepił kotwicę.

Łódź opuściła się do miejsca, na którym się znajdował i zręczny chłopak wsunął się do niej bez żadnych trudności.

Po upływie paru minut "Victoria" uniosła się w powietrze i gnana umiarkowanym wiatrem, skierowała się na zachód.

- To ci było najście! - wołał Joe.

- Mniemaliśmy, żeś napadnięty został przez tuziemców.
- Na szczęście, były to tylko małpy - odpowiedział doktor.
- Z daleka, kochany Samuelu, różnica pomiędzy pierwszymi i ostatnimi niewielka.
- Z bliska również - dodał Joe.
- Bądź co bądź ten napad małp mógłby mieć dla nas poważne następstwa. Gdyby kotwica nie była wytrzymała kilkakrotnego wstrząśnienia, kto wie, dokąd by mnie wiatr uniósł?
- Co panu powiedziałem, panie Kennedy - rzekł Joe.
- Miałeś słusność Joe, bądź zadowolony z twego tryumfu. Ale czy nie byłeś właśnie zajęty przygotowaniem antylopich kotletów, których widok wywołał we mnie tak wielki apetyt?
- Wierzę temu - odpowiedział doktor - mięso antylopy jest smaczne.
- Sam pan osądzisz, stół nakryty.
- W samej rzeczy - rzekł strzelec - kotlety te mają pyszny zapach dziczyzny.
- Do końca życia jadłbym tylko mięso antylopie - dodał Joe, mając pełne usta - zwłaszcza gdyby tak jeszcze wypić dla strawienia kieliszek grogu.

I Joe sporządził wspaniały napój, który z wielkim przejęciem został wypity.

- Dotąd nam idzie znakomicie - rzekł Joe.
- Świetnie! - dodał Kennedy.
- A zatem, panie Dicku, czy jeszcze pan żałujesz, żeś nam towarzyszył?
- Nie! - odparł stanowczo strzelec.

Była godzina 4-ta po południu. "Victorię" gnał teraz silniejszy prąd powietrza, grunt zaczął nieznacznie zamieniać się w górzysty i barometr niebawem wskazywał 1500 stóp nad poziomem morza.

Około godz. 7-mej unosiła się "Victoria" nad Kanyenye, doktor poznał od razu rezydencję sułtana kraju Ugogo, do której cywilizacja jeszcze nie dotarła.

Po przebyciu Kanyenye grunt stawał się pusty i kamienisty. Po upływie godziny, gdy podróżnicy nasi znaleźli się ponad urodzajną niziną niedaleko Mdaburu, przedstawiła się znowu ich oczom pyszna vegetacja. Dzień miał się ku końcowi, wiatr ustał i powietrze uspokoiło się zupełnie. Doktor postanowił przebyć noc w przestworzu i dla bezpieczeństwa uniósł balon wyżej na tysiąc stóp.



"Victoria" nie poruszała się zupełnie, naokoło panowała wspaniała, oświetlona gwiazdami noc i zupełna cisza. Dick i Joe rozciągnęli się swobodnie na swych łóżach i spali snem kamiennym, podczas gdy doktor czuwał. O północy wstał Szkot celem zastąpienia Fergussona.

- Gdy najmniejszy wydarzy się wypadek, obudź mnie - zalecał doktor swojemu przyjacielowi
- i zwracaj przede wszystkim uwagę na barometr, wiesz przecież, że jest on teraz naszym kompasem.

Noc była chłodniejsza o 27 stopni (14C.), niż temperatura dzienna i z nastaniem ciemności zaczął się niebawem koncert dzikich zwierząt, które wygnał z legowisk głód i pragnienie.

Skrzeczenie żab w połączeniu z wyciem szakali i basowym rykiem lwów, tworzyło oryginalny koncert.

Gdy doktor następnego ranka zajął swoje miejsce i spojrzął na kompas, zauważył, że kierunek wiatru podczas nocy uległ znacznej zmianie. "Victoria" od dwóch godzin posunęła się o 30

mil na północny wschód, unosila się obecnie ponad Mabunguru, krajem, usianym kamieniami i skałami. Na wschodzie widniały gęste lasy, w których gdzieniegdzie ukazywały się wioski.

Około godziny 7-mej rano uwidoczniła się okrągła, olbrzymia skała.

- Jesteśmy na dobrej drodze, tam leży Dschihue-La-Mkoa, gdzie się zatrzymamy. Chciałbym odnowić tu zapas wody. Spróbujmy uczepić gdziekolwiek nasz balon.

- Mało tu drzew - zauważył Joe.

- Pomimo to spróbujmy. Joe, zarzuć kotwicę.

Balon, który stopniowo utracił siłę unoszącą go, zbliżał się do ziemi i kotwica, zahaczywszy o odłam skały, uwięziła "Victorię".

Karty geograficzne ukazywały na zachodnim skłonie Dschihue-La-Mkoa, wielkie stojące wody. Joe udał się tam z dużą beczką, obejmującą około 10-ciu galonów. Znalazł on bez trudu w pobliżu opuszczonej wioski wskazane miejsce, zaczerpnął wody i po upływie 45 minut powrócił.

Niebawem "Victoria" znowu puściła się w drogę.

Balon znajdował się jeszcze o sto mil od Kaseh, znacznej osady we wnętrzu Afryki, dokąd zamierzali dotrzeć podróżnicy nasi. Po przebyciu wsi Thembo i Tura-Wels, znaleźli się ponad wspomnianym wyżej miastem.

- Wyruszyliśmy z Zanzibaru o 9-tej rano - powiedział Fergusson, przeglądając swoje notatki -

i po dwudniowej jeździe przebyliśmy około 500 mil geograficznych. Kapitanowie Burton i Speke do odbycia tej przestrzeni potrzebowali 41/2 miesiąca.

## ROZDZIAŁ XIV

Kaseh, ważny punkt w środkowej Afryce, nie jest miastem w naszym znaczeniu, jest to zbiór domków i namiotów. Budynki te otoczone są małymi ogrodami, w których rosną cebule, kartofle i wyborne grzyby.

Kaseh jest środowiskiem karawan, przybywających z południa z niewolnikami i ładunkami kości słoniowej, oraz tych, które z zachodu dowożą dla szczepów okolic wielkiego międzymorza transporty bawełny i towary szklane.

Na rynku wciąż panuje ożywienie, w największym nieładzie rozłożone są na sprzedaż różnokolorowe materie, perły szklane, kość słoniowa, miód, tytoń, bawełna itp i najróżnorodniejsze odbywają się kupna i sprzedaże, przy czym cena każdego przedmiotu jest niestałą, a zależną od zapotrzebowania. Gwar tu niebawiały, krzyki, hałasy, rzenie mułów, odgłosy rogów, łoskot bębnów, śpiew kobiet, płacz dzieci; wszystko to sprawia nieznanemu Europejczykowi chaos.

Nagle krzyki i hałasy ustały, "Victoria" ukazała się w przestworzu, sunąc majestatycznie.

Mężczyźni, kobiety, dzieci, niewolnicy, kupcy, Arabowie i negrzy wszyscy pouciekali, chroniąc się do swoich chat i namiotów.

- Kochany Samuelu - powiedział Kennedy - jeżeli będziemy nadal wywierali taki wpływ na ludzi, to z trudnością przyjdzie nam zawiązać z nimi stosunki handlowe. - Dałoby się jednak zrobić z nimi interes handlowy - wtrącił Joe. - Trzeba nam wysiąść i zabrać kosztowne towary, nie zwracając wcale uwagi na kupców. Można by się w ten sposób wzbogacić

- W istocie, tuziemcy w pierwszej chwili pod wpływem strachu ukryli się, ale przesąd i ciekawość niebawem ich tu sprawdzi - zauważył doktor.

- Tak pan sądzi?

- Zaraz zobaczysz, ale lepiej będzie nie zbliżać się zbyt do nich, ponieważ "Victoria" nie jest opancerzoną i niezabezpieczoną od kul i strzałów z łuku.

- Czy zamyślasz, kochany Samuelu, wejść w układy z tymi ludźmi?

- Jeżeli się da, dlaczegoż by nie? - odparł doktor - przecież w Kaseh powinni się znajdować nie tylko dzicy. Przypominam sobie, że Burton i Speke chwalili gościnność tego miasta.

"Victoria" tymczasem zbliżała się ku ziemi i zarzuciła kotwicę na jednym z drzew w pobliżu targowiska. Cała ludność w tej chwili wybiegła z ukrycia. Kilku mgangów wysunęło się odważnie naprzód, byli to czarownicy miejscowi, dziwnie odziani. Powoli tłum zaczął się około nich zbierać, kobiety i dzieci otoczyły ich, uderzono w bębny, składano ręce i wznoszono wzrok ku niebiosom.

- W ten sposób modlą się oni - powiedział doktor - jeżeli się nie mylę, jesteśmy powołani odegrać tu wielką rolę.

- A więc odegrajmy ją!

- Ty sam, poczciwy chłopcze, może będziesz czczony jako bożek.

- Sprawiliby mi to wielką przyjemność.

W tej chwili jeden z czarowników dał znak i nastąpiła zupełna cisza, po czym zaczął mówić do podróżnych w nieznanym dla nich narzeczu.

Doktor, który go nie rozumiał, wymówił kilka słów po arabsku; odpowiedziano mu natychmiast w tym języku. Mówca w kwiecistej mowie, słuchanej bardzo uważnie, pozdrowiał przybyłych i Fergusson pojął niebawem, że "Victorię" uważają jako księżyc we własnej osobie, który zeszedł wraz z trzema synami celem złożenia miastu wizyty.

Doktor odpowiedział z godnością, że bogini Luna co tysiąc lat odbywa podróż celem zbliżenia się do swych czcicieli. Wezwał ludność do korzystania z jej obecności i przedstawienia jej swych potrzeb i życzeń.

Otrzymał odpowiedź, że sułtan Mwani od wielu lat leży chory i wzywa niebiosy o pomoc.

Czarownik zaprosił przeto synów Luny, aby chorego odwiedzili. Fergusson oznajmił swym towarzyszom o życzeniu czarownika.

- I ty w samej rzeczy chcesz udać się do króla negrów? - zapytał strzelec.

- Naturalnie, ci ludzie zdają się być dla nas bardzo dobrze usposobieni; powietrze spokojne, nie ma wiatru, więc o "Victorię" nie mamy się czego obawiać.

- Ale co tam będziesz robił?

- Bądź spokojny, kochany Dicku, kilku małymi środkami lekarskimi będę umiał się z zadania wywiązać; - po czym, zwróciwszy się do tłumu, rzekł:

- Luna chce ulitować się nad waszym drogim władcą i nam powierzyła uleczyć go. Niech się przygotuje do przyjęcia nas!

Okrzyki, śpiewy wzmożyły się po tych słowach i cała ludność została w ruch wprawioną.

- Teraz moi przyjaciele - powiedział doktor - musimy wszystko ostrożnie przygotować; być może, że okoliczności zmuszą nas do bardzo szybkiego odwrotu. Dick pozostanie w łodzi i utrzyma za pomocą dmuchawki tlenowodorowej dostateczną siłę wzlotu. Kotwica jest dobrze umocowaną, niema więc czego się obawiać. Ja zejdem na ziemię, a Joe może mi towarzyszyć, ale pozostanie na stopniu drabiny.

- Czy sam zamierzasz wejść w paszczę tego czarnego?

- Panie Samuelu - zawołał Joe - ja pójdę z panem!

- Nie, sam pójde, ci dobrzy ludzie wmawiają sobie, że wielka bogini Luna zstąpiła do nich, aby im złożyć wizytę, przesąd ich zapewnia mi bezpieczeństwo. Nie obawiajcie się zatem i niechaj każdy zostanie na przeznaczonym dlań posterunku. - A więc, jak chcesz -

odpowiedział strzelec.

Krzyki tuziemców wciąż się wzmagaly, domagali się coraz energiczniej działania niebios.

- Patrzcie! - zauważył Joe. - Zdaje mi się, że oni nieco za despotycznie występują przeciwko dobrej Lunie i jej boskim synom!

Doktor zeszedł na ziemię, zaopatrzony w podróżną apteczkę, wyprzedzany przez Joego, który usiadł z powagą, jak godności jego przystało, na stopniu drabiny. Siadł podług zwyczaju arabskiego z założonymi nogami i część tłumu otoczyła go z uszanowaniem. Podczas tego doktor wśród odgłosu rżniętych instrumentów i religijnych tańców tłumu powoli szedł w kierunku królewskiego "Tembe", znajdującego się w dość znacznej odległości od miasta.

Była wówczas godzina 3-cia i słońce świeciło tak jasno, jakby i ono chciało uświetnić zejście synów Luny na ziemię.

Fergusson kroczył z godnością czarodzieja. Wkrótce przyłączył się do niego syn sułtana, dość przyzwoicie wyglądający młodzieniec. Rzucił się on przed synem Luny na ziemię, ten jednakże polecił mu wstać.

Po upływie trzech kwadransów procesja po cienistej ścieżce wśród pięknej tropikalnej roślinności przybyła do pałacu sułtana, czworokątnego gmachu, zwanego "Ititenga".

Fergusson został przyjęty z wielkimi honorami przez straż przyboczną i ulubieńców sułtana, ludzi pięknej rasy ze szczepu Wanyanwesey i udał się do wnętrza pałacu.

Pomimo choroby sułtana, hałas z chwilą przybycia pochodu wzmógł się znacznie. Fergusson zauważył zawieszane u drzwi ogony zajęcy i żubrów, które uważane są tutaj jako talizmany.

Czereda niewiast sułtańskich przyjęła go wśród harmonijnych odgłosów rozmaitych miejscowych instrumentów. Niewiasty odznaczały się urodą, śmiały się wesoło i paliły fajki.

Sześć z nich było odłączonych od innych, oczekiwały śmierci, pomimo to były tak samo wesołe jak reszta.

Po śmierci sułtana miały być żywcem z nim zagrzebane, celem rozweselenia go podczas wiecznej samotności.

Po przejrzaniu całego wnętrza budynku, Fergusson przystąpił do drewnianego łóżka władcy.

Ujrzał wówczas mężczyznę około lat 40 liczącego, którego zdrowie zniszczyły orgie wszelkiego rodzaju; nie było dla niego żadnego ratunku. Choroba jego trwająca od wielu lat, wynikła skutkiem nałogowego pijaństwa.

Ulubieńcy i kobiety zgięły kolana podczas tej uroczystej wizyty.

Kilku kroplami silnego środka udało się doktorowi na parę minut ożywić zdrtwiałe ciało.

Sułtan poruszył się, co wywołało wśród zebranych entuzjazm i ożywione okrzyki na cześć lekarza.

Ten ostatni, któremu wystarczyła ta komedia, oddalił oblegających go czcicieli i szybkim krokiem wyszedł z pałacu, kierując swe kroki do "Victorii". Była wówczas godzina 6-ta.

Joe podczas nieobecności Fergussona cierpliwie oczekiwał jego powrotu na stopniach drabiny. Tłum okazywał mu nadzwyczajne dowody uszanowania, które on, jako prawdziwy syn Luny, przyjmował z godnością. Ofiarowano mu najrozmaitsze dary, zwykle składane w namiotach fetyszów. Później dziewczęta otoczyły go i tańczyły śpiewając.

- Więc wy i tańczyć umiecie, poczekajcie, ja wam pokażę, jak się tańczy na księżycu.

Rzekłszy to, zaczął tańczyć, kręcąc się i podskakując w górę, to spuszczać się ku dołowi, przy tym stroił rozmaite miny. W ten sposób dał on wyobrażenie zebranym, jak to bogowie tańczą na księżycu. Niebawem Afrykanie, posiadający dar naśladowania, zaczęli imitować jego ruchy i mimikę. Nie zapomnieli o najmniejszym szczególe, wszystko naśladowali jak najdokładniej. W chwili, gdy zabawa dochodziła do kulminacyjnego punktu, Joe zauważył

doktora, który wracał pośpiesznie wśród okrzyków otaczającego go tłumu. Przywódcy i czarownicy byli bardzo wzburzeni, otoczono Fergussona, ciśnięto się doń, grożono.

Niezwykła zmiana! Co się stało? Czyżby sułtan umarł na rękach swego niebiańskiego lekarza? Kennedy zauważył ze swego stanowiska niebezpieczeństwo, nie domyślając się jednak powodu. Balon, silnie przez naprężenie gazu nadęty, zakołysał się i okazywał wielką ochotę uniesienia się w przestworza.

Doktor przybył właśnie do drabiny. Jeszcze przesądna obawa tłumu powstrzymywała go od przejścia do gwałtów nad jego osobą. Wszedł na drabinę, a Joe udał się za nim.

- Nie mamy chwili czasu do stracenia - rzekł Fergusson - nie staraj się odczepić kotwicy, przetnę sznur! Chodź za mną!

- Co się stało, panie? - rzekł Joe, gdy wszedł do łodzi.

- Co się stało? - zawołał także Kennedy, biorąc strzelbę do ręki.

- Patrzcie tam! - odpowiedział doktor i wskazał na horyzont.

- Cóż takiego? - pytał strzelec.

- Co? - Księżyc!

Księżyc ukazał się właśnie w całej swej pełni na horyzoncie, księżyc i "Victoria", albo więc istniały

dwa księżycy, albo też cudzoziemcy byli oszustami, intrygantami, fałszywymi bożkami.

Oto właściwy powód zaszłej zmiany w postępowaniu tłumu.

Joe nie mógł się powstrzymać od głośnego śmiechu. Ludność Kaseh, która teraz domyśliła się, że zdobycz zamierza im umknąć, wydawała przeraźliwe krzyki, skierowano na balon łuki i muszkiety.

Na znak jednak jednego z czarowników broń opuszczono; ten wdrapał się na drzewo z zamiarem pochwylenia liny kotwicznej i ściągnięcia maszyny na ziemię.

Joe zamierzał uderzyć nań toporem.

- Czy mam przeciąć linę? - zapytał.

- Poczekaj! - odpowiedział doktor.

- A ten czarny?

- Może zdołamy jeszcze ocalić naszą kotwicę, zależy mi na tym bardzo; przeciąć mamy zawsze czas.

Czarownik wlaźł na drzewo i skutkiem połamania gałęzi wywołał odczepienie się kotwicy i wraz z nim wzniesienie się balonu, który zabrał w przestworza czarownika, siedzącego na pazurze kotwicznym.

Podziw tłumów był nie do opisania, gdy ujrzeli jednego ze swoich "wangangów", unoszonego w powietrze.

- Hura! - zawołał Joe, podczas gdy "Victoria" unosiła się coraz wyżej.

- Dobrze się trzyma - rzekł Kennedy - mała podróż powietrzna wybornie mu posłuży.

- Można by tego czarnego jednym uderzeniem rzucić na ziemię - zauważył Joe.

- Cóż znowu? - odparł doktor - Wysadzimy go całego na ląd, przy czym wypadek ten posłuży do wyrobienia mu sławy wśród swoich jako magika.

- Gotowi będą odtąd czcić go jako Boga - wołał Joe.

"Victoria" dosięgła wysokości 1000 stóp, negr trzymał się liny w śmiertelnej trwodze.

Milczał, oczy jego w słup się zamieniły, a przestрах mieszał się z podziwem. Lekki wiatr zachodni gnał balon po za miasto.

Po upływie pół godziny, gdy doktor ujrział, że teren jest pusty, zmniejszył płomień w dmuchawce i zbliżył się znowu ku ziemi. Wówczas Negr powziął nagle postanowienie; zeskoczył na dół, padł jak kot na nogi i zaczął biec w kierunku miasta, podczas gdy

"Victoria", oswobodziwszy się od dodatkowego ciężaru, szybko pomknęła w przestworze.

## ROZDZIAŁ XV

- A teraz, kochany Samuelu - odezwał się strzelec - opowiedz nam o wizycie swojej u sułtana.

Co to za człowiek?

- Stary, na wpół umarły pijak - odpowiedział doktor - którego strata nie da się zbyt dotkliwie odczuć.

Podczas rozmowy o sułtanie, jego dworakach i pałacu, niebo w kierunku północnym pokryło się gęstymi chmurami. Dość silny wiatr posuwał "Victorię" w stronę północnwschodnią. Około 8-mej wieczorem podróżni znaleźli się pod  $32^{\circ}4'$  długości i  $4^{\circ}17'$  szerokości, prądy atmosferyczne gnały balon pod wpływem zbliżającej się burzy z szybkością 35 mil na godzinę.

Urodzajne okolice Mfuto przelatywały szybko pod nimi. Widowisko było prześliczne i podróżni zachwycali się nim.

- Jesteśmy w środku kraju księżycowego - powiedział doktor - gdyż nazwa ta do tej pory prawdopodobnie została utrzymana; księżyc tam zawsze jest czczony.

W istocie piękny to kraj, nigdzie piękniejszej nie można znaleźć roślinności.

- Dlaczego to piękno właśnie przypadło w udziale tym barbarzyńcom? - zauważył Kennedy.

- Być może - odpowiedział doktor - że kraj ten kiedyś stanie się środkowym punktem cywilizacji Narody przyszłości osiadą tutaj, gdy środki wyżywienia w krajach europejskich ulegną wyczerpaniu.

Gdy tak rozmawiano, balon sunął tymczasem dalej, wkrótce ujrzano główny dopływ jeziora Tanganika, Malagasari. Zwierzęta o dużych garbach pasły się na łąkach i nikły często w gęstej trawie; lasy, wydzielające pyszne zapachy, przedstawiały się oczom jak olbrzymie ogrody, lecz w tych ogrodach ukrywały się przed skwarem letnim lamparty, hieny i tygrysy.

- Co za przepyszny kraj do polowania - wołał pełen zapału Kennedy. - Strzał nie byłby daremny, warto by może spróbować.

- Nie, mój kochany Dicku, zbliża się noc burzliwa, przy czym burze w tym kraju są straszne.

- Czy nie byłoby dobrze wobec tego spuścić się na ziemię? - zapytał Joe.

- Wołałbym raczej wznieść się wyżej, lecz obawiam się, że skutkiem skrzyżowania się prądów atmosferycznych, mogą być usunięty z obranej linii.

- Czy zamierzasz - pytał Kennedy - zmienić kierunek drogi?

- Jeżeli mi się uda, trzymać się będę o 7-8 stopni bliżej północy i spróbuję wznieść się do tej szerokości, na której znajdują się mają źródła Nilu.

- Patrz! - wołał Kennedy, przerywając towarzyszowi - patrz, jak ze stawów wyglądają konie rzeczne i owe krokodyle złośliwe, łaknące powietrza.

- Duszą się one prawie z upału - mniemał Joe. - Ach, co za wspaniała jazda! Jak można spokojnie przyglądać się rozmaitym bestiom, panie Samuelu! panie Kennedy! czy panowie widzicie to stado zwierząt, posuwających się w zamkniętym szeregu?

- Będzie około 200 wilków.

- Nie Joe, są to psy dzikie, które nie obawiają się stoczyć walki nawet ze lwami. Być przez nich napadniętym, jest dla podróżnika najstraszniejszym wypadkiem, bezzwłocznie zostaje rozszarpanym na kawałki.

Pod wpływem nadciągającej burzy rozmowa przycichła. O godzinie 9-tej wieczorem

"Victoria" znalazła się nad Msene, wielkim zbiorowiskiem wsi, których skutkiem zmroku nie było można dojrzeć.

- Duszę się - powiedział Szkot, wciągając w siebie powietrze. - Czy nie opuścimy się?

- A burza? - wtrącił z niepokojem doktor.

- Jeżeli boisz się być porwanym przez wiatr, to będziesz musiał spuścić balon.

- Być może, że burza jeszcze tej nocy nie powstanie - dodał Joe - chmury są bardzo wysoko.

- Jest to właśnie powód, który mnie powstrzymuje wznieść się ponad nie.

- Zdecyduj się Samuelu, sprawa nagli!

- Gniewa mnie to, że wiatr ustał - wtrącił Joe - mógłby nas ponieść daleko od burzy.

- Źle jest w istocie, gdyż chmury grożą nam niebezpieczeństwem, zawierają one przeciwne prądy, ciągnące nas w swój wir i błyskawice, które mogą wzniecić pożar na balonie. Z drugiej znów strony siła uderzenia wiatru może nas ku ziemi rzucić, gdy uczepimy kotwicę na drzewie.

- Cóż więc począć?

- Musimy "Victorię" utrzymywać w środkowej strefie, pomiędzy niebezpieczeństwami, grożącymi nam od ziemi i nieba.

- Mamy dostateczny zapas wody dla dmuchawki i nasze 200 funtów balastu dotąd są nienaruszone. W razie niezbędnym posłużę się nim.

- Będziemy razem z tobą czuwali - powiedział strzelec.

- Nie, moi przyjaciele, udajcie się na spoczynek, obudzę was, gdy okaże się tego potrzeba.



- Dobrej nocy, panie doktorze!

- Śpijcie spokojnie!

Kennedy i Joe rozciągnęli się, przykryci ciepłymi kołdrami; doktor pozostał sam w niezmierzonej przestrzeni.

Powoli zaczęło się ściemniać, czarna osłona roztoczyła się nad ziemią. Nagle silna błyskawica rozjaśniła ciemność, a później niebawem straszne uderzyły pioruny.

Kennedy i Joe, zbudzeni łoskotem, znaleźli się zaraz przy doktorze.

- Czy spuszcza się na dół? - pytał Kennedy.

- Nie, balon nie utrzymałby się. Wzniesiemy się wyżej, zanim chmury te nie zamienią się w wodę i wiatr się zerwie.

Rzekłszy to, powiększył płomień w dmuchawce.

Burze w krajach podzwrotnikowych powstają bardzo szybko i są nader gwałtowne. Druga błyskawica rozerwała chmurę, po niej 20 innych następowały jedna po drugiej.

- Spóźniliśmy się i nasz balon napęczniony zapalnym powietrzem, zmuszony jest przerzynać strefę ogniową.

- Ku ziemi! ku ziemi! - wołał Kennedy.

- Niebezpieczeństwo uderzenia piorunu będzie zawsze to samo i gałęzie drzew mogłyby rozerwać nasz statek.

- Wznieśmy się, panie Samuelu!

- Szybciej, szybciej!

Zerwał się niebawem wiatr z istotnie zatrważającą siłą, którą można obserwować tylko w tych krajach.

Doktor podtrzymywał płomień w dmuchawce, balon rozciągał się i unosił.

Kennedy, znajdujący się w środku łodzi, trzymał na kolanach zasłonę namiotu. Balon kręcił się w kółko, a podróżni z trudnością mogli się utrzymać w łodzi, ulegając zawrotowi głowy.

Utworzyły się wielkie zagłębienia w powłoce "Victorii" i wiatr, przedostawszy się do materii jedwabnej, powodował trzaskanie tejże.

Rodzaj gradu, który poprzedzał hałaśliwy szum, przebiegł atmosferę, rzucając się na

"Victorię", która pomimo to wznosiła się coraz wyżej. Błyskawice nie ustawały. Balon znajdował się wśród morza ognistego.

- Niech się dzieje wola Boga! - zawołał doktor - w jego spoczywamy dłoniach, on jeden może nas ocalić. Przygotujmy się na wszelki wypadek, nawet na możliwy pożar!

Głos doktora zaledwie mógł dojść do uszu towarzyszy, ale mogli wśród szalejących błyskawic obserwować jego twarz spokojną.

Balon wciąż obracał się w wirze powietrznym, bezustannie się wznosząc. Po kwadransie znajdował się po za sferą chmur; wyładowania elektryczności odbywały się pod nim, podobne świetnym ogniom sztucznym.

Był to najpiękniejszy widok, jaki przyroda mogła dać oczom ludzkim. Na dole burza, w górze cichy, bez zmienny horyzont gwiaździsty z księżycem, który swoje spokojne promienie rzucał

na rozszalałe chmury. Doktor spojrział na barometr, który wskazywał wysokość 12.000 stóp, była wówczas godzina 11 w nocy.

- Dzięki Bogu, wszelkie niebezpieczeństwo minęło - rzekł - nie mam już potrzeby znajdować się na tej wysokości.

## **ROZDZIAŁ XVI**

Około godziny 6-tej rano ukazało się na horyzoncie słońce; chmury rozeszły się, przy czym powiał łagodny wietrzyk. Balon pomimo przeciwnych prądów, nie usunął się ze swej drogi.

Doktor zmniejszył płomień gazu i opuścił balon celem obrania kierunku więcej na północ.

Przez czas dłuższy obliczenia jego nie dały pożądanego rezultatu, wiatr posuwał go w kierunku zachodnim, zorientował się dopiero, ujrawszy słynne góry księżycowe, tworzące półkole ponad jeziorem Tanganika

- Znajdujemy się w kraju, dotąd niezbadanym - rzekł doktor; - kapitan Burton podążył bardzo daleko na zachód, nie mógł jednak dotrzeć do tych słynnych gór, twierdząc, że ich wcale niema, podczas gdy towarzyszysz jego Speke był przeciwnego zdania.

- My, kochani przyjaciele, o istnieniu tych gór nie mamy potrzeby wątpić, gdyż oglądamy je własnymi oczyma.

- Czy wzniesiemy się ponad nie? - zapytał Kennedy.

- Przypuszczam, że nie. Mam nadzieję znaleźć pomyślny wiatr, który nas poniesie na równik, tak, nawet gotów jestem zrobić z "Victorią" to, co się robi z okrętem, który przy niesprzyjającym wietrze zarzuca kotwicę.

Oczekiwania doktora miały być niebawem uwieńczone pomyślnym rezultatem. Po zbadaniu prądów

na rozmaitych wysokościach "Victoria" posunęła się z umiarkowaną szybkością w kierunku północno-wschodnim.

- Znaleźliśmy dobry kierunek - rzekł doktor, spoglądając na kompas - znajdujemy się zaledwie o 200 stóp od ziemi; wszystko nam sprzyja do zbadania tych nowych okolic.

- Czy pozostaniemy długo w tym kierunku? - pytał Kennedy.

- Być może, zadaniem naszym jest wycieczka do źródeł Nilu i mamy przebyć jeszcze więcej niż 600 mil celem dojścia do tych miejsc, do których dotarli podróżnicy, dążący z północy.

- Czy nie zejdziemy na ląd, celem wyprostowania członków naszych? - pytał Joe.

- Naturalnie, prócz tego musimy oszczędzać nasze zapasy żywności; po drodze, kochany Dicku, zaopatrzyć nas w świeże mięso.

- I owszem.

- Musimy także odnowić zapasy wody. Kto wie, czy nie znajdziemy się w okolicach bezwodnych, trzeba się na wszelką przygotować ostateczność.

W południe "Victoria" znalazła się pod  $29^{\circ}15'$  długości i  $3^{\circ}15'$  szerokości. Przebiegała ona ponad wsią Ugofu, stanowiącą granicę północną Unyamwesi, obok jeziora Ukerewe, którego jeszcze dojrzeć nie było można.

Ludy zamieszkujące bliżej równika, zdają się być cywilizowanymi. Rządzą tu monarchowie despotyczni. Najwięcej ludności posiada prowincja Karagwah.

Podróżnicy nasi postanowili w pierwszym korzystnym na ten cel miejscu wylądować.

Uchwalono też zatrzymać się dłużej i ściśle zbadać balon. Płomień dmuchawki zmniejszono, wyrzucona z łodzi kotwica poruszała z lekka trawę niezmiernieją łąki.

"Victoria" muskała jak olbrzymi motyl trawę, nie pochylając jej zupełnie. Nie można było zauważyć żadnego wystającego przedmiotu, jednostajny tylko zielony ocean bez wszelkich wzgórz.

- Możemy tak długo podróżować - rzekł Kennedy. - Wszerz i wzdłuż nie widzę drzewa; polowanie w tej okolicy zdaje mi się wątpliwym

- Cierpliwości, kochany Dicku, przecież nie mógłbyś polować w trawie, wyższej od ciebie.

W istocie była to śliczna jazda, prawdziwa żegluga na tym zielonym, przejrzystym morzu, kołyszącym się pod wpływem podmuchu wiatru to w jedną, to w drugą stronę.

Nagle balon uległ silnemu wstrząśnieniu, kotwica bez wątpienia uczepliła się odłamowi skały, ukrytej w olbrzymiej trawie.

- Siedzimy mocno! - wołał Joe.

- A więc wyrzucić drabinę! - rozkazał strzelec.

Nie zdołał jeszcze wyrzec tych słów, gdy nagle w powietrzu rozległ się przejmujący krzyk.

- Co się stało? - wołał Kennedy.

- Dziwny krzyk.

- Stój, posuwamy się!

- Kotwica musiała się oberwać!

- Trzyma się! - zapewniał Joe, który ciągnął linę.

- Skała posuwa się!

Dziwny ruch powstał w trawie. Olbrzymi szary potwór podniósł się z zielonych bałwanów.

- Wąż - wołał Joe.

Kennedy chwycił za strzelbę.

- To trąba słonia - powiedział doktor.

- Słoń! - zawołał Dick i chciał strzelić.

- Czekaaj, czekaaj! bez wątpienia zwierzę nas ściąganie.

Słoń biegł dość szybko. Niebawem przybył na miejsce zarośnięte niższą trawą i można go było widzieć dokładnie. Był to samiec wybornej rasy. Zwierzę miało dwa prześliczne zagięte kły długości około 8 stóp. Wąsy kotwiczne mocno się między nimi powikłały.

Zwierzę za pomocą trąby chciało się pozbyć liny, która łączyła je z łodzią.

- Naprzód! odważnie - wołał radośnie Joe, kierując tym oryginalnym zaprzęgiem. - Mamy znowu nowy sposób podróżowania, kto teraz spojrz na konia? My podróżujemy w karecie zaprzęzonej w słonia!

- Ależ dokąd on nas zawiezie? - pytał Kennedy, poruszając strzelbą, która go paliła w dłoniach.

- Dokąd zachcemy, kochany Dicku, proszę tylko o trochę cierpliwości.

- Wig a more, wig a more! jak mówią wieśniacy szkoccy - zawołał rozweselony Joe. - Jazda!

jazda!

Zwierzę puściło się galopem, poruszało trąbą to na prawo, to na lewo i wyrządzało łodzi w swych podskokach silne wstrząśnienia. Doktor trzymał w pogotowiu topór celem przecięcia liny.

Podróż ta trwała około 1 1/2 godziny; zwierzę nie zdawało się wcale być zmęczonym. Zmiana gruntu zmusiła doktora do zmiany środka lokomocji. W odległości trzech mil ukazał się gęsty las, było więc koniecznym odczepić balon od jego przewodnika i Kennedy otrzymał polecenie zastrzelenia słonia. Pierwsza kula, która padła na czaszkę, odbiła się jak o żelazną płytę; zwierzę nie zostało tknięte, strzał spowodował tylko szybszy bieg jego.

- A to fatalne! - zawołał Kennedy.

- Jakiż twardy łeb ma to zwierzę!

- Muszę panu pomóc - rzekł Joe, biorąc nabitą strzelbę - inaczej nie będzie końca. - W tej chwili padły duże kule. Słoń stanął, podniósł trąbę i pobiegł szybko w stronę lasu, poruszał

swą olbrzymią głową, a krew ciekła strumieniami z otrzymanych ran.

- Strzelajmy dalej, panie Dicku!

- Strzelajcie bezustannie - dodał doktor; - jesteśmy już blisko lasu.

Dziewięć wystrzałów nastąpiły jeden po drugim. Słoń strasznie zaczął się rzucać; łódka i balon trzeszczały i przypuścić było można, że wszystko uległo złamaniu. Położenie zdawało się krytycznym, silnie przymocowana lina kotwiczna nie dała się ściągnąć, ani też nie można jej było przeciąć.

Balon z wielką szybkością zbliżał się do lasu i w tej samej chwili, gdy zwierzę łeb podniosło, otrzymało strzał w oko. Słoń zatrzymał się, kolana jego zgięły się, jakby oczekiwał dalszych strzałów.

- Kulę w serce! - zawołał Dick i wystrzelił.

Słoń wydał przeraźliwy krzyk, poruszył trąbą i padł całym swym ciężarem na jeden ze swoich kłów, który w środku został przełamany. - Kieł złamany - zawołał Kennedy - za który w Anglii można by otrzymać 35 gwinei.

- Aż tyle - rzekł Joe i spuścił się po drabinie na ziemię.

- Nie masz czego żałować Dicku - powiedział doktor - czyż zajmujemy się handlem kością słoniową? Czyśmy tu przyjechali po to, aby zabierać zdobycze?

Joe zbadał kotwicę, wisiała ona mocno na nieuszkodzonej linie. Samuel i Dick zeskoczyli na ziemię, podczas gdy balon krążył nad cielskim zwierzęciem.

- Wspaniałe zwierzę! - wołał Kennedy. - Co za olbrzym, nigdy w Indiach nie widziałem słonia tak wielkich rozmiarów.

- Nie masz się czego dziwić, kochany Dicku, słonie w środkowej Afryce są największe.

- A teraz - rzekł Joe - przyrządzę wam, moi panowie, z tego "małego" wyborną pieczeń. Pan Kennedy może się udać na dwie godziny na polowanie, pan Samuel przedsięwzięmie przegląd "Victorii", ja zaś zajmę się kuchnią.

- Dobrześ zarządził - rzekł doktor - róbcie, co wam się podoba.

- Nie omieszkam skorzystać z pozwolenia - rzekł Dick - i spodziewam się dobrych rezultatów.

I Kennedy znikł ze swą strzelbą w głębi lasu.

Joe, nie tracąc czasu, zabrał się do gospodarstwa. Wyłobił przede wszystkim w ziemi dziurę, dwie stopy głęboką i napełnił ją suchymi gałęziami, które podpalił. Potem zwrócił się w kierunku, gdzie zwierzę padło i zręcznie wybrał najlepsze części mięsa. Gdy gałęzie wypaliły się i dziura pełna była popiołu i węgla, owinał mięso słonia w aromatyczne liście i włożył je do improwizowanego pieca, przykrywając gorącym popiołem, później urządził nad tym piecykiem drugie palenisko i, gdy drzewo się wypaliło, mięso było upieczone.

Joe umieścił pieczyście na zielonych liściach i urządził ucztę na pięknym polu; dołączył do tego suchary, wino, kawę i zaczerpniętą w pobliskim stawie świeżą, czystą wodę.

W ten sposób przyrządzona ucztą miała przyjemny wygląd, a Joe myślał sobie, że spożycie jej sprawi jeszcze przyjemniejsze wrażenie.

- Podróż bez zmęczenia i niebezpieczeństwa - mówił do siebie - obiad o właściwej porze, miejsce do spoczynku zawsze gotowe, czegoż więcej można sobie życzyć, a ten poczciwy pan Kennedy nie chciał się z nami zabrać!

Doktor ze swej strony zajął się zbadaniem balonu, który nic od ostatniej przygody nie ucierpiał

Zaledwie pięć dni temu podróżnicy opuścili Zanzibar, zapasy żywności starczyły jeszcze na długą podróż, potrzeba tylko było odnowić zapasy wody.

Po ukończeniu badania, doktor zajął się uporządkowaniem notatek, naszkicował okolicę, oraz balon, unoszący się nieruchomie nad cielskim olbrzymiego słonia.

Po upływie dwóch godzin powrócił Kennedy ze sporą paczką tłustych kuropatw i antylopą.

- Stół nakryty - meldował zadowolony Joe.

I trzech podróżnicy zasiedli na zielonej trawie; pieczeń słonia okazała się wyborną, pito jak zwykle na cześć Anglii i zapach wybornych cygar hawańskich rozniósł się po raz chyba pierwszy w tym precudownym kraju. Kennedy jadł, pił i mówił za trzech, był formalnie oszołomiony, proponował doktorowi, zupełnie serio, osiedlić się w tym lesie, wybudować chatę i założyć dynastię afrykańskich Robinsonów.

## ROZDZIAŁ XVII

Nazajutrz, o 5-tej godzinie z rana, rozpoczęły się przygotowania do podróży, które niebawem zostały ukończone i "Victoria" uniosła się, pędząc z szybkością 18 mil na godzinę w kierunku północnego wschodu. Doktor poprzedniego wieczora z wysokości gwiazd określił ściśle położenie. Znajdowano się pod 2°40' szerokości południowej od równika, co się równa 160

milom geograficznym.

"Victoria" przesuwała się ponad licznymi wioskami, nie troszcząc się o krzyki ludności.

Doktor szkicował widoki okolic, przebył Rubemhe, prawie tak stromy jak Usagara i napotkał

potem w Tenga pierwsze ślady łańcucha gór Ukerewe, które wedle jego mniemania, miały być początkiem Gór Księżycowych. Z Kafuro, wielkiego okręgu handlowego kraju, zauważył

na koniec na horyzoncie poszukiwane jezioro, które kapitan Speke ujrzął w dniu 3 sierpnia 1858 roku. Fergusson uczuł na widok ten wzruszenie; osiągnął on prawie cel swej podróży odkrywczej i, zaopatrzony w lunetę, nie mógł oderwać oczu od tego tajemniczego kraju.

Pod nim roztaczała się cudowna kraina. Całe terytorium, usiane górami średniej wysokości, dobiegającymi aż do jeziora. Pola jęczmienia zamieniały uprawę ryżu; tu rosło "plantago", z którego wyrabiają krajowe wino i "mwani", dzika roślina, używana zamiast kawy.

Około 50 chat o dachach krytych słomą kolorową, tworzyło stolicę Karagwah.

Z wysokości można było zauważyć zdumione oblicza dość pięknej rasy o żółtobrunatnej cerze. Kobiety o nieprawdopodobnej tuszy poruszały się z trudem w plantacjach, przy czym doktor objaśnił towarzyszy, że otyłość tę zawdzięczają ciągłemu picciu gęstego mleka.

O godzinie 12-tej znajdowała się "Victoria" pod 1°45' południowej szerokości, o 1-szej wiatr pogał ją ponad jezioro. Kapitan Speke nadał temu jezioru nazwę Victoria-Nyanza (Nyanza-jezioro).

W tym miejscu mogło ono mieć szerokości około 90 mil, na południowym krańcu znalazł

kapitan grupę wysp, którą nazwał archipelagiem Bengalskim. Dotarł aż do Muanza, na wybrzeżu wschodnim, gdzie był dobrze przyjętym przez sultana. Dokonał

trygonometrycznych pomiarów jeziora, nie mógł jednak znaleźć barki celem przejechania tegoż i zwiedzenia dużej wyspy Ukerewe.

Ten zaludniony kraj był rządzony przez trzech sultanów i tworzy obecnie półwysep.

"Victoria" zbliżyła się do jeziora więcej na północ ku wielkiemu zmartwieniu doktora, który pragnął określić południową jego część. Zarośnięte gęstymi krzakami brzegi, ginęły literalnie pod miriadami jasnobrunatnych moskitów. Kraj ten nie był zamieszkały; widziano całe stada koni rzecznych, tarzających się w krzakach, lub wynurzających łby z białawej wody jeziora.

Z góry jezioro wydawało się tak dużym, iż można było sądzić, że to morze.

Doktor z trudem kierował balonem, obawiał się uniesienia na wschód, ale na szczęście prąd zagnał go bezpośrednio na północ i o 6-tej godzinie wieczorem opuściła się "Victoria" na małą wyspę, 20 mil oddaloną od wybrzeża pod  $0^{\circ}30'$  szerokości i  $35^{\circ}52'$  długości.

Podróżnicy umocowali kotwicę na drzewie, a ponieważ pod wieczór wiatr ustał, "Victoria"

zawisała spokojnie. Nie można było myśleć o wylądowaniu, tutaj, tak samo jak na wybrzeżach jeziora Nyanza całe legiony moskitów pokrywały ziemię.

Joe, który zajął się przytwierdzeniem kotwicy, powrócił pokłuty, ale nie gniewał się o to, gdyż zachowanie moskitów uważał za bardzo naturalne.

W środę, 23 kwietnia, o godzinie 4-tej rano, "Victoria" wyruszyła w drogę.

Panowała gęsta mgła, niebawem jednak przez wiatr rozwiana i balon posunął się prostą drogą w kierunku północnym.

- Jesteśmy na dobrej drodze - zawołał radośnie doktor - jeżeli nie dziś, to nigdy nie ujrzymy Nilu. Moi przyjaciele, tutaj przebywamy równik!

- Oho! - zawołał Joe - więc tu przechodzi równik?

- Tak jest, kochany chłopcze.

- A więc, zdaje mi się, że wypadaloby go uczcić i to bez straty czasu.

- Szklanka grogu niechaj zatem uczci ten dzień - śmiejąc się, odpowiedział doktor.

W ten sposób przejście linii na pokładzie "Victorii" było uroczyście obchodzone.

Balon szybko posuwał się dalej. Na zachodzie widziano niskie wybrzeże, a w oddali ukazywały się wzgórza Uganda i Usoga. Szybkość wiatru wzmagala się znacznie, robiono 30

mil na godzinę.

Wody Nyanzy wezbrały i szumiały jak bałwany morskie. - Jezioro to - powiedział doktor -

jest bardzo głębokie i prawdopodobnie skutkiem swego wzniesienia jest naturalnym łożyskiem rzek wschodniej części Afryki. Niebiosa powracają mu za pomocą deszczu wody, które skądinąd mu odbierają. Zdaje mi się prawie na pewno, że Nil stamtąd wypływa.

- Zobaczymy - dodał Kennedy.

Zbliżano się teraz do zachodniego wybrzeża, widocznie było opuszczonym Wiatr dał w kierunku wschodnim i można było ujrzeć drugi brzeg jeziora. Fergusson, kierując balonem, jednocześnie



ciekawie przyglądał się temu krajowi.

- Patrzcie! - wołał on - patrzcie, przyjaciele, opowiadania Arabów były prawdziwe! Mówili oni o pewnej rzece na północy, do której wpada Ukerewe. Rzeka ta istnieje, przejeżdżamy nad nią, płynie z szybkością naszego wlotu i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa łączy się z wodami morza Śródziemnego. To Nil!

- To Nil! - Powtórzył Kennedy, któremu udzielił się zapal Fergussona.

- Niech żyje Nil! - wołał Joe.

Olbrzymie skały tamowały bieg tej tajemniczej rzeki; wody burzyły się, tworzyły katarakty, które utwierdzały jeszcze więcej w mniemaniu, iż tutaj należy szukać źródeł Nilu.

- To Nil! - powtórzył stanowczo doktor - zarówno jego nazwa, jak źródło, skąd wypływa, gorąco zajmowały uczonych. Nazwę wywodzono z języków greckiego, koptów i sanskrytu; wreszcie na jedno to wyjdzie, skąd nazwę swą wywodzi, gdy nareszcie odsłoni tajemnicę swych źródeł.

- Lecz - dodał strzelec - jak możemy się przekonać, iż rzeka ta, jest tą samą, którą podróżnicy z północy zbadali?

- Otrzymamy pewne dowody - odpowiedział Fergusson - jeżeli tylko wiatr będzie nam sprzyjał przez jedną godzinę.

Góry usuwały się, ustępując miejsca licznym wioskom, otoczonym polami trzciny cukrowej i sezamu. Ludność tych okolic była nieprzyjacielsko usposobioną, widać było, że jest więcej skłonna do gniewu, niż ubóstwiania cudzoziemców; zdawało się, iż uważano badanie źródeł

Nilu za świętokradztwo. "Victoria" musiała wystrzegać się strzałów karabinowych.

- Muszę tu wylądować - dodał Fergusson - chociażby na kwadrans, w przeciwnym razie rezultaty naszych odkryć nie mogą być określone.

- Więc jest to koniecznym?

- Niewątpliwie i wylądujemy, chociażbyśmy byli zmuszeniu użyć broni.

- Owszem - odpowiedział Kennedy, spoglądając na swą strzelbę.

- Nie byłoby to po raz pierwszy, że z bronią w ręku odda się usługę nauce - rzekł doktor - coś podobnego wydarzyło się pewnemu francuskiemu uczonemu w górach hiszpańskich.

- Bądź spokojny, Samuelu, i spuść się na twoją straż przyboczną.

- Czy wzniesiemy się jeszcze wyżej, panie doktorze?

- Tak, aby uwidocznić sobie dokładnie ukształtowanie kraju.

Po upływie 10 minut "Victoria" wznosiła się do 2500 stóp ponad ziemię. Z tej wysokości można było zauważyć całą sieć strumieni, które rzeka przyjmowała w swoje łóżysko.

- Jesteśmy w miejscu oddalonym o 90 mil od Sandokoro - powiedział doktor - i niespełna 5 mil od miejsca, którego dosięgli podróżnicy, idąc z północy. Zbliżyliśmy się ostrożnie ku ziemi - i "Victoria" opuściła się o 2000 stóp.

- Teraz przyjaciele, bądźcie na wszystko przygotowani!

"Victoria" opuściła się jeszcze i była oddaloną zaledwie o 100 stóp od ziemi. Tuziemcy wrogo usposobieni znajdowali się we wsiach, położonych na brzegach rzeki.

Pod 2-gim stopniem tworzy Nil spadek, mający około 10 stóp wysokości i jest nie do przebycia.

- To jest wodospad, opisany przez pana Debono - rzekł doktor.

Łóżysko rzeki rozszerzało się i było usiane licznymi wyspami, z których Fergusson nie spuszczał oczu. Zdawało się, że szukał miejsca do wylądowania. Kilku negrów, płynących w łodzi pod balonem, powitał Kennedy wystrzałem, nie trafiającym ich wszakże. Czarni na odgłos strzałów szybko skierowali łódź do brzegu.

- Szczęśliwej podróży! - wołał Joe. - Na ich miejscu nie wracałbym w pobliże takiego potwora, ciskającego piorunami.

Nagle Fergusson chwycił za lunetę i skierował ją na wyspę, położoną w środku rzeki.

- Cztery drzewa, patrzcie, oto tam!

W istocie były widoczne cztery, oddzielnie wznoszące się drzewa.

- To wyspa Benga! nie ulega żadnej wątpliwości! Z pomocą Boską tam wylądujemy - dodał doktor.

- Ale zdaje się, iż wyspa ta jest zamieszkaną, panie Samuelu.

- Joe ma słuszość, jeżeli się nie mylę, spostrzegam około 20 tuziemców.

- Zmusimy ich do ucieczki, przyjdzie to łatwo - odpowiedział Fergusson.

"Victoria" zbliżała się do wsi. Negrzy, należący do szczepu Makado, wydali straszny krzyk; jeden z nich podrzucił w górę kapelusz, Kennedy wycelował i kapelusz rozleciał się w kawałki.

Był to sygnał do ogólnej ucieczki; tuziemcy rzucili się do rzeki i przepłynęli ją; z obydwóch brzegów padał grad kul, nie wyrządzających żadnych szkód balonowi, którego kotwica opuściła się na odłamek.

skały.

Joe zszedł na ziemię.

- Drabinę! - wołał doktor - za mną Kennedy!

- Co zamierzasz robić?

- Wsiąść, potrzeba mi świadka!

- Jestem gotów!

- Joe, czuwaj!

- Chodź Dicku - powiedział doktor, gdy stanął na lądzie i zaprowadził swego towarzysza do grupy skał, znajdujących się na skraju wyspy.

Przybywszy tu, robił przez czas pewien poszukiwania, nagle pochwycił strzelca za rękę i rzekł: - Patrz tam!

- Litery! - zawołał Kennedy.

W istocie ukazały się w skale wyryte duże, zupełnie czytelne litery "A.D."

- A.D. - mówił doktor ( Andrea Debono! pierwsze litery imienia i nazwiska podróżnika, który badał górny bieg Nilu.

- Nie ulega to wątpliwości!

- Czy teraz jesteś przekonany?

- To Nil, nie można o tym więcej wątpić!

Doktor spojrział jeszcze raz na te drogocenne inicjały i odrysował ściśle ich formę i wielkość.

- A teraz wróćmy do balonu! - zawołał.

- Prędko, gdyż są tam liczni tuziemcy, zamierzający przepłynąć rzekę.

- Mało nas to teraz obchodzi. Jeżeli wiatr przez parę godzin poniesie nas na północ, to dotrzemy do Gondocoro i uściśniemy dłonie naszych rodaków.

Po upływie 10 minut "Victoria" uniosła się majestatycznie; doktor na znak osiągniętych rezultatów wywiesił flagę Anglii.

## **ROZDZIAŁ XVIII**

- Dokąd dążymy? - pytał Kennedy przyjaciela, rozpatrującego kompas.

- Na północ i północny zachód.

- Do licha! To nie północ?

- Mniemam, że trudno nam będzie dotrzeć do Gondocoro, żałuję tego, ale nie narzekam, gdyż będziemy mogli zbadać wschód.

"Victoria" stopniowo oddalała się od Nilu.

- Patrzymy po raz ostatni na ten dotąd nie przekroczony stopień szerokości, po za który najodważniejsi podróżnicy nie mogli się przedostać. Przebywają tu niedostępne plemiona, o których opowiadali Petherik, D'Arnaud, Miani, oraz młody podróżnik Lejean, któremu zawdzięczamy najlepsze prace o górnym biegu Nilu.

- Czy nasze odkrycia i przypuszczenia są zgodne z hipotezami naukowymi? - zapytał

Kennedy.

- Zupełnie. Źródła Białej rzeki, Bahr-el-Abiad, są ukryte w jeziorze, wielkości morza, tam bierze ona początek. Poezja wprawdzie na tym fakcie wiele utraci, albowiem rzecę tej przypisywano pochodzenie niebiańskie. Starożytni ludy nazywały rzekę ową oceanem i wierzono, że bierze ona swój początek na słońcu.

- Widać znowu kataraktę - rzekł Joe.

- To katarakta Makado, na 3° szerokości, zupełnie się zgadza! Ach, dlaczegoż nie można parę godzin podróżować z biegiem Nilu!

Wiatr poniosł teraz "Victorię" na północny zachód. Celem ominięcia góry Logwek, zwiedzanej niegdyś przez podróżnika Debono, musiano opuścić się nieco niżej.

- Moi przyjaciele - rzekł doktor do swych towarzyszy - teraz dopiero zaczyna się nasza podróż odkrywczą w Afryce, dotąd bowiem szliśmy po śladach naszych podróżników.

Udajemy się w świat nieznaną, czy odwaga was nie opuści?

- Nigdy! - zawołali jednocześnie Dick i Joe.

- W drogę więc i niebo niech nam sprzyja!

O 10-tej godzinie wieczorem podróżnicy dotarli przez przepaście i lasy i rozproszone wsie do Gór Drżących.

W tym pamiętnym dniu, 23 kwietnia, przebyli w 15 godzin, gnani silnym wiatrem, przeszło 315 mil. Ostatnia część tej podróży pozostawiła podróżnikom smutne wrażenie. Zupełna cisza panowała w łodzi. Czy doktor był zajęty wyłącznie swymi odkryciami? Czy towarzysze jego rozmyślali o podróży przez nieznaną kraj? Do tych myśli przyłączały się bez wątpienia wspomnienia przyjaciół

oddalonych i Anglii.

Joe nie troszczył się o nic, umiał jednak uszanować ogólne milczenie.

O 10-tej godzinie wieczorem "Victoria" zarzuciła kotwicę po drugiej stronie Gór Drżących, spożyto wieczerzę i wszyscy zasnęli. Następnego ranka podróżnicy znów się ożywili.

Była piękna pogoda i dął pomyślny wiatr, a dobre śniadanie, przyrządzone przez Joego, do reszty naprawiło humor małego towarzystwa.

Kraj, który teraz trzeba było przejechać jest olbrzymi, graniczy z Górami Księżycowymi i górzystą okolicą Darfur. Wielkość jego równa się wielkości Europy.

- Przejeżdżamy teraz kraj tak zwany Usoga - powiedział doktor. - Geografowie twierdzili, że w środkowym punkcie Afryki znajduje się olbrzymie międzymorze, sprawdzimy, czy przypuszczenie to jest prawdziwe. - Skąd oni doszli do tego przypuszczenia? - pytał Kennedy.

- Dzięki podaniom Arabów, opowiadających chętnie i często za wiele, wszelako może być w tym część prawdy. Na podstawie tych sprawozdań rysowano karty i, zdaniem moim, trzeba będzie w podróży naszej kierować się jedną z nich.

- Czy kraj ten jest zamieszkały? - dopytywał się Joe.

- Naturalnie, ale nie gęsto. Rozrzucone tu plemiona nazywają ogólnym mianem Nyam-Nyam, są one ludożercami.

Po południu horyzont pokrył się gęstą mgłą, unoszącą się z ziemi i doktor w obawie uderzenia o jakąś skałę o godzinie 5-tej zatrzymał balon.

Noc przeszła bez wypadku, skutkiem wielkiej ciemności podwojono czujność.

Po przebudzeniu się Joe meldował: - Pora śniadania, musimy się zadowolić kawą i suszonym mięsem, dopóki pan Kennedy nie będzie miał sposobności zaopatrzenia nas w świeżą zwierzynę.

## **ROZDZIAŁ XIX**

Wiatr dął silnie i nieregularnie, "Victoria" formalnie lawirowała w powietrzu, rzucała to na północ, to na południe, nie mogąc natrafić na stały prąd powietrzny.

- Jedziemy bardzo szybko, ale nie posuwamy się - rzekł Kennedy, spoglądając na bezustanne chwianie się igły magnetycznej.

- "Victoria" posuwa się z szybkością 18 mil na godzinę - rzekł Fergusson. - Spójrzcie na dół, a przekonacie się, jak szybko usuwa się to pole z pod nóg naszych. Las ten wygląda, jakby się chciał na nas rzucić.

- Las ten już wytrzebiony - zauważył strzelec.

- A z tego lasu powstała wieś - dodał Joe. - Zdaje mi się, że rozpoznaję parę zdziwionych negrów.

- Jest to bardzo naturalne - objaśnił doktor - francuscy wieśniacy, ujrawszy po raz pierwszy balon, strzelali doń, uważając go za zjawisko powietrzne, negrzy sudańscy mają więc zupełne prawo wyrażać swój podziw.

- Chciałbym z nich zażartować - powiedział Joe, podczas gdy "Victoria" unosiła się na wysokości 100 stóp ponad wsią.

- Za pozwoleniem pańskim, panie doktorze, rzuciłbym im pustą flaszkę, jeżeli się w drodze nie potłucze, będą ją czcili, jeżeli zaś ulegnie stłuczeniu, zrobią sobie z kawałków amulety.

Rzekłszy to, wyrzucił flaszkę, która rozleciała się w tysiące kawałków; tuziemcy wydali przeraźliwy okrzyk, rzucając się bezładnie do swoich namiotów.

Niebawem musiała "Victoria" wznieść się wyżej, gdyż na drodze napotkano las z drzewami wysokości 300 stóp, rodzaj stuletnich bananów.

- Prześliczne drzewa! - zawołał Kennedy - nic piękniejszego nie widziałem. - Patrzaj Samuelu!

- Wysokość tych bananów jest w istocie zadziwiająca, lecz w lasach nowego świata są jeszcze wyższe.

Podczas gdy rozmawiano o wysokości rozmaitych drzew, las ustąpił miejsca zbiorowisku chat, pośród których Joe zauważył ogromne drzewo i zawołał w zapale:

- Jeżeli to drzewo od 4000 lat wydaje takie owoce, to niema mu czego zazdrościć i wskazał na olbrzymi sykomor, którego pień zasłaniał członki ludzkie.

Kwiecie, o którym mówił Joe, były świeżo obcięte głowy ludzkie.

- Drzewo wojenne kanibalów - powiedział doktor; - Indianie zdejmują tylko czerepy, Afrykanie zaś całe głowy.

- Widocznie rzecz mody - zauważył Joe.

Z horyzontu tymczasem znikła wieś z obciętymi głowami; druga nieco dalej, niemniej wstrętnej przedstawiała widok, na wpół strawione trupy, oszpecone szkielety i rozproszone członki, pozostawione zostały na pożarcie hienom i szakalom.

- Są to ciała złoczyńców, rzuca się tu ich tak samo, jak w Abysynii na pożarcie dzikim zwierzętom. W okolicach południowej Afryki - mówił dalej doktor - złoczyńców zamykają w chatach, które podpalają.

Joe w tej chwili zauważył swym bystrym wzrokiem stado mięsożernych ptaków.

- Są to orły - objaśnił Kennedy. - Pyszne ptaki, których szybkość lotu równa się naszemu.

- Niech nas Bóg strzeże przed ich napaścią - rzekł doktor - obawiać się ich trzeba więcej niż dzikich zwierząt i barbarzyńskich plemion!

- Eh - ironicznie odezwał się strzelec - zaraz je wystrzałem rozegnam.

- Nie wątpię w celność twoich strzałów, lecz w tym wypadku wolałbym nie robić z nich użytku; osłona balonu nie wytrzymałaby uderzeń ich dziobów. Spodziewam się wszakże, że maszyna raczej odstręczy, niż pociągnie te straszne ptaki.

Była godzina 12-ta, "Victoria" od pewnego czasu miarkowała swą szybkość i znajdowała się niezbyt wysoko od ziemi. Nagle podróżni usłyszeli krzyki i gwizdanie, spojrzeli na dół i oczom ich przedstawiło się straszne widowisko. Dwa plemiona toczyły zawzięty bój; strzały biegły w różnych kierunkach. Zapalczywi wojownicy, których było przeszło 600, nie zauważyli "Victorii". Większość, we krwi brocząca, przedstawiała obrzydliwy widok.

Za ukazaniem się balonu walkę na chwilę przerwano, krzyki wzmogły się. Kilka strzałów puszczo w kierunku łodzi.

- Usuńmy się stąd - wołał doktor - na takie niebezpieczeństwo nie powinniśmy się narażać. -

Walka rozpoczęła się na nowo, jak tylko jeden z nieprzyjaciół padł na ziemię, przeciwnik obcinał mu głowę. Kobiety, znajdujące się wśród walczących, zbierały zakrwawione głowy i gromadziły je po obu stronach pola walki, często staczając z sobą bójkę o te obrzydliwe trofea.

- Straszna scena! - wołał Kennedy - gdyby jednak wojownicy nosili mundury, nie znalaziono by w czynnościach ich nic nadzwyczajnego.

- Miałbym ogromną ochotę pośredniczenia w tej walce - dodał strzelec, biorąc karabin do ręki.

- Nie pozwalam - rzekł doktor - troszczmy się o nasze własne sprawy! Czy wiesz, która strona ma słuszość, że chcesz odegrać rolę rozjemcy? Lepiej zrobimy, gdy usuniemy się jak najprędzej z tego miejsca.

Jeden z przywódców dzikich odznaczał się atletyczną postawą i herkulesową siłą.

Jedną ręką rzucił dzidę pomiędzy nieprzyjaciół, a drugą rąbał wokoło toporem. W tej chwili właśnie rzucił się na jednego z rannych i silnym uderzeniem topora odrąbał mu rękę, podniósł

ją do ust i zaczął zajadać.

- Ha! - zawołał Kennedy - obrzydliwa bestia, nie wytrzymam dłużej!

I wojownik, ugodzony strzałem strzelca w czoło, padł na ziemię.

Zdarzenie to wywołało wśród wojowników podziw i zdumienie; po kilku sekundach połowa walczących opuściła pole bitwy.

- Szukajmy wyżej prądu, który nas stąd uniesie - rzekł doktor - widowisko to sprawia mi obrzydzenie.

"Victoria" uniosła się, przeraźliwe krzyki hordy towarzyszyły jej jeszcze przez parę chwil, ale niebawem balon oddalił się od pobjowiska w kierunku południowym.

Ukazały się teraz liczne strumienie, płynące na wschód, niewątpliwie były to dopływy jeziora Nu, lub rzeki Gazelli, o której podróżnik Lejean głosił takie zadziwiające wieści.

Przy nastaniu nocy "Victoria", przejechawszy 150 mil, zarzuciła kotwicę pod 27° długości i 4°20' północnej szerokości.

## **ROZDZIAŁ XX**

Noc była bardzo ciemna. Doktor nie mógł zbadać kraju, kotwicę wpuszczono do bardzo mocnego drzewa, którego nie można było na razie rozpoznać. Fergusson wedle zwyczaju objął straż od godziny 9-tej, a o 12-tej zastąpił go Dick.

- Dicku, baczność - czujnie strzeż i zwracaj na wszystko uwagę!

- Czy jest co podejrzanego?

- Nie, ale usłyszałem pod nami nieokreślony szum, nie wiem dokąd nas wiatr zagnał, ostrożność nigdy nie zawadzi.

- Usłyszałeś pewnie poruszenie dzikich zwierząt.

- Nie, inny to był szum; jak tylko co spostrzeżesz, nie omieszkaj nas obudzić.

- Bądź spokojny!

Doktor jeszcze raz daremnie nasłuchiwał, po czym ułożył się do snu.

Horyzont był pokryty gęstymi chmurami, wiatr ustał zupełnie. "Victoria", choć przytrzymywana przez jedną tylko kotwicę, zawisała zupełnie spokojnie. Kennedy, opierając się o krawędź łodzi, spoglądał na dół, skierował wzrok na horyzont i zdawało mu się, że widzi jakieś światło. Była chwila, że wyraźnie widział światło w odległości 200 kroków, lecz znikło ono niebawem. Strzelec uspokoił się i oddał się rozmyśleniom, gdy nagle przeszył powietrze ogłuszający świst. Był to krzyk zwierzęcia, może nocnego ptaka? A może głos ten pochodził

z ust ludzkich? Chociaż pojmował ważność sytuacji, wstrzymywał się jeszcze od budzenia swych towarzyszy; zbadał broń swoją i skierował za pomocą nocnej lunety wzrok ku dołowi. Zdawało mu się, że widzi nieokreślone postacie, wdrapujące się na drzewo i w blasku księżycowym, padłym jak lekka błyskawica wśród dwóch chmur, poznał grupę postaci, poruszających się w różne strony. Przypomniała mu się przygoda z małpami i uważał za właściwe zbudzić doktora.

- Cicho, mówmy jak najciszej!



- Czy się co wydarzyło?

- Tak, trzeba zbudzić Joego.

Jak tylko się ten przebudził, strzelec opowiedział, co zauważył.

- Czy znowu te przekłete małpy? - pytał Joe.

- Być może, na wszelki wypadek trzeba przedsięwziąć środki ostrożności.

- Joe, wraz zenną - proponował Kennedy - spuści się na dół po drabinie.

- Ja zaś podczas tego - dodał doktor - przygotuję wszystko, abyśmy łatwo mogli wznieść się w górę. Używajcie broni tylko w ostatecznym razie, bezcelowym jest zaznaczanie naszej obecności.

Dick i Joe spuścili się po drzewie i zajęli na gałęzi obronną pozycję. Przez parę minut nic nie mówiąc, nasłuchiwali. Trzaskanie gałęzi przerywało jedynie ciszę nocną.

Wtem Joe pochwycił rękę Kennedy'ego i zapytał:

- Czy pan słyszysz?

- Słyszę, zbliżają się!...

- A może to węże?

- Przypuszczam, że ludzie!

- Wolałbym nawet, żeby to byli ludzie - mówił Joe do siebie - gdyż nie cierpię płazów.

- Szum wzmaga się - rzekł po paru chwilach Kennedy.

- Zdaje się, że włazą na drzewo.

- Czuwaj po tej, ja będą czuwał po tamtej stronie.

Siedzieli tak przez parę minut spokojnie, oczekując wypadków, nareszcie Joe szepnął do ucha Kennedy'emu.

- Negrzy!

W tej chwili doleciały do uszu podróżników parę półgłosem zamienionych słów. Joe trzymał strzelbę w pogotowiu.

- Poczekaj! - rozkazał Kennedy.

W istocie dzicy włazili na drzewo, zjawiali się z różnych stron i jak płazy czołgali się powoli, ale

pewnie; obecność ich zwiastowały wyziewy ciała, wysmarowanego wstrętnym olejem.

Niebawem Kennedy i Joe ujrzeli dwóch negrów szybko ku nim się zbliżających.

- Bacność! - dowodził Kennedy. - Ognia!

Podwójny strzał padł, jak uderzenie piorunu i zgasł wśród okrzyku bólu. Po paru minutach cała zgraja znikła.

Wśród wrzawy, towarzyszącej ucieczce rozległ się dziwny, niezrozumiały obok głos ludzki, wzywający pomocy w języku francuskim: - Na pomoc! Na pomoc!

Kennedy i Joe szybko powrócili do łodzi.

- Czyście słyszeli? - zapytał doktor.

- Naturalnie! - krzyk rozpaczliwy: na pomoc! na pomoc.

- Francuz w rękach tych barbarzyńców.

- Nieszczęśliwy, mordują go, torturują!

Doktor z trudem zdołał ukryć głębokie wzruszenie.

- Nie możemy o tym wątpić - rzekł on - że nieszczęśliwy Francuz wpadł w ręce tych dzikich, ale my go ocalimy.

- Naturalnie, Samuelu, oczekujemy twoich rozkazów. Ułożmy plan postępowania, najlepiej będzie przy wschodzie słońca uprowadzić Francuza.

- Ale w jaki sposób usuniemy tych nikczemnych negrów?

- Sądząc z ucieczki, przypuścić należy, że nie znają oni broni palnej. Zanim rozpoczniemy działać, oczekujmy świtu i ułożymy plan ratunkowy odpowiednio do właściwości miejsca.

- Biedny, nieszczęśliwy, nie może być daleko - mówił Joe - gdyż...

- Na pomoc! na pomoc! - powtórzył głos żałośnie, ale słabiej niż przedtem.

- Barbarzyńcy! - zawołał Joe wzburzony. - A gdy go tej nocy jeszcze zamordują?

- Słyszysz Samuelu - chwytając silnie za rękę doktora - a gdy go tej nocy jeszcze zamordują?

- powtórzył Kennedy.

- To nieprawdopodobne, dzikie plemiona zabijają swych jeńców we dnie, potrzeba im bowiem do tej uroczystości światła dziennego.

- Skorzystajmy z nocy, ażeby się zbliżyć do nieszczęśliwego - rzekł Szkot.

- Będę panu towarzyszył, panie Dicku.

- Nie, moi przyjaciele! Nie! plan ten przynosi zaszczyt waszej odwadze i sercu, ale możecie wszystkich nas zgubić, a tego nieszczęśliwego nie ocalicie.

- Dlaczego? - pytał Kennedy. - Dzicy są przestraszeni, rozproszeni, nie powrócą!

- Dicku, proszę cię, słuchaj mnie, działam we wspólnym interesie, gdybyś został napadnięty i wzięty do niewoli, wszystko byłoby stracone!

- Ale ten nieszczęśliwy czeka, spodziewa się i nie otrzymuje odpowiedzi; nikt mu na pomoc nie przychodzi. Musi myśleć, że uległ złudzeniu, że nie słyszał naszych strzałów...

- Można go uspokoić - odparł doktor; zrobił z rąk tubę i głośno krzyknął po francusku:

- Kim byś nie był, miej zaufanie, trzech przyjaciele, są blisko ciebie!

Straszny rozległ się krzyk, który bez wątpienia zagłuszył odpowiedź więźnia.

- Duszą go, duszą!... - wołał Kennedy. - Nasze wmieszanie posłużyło tylko do skrócenia godzin męki! Musimy działać!

- Ale jak, Dicku? Co zamierzasz czynić w tej ciemności?

- O! gdyby już dniało! - wołał Joe.

- I cóż byłoby wówczas? - pytał doktor.

- Wówczas położenie wyjaśniłoby się - odparł strzelec - zszedłbym na ziemię i strzałami rozpędził tę zgraję.

- A ty, Joe, co byś zrobił? - pytał dalej Fergusson.

- Ja bym wskazał więźniowi, w którą stronę ma uciec.

- A w jaki sposób zniósłbyś się z nim?

- Za pomocą strzały, do której przyczepiłbym kartkę, lub głośno krzyknąłbym doń; negrzy przecież języka naszego nie rozumieją.

- Plany wasze są niewykonalne, moi przyjaciele, najtrudniej by było nieszczęśliwemu ratować się ucieczką, gdyby mu się nawet udało zmylić czujność swych katów. Plan twój, Dicku, wystąpienia z bronią palną, może by się i udał, ale gdyby się nie powiódł, tobyś przepadł i wówczas musielibyśmy ratować dwie osoby zamiast jednej. Nie, musimy mieć po naszej stronie wszystkie widoki powodzenia.

- W każdym razie powinniśmy działać natychmiast - powiedział strzelec.

- Być może - odparł Samuel - podkreślając znacząco to słowo.

- Czy potrafisz pan rozproszyc ciemności? - zapytał Joe.

- Może...

- Jeżeli pan rzeczywiście potrafisz, ogłoszę pana za pierwszego uczonego w świecie.

Doktor milczał przez chwil parę, pogrążywszy się w głębokiej zadumie, a dwaj jego towarzysze spoglądali wyczekująco.

Położenie było wielce naprężone, Fergusson nareszcie przemówił.

- Posłuchajcie: Nasze dwieście funtów balastu są nienaruszone. Jeżeli więzień, który niewątpliwie skutkiem cierpienia jest osłabionym, waży tylko tyle, co każdy z nas, to pozostaje nam prócz tego 60 funtów balastu, który wyrzucić możemy, ażeby się wznieść wyżej. Jeżeli opuszczę się do więźnia i wyrzucę ilość balastu, odpowiadającą jego wadze, to równowaga balonu nie ulegnie żadnej zmianie. Gdy zaś potem wzniosę się wyżej, by uniknąć pościgu negrów, wówczas będę zmuszony użyć

silniejszego środka, niż dmuchawki tlenowodorowej; wyrzucę w odpowiedniej chwili nadmiar balastu i wzniosę się na pewno z wielką szybkością.

- Nie ulega to wątpliwości!

- W każdym razie będziemy mieli tu do czynienia z bardzo niekorzystnym objawem, a mianowicie: gdy później zechcę się opuścić, będę zmuszony stracić pewną ilość gazu, który jest dla nas bardzo cennym, ale nie możemy żałować jego utraty, gdy chodzi o ocalenie człowieka.

- Masz słuszość Samuelu, musimy wszystko poświęcić, ażeby ocalić nieszczęśliwego!

- Działajmy więc, przynieście worki na skraj łodzi, abyśmy mogli się ich pozbyć za jednym zamachem.

- A ciemność?

- Trzymajcie broń w pogotowiu, być może, że będziemy zmuszeni strzelać zbiorowo z karabinu, dwóch strzelb i 10 rewolwerów. Być nawet może, że nie będzie trzeba takiego hałasu. Czyście gotowi?

- Tak! - odpowiedzieli Kennedy i Joe.

- Dobrze, zwracajcie na wszystkie strony uwagę, Joe zsunie balast, a Dick uprowadzi więźnia; nic jednak stać się nie powinno bez mojego rozkazu. Joe uwolnij przede wszystkim kotwicę i wejdź do łodzi.

Joe spuścił się po linie i po kilku chwilach znowu powrócił do łodzi, a uwolniona "Victoria"

zawisała nieruchomie w powietrzu. Podczas tego doktor ściśle badał stan balonu, a przekonawszy się, iż jest w porządku, wyjął ze swej torby dwa kawałki węgla, które przymocował do izolowanych dwóch przewodników drucianych.

Kennedy i Joe przyglądali się tej czynności, nie rozumiejąc jej.

Doktor, ukończywszy swą pracę, stanął w pośrodku łodzi, wziął do rąk węgle i złączył je ze sobą; nagle ukazało się jasne światło pomiędzy dwoma węglami; snop elektrycznego światła, we właściwym słowa tego znaczeniu, rozjaśnił ciemności nocy.

- O mój panie! - zawołał Joe.

- Ani słowa! - rzekł doktor.

## **ROZDZIAŁ XXI**

Fergusson kierował światłem w różne strony okolicy, trzymając dłużej w miejscu, skąd rozległ się okrzyk rozpacz.

Drzewo, nad którym "Victoria" zawisła nieruchomie, znajdowało się wśród pól trzciny cukrowej. Widać było około 50 niskich, okrągłych chat, w których poruszały się w różne strony liczne postaci. Sto stóp pod balonem był urządzony pał, do którego przywiązany leżał

człowiek; był do młody mężczyzna, najwyżej 30 lat liczący, o długiej czarnej brodzie, na wpół odziany, źle wyglądający, okryty ranami, z których krew się sączyła.

Wygolone miejsce okrągłe na jego głowie wskazywało tonsurę.

- To misjonarz, ksiądz! - zawołał Joe.

- Nieszczęśliwy! - powiedział strzelec.

- Ocalimy go, Dicku, ocalimy! - rzekł doktor.

Gdy negrzy zauważyli balon podobny do komety ze świecącym ogonem, powstał wśród nich straszny zamęt. Podczas gdy oni krzyczeli, więzień podniósł głowę, oczy jego błysnęły radością i, nie wiedząc jeszcze, co się stało, wyciągnął obydwie swe dłonie ku zbawcom.

- Żyje! żyje! - zawołał Fergusson - Bogu niech będą dzięki! Dzicy są strasznie zatrwożeni.

Ocalimy go! - Jesteście gotowi przyjaciele?

- Tak.

- Joe zagaś dmuchawkę.

"Victoria" zaczęła się opuszczać. Po upływie dziesięciu minut Fergusson puścił swoje światło, które do tego stopnia przestraszyło negrów, że ratowali się ucieczką. Doktor nie bez podstawy liczył na skuteczność fantastycznego ukazania się "Victorii" i promieni, rzucanych w nieprzejrzaną ciemność.

Łódź zbliżała się ku ziemi. W trakcie tego wrócili z krzykiem odważniejsi z czarnych, domyślając się, że ofiara może im być wyrwana; Kennedy pochwycił strzelbę, lecz doktor zakazał strzelać.

Ksiądz leżał na kolanach, nie miał sił utrzymać się na nogach. Gdy łódź zbliżyła się do ziemi, Kennedy rzucił swą strzelbę, uniósł więźnia i ułożył w łodzi; ściśle w tej samej chwili Joe wyrzucił 200 funtów balastu.

Doktor zamierzał wznieść się teraz z nadzwyczajną szybkością, ale pomimo wszelkich zastosowanych środków, balon podniósł się na 3-4 stopy od ziemi i pozostał nieruchomym.

- Co nas powstrzymuje? - zawołał przestraszony Fergusson.

Przybiegło kilku dzikich, wydając przeraźliwe krzyki.

- O! - zawołał Joe, spoglądając na dół, jeden z tych przeklętych czarnych uczepił się łodzi.

- Dicku, Dicku! - zawołał doktor - wyrzuć skrzynię z wodą!

"Victoria", nagle pozbawiona około 100 funtów ciężaru, uniosła się o 300 stóp w górę.

- Hura! - wykrzyknęli towarzysze doktora.

Nagle balon uniósł się do 1000 stóp. - Co się stało? - zapytał Kennedy, tracąc równowagę.

- Nic, tylko ten łajdak opuścił łódź - odpowiedział spokojnie Fergusson.

I Joe, szybko wychyliwszy się z łodzi, ujrzał, jak dziki zataczał się, spadając na ziemię.

Doktor oddzielił teraz dwa druty elektryczne i znowu zapanowała poprzednia ciemność.

Była godzina 1-sza po północy.

Francuz nareszcie przebudził się z omdlenia i otworzył oczy.

- Jesteś pan ocalony - rzekł do niego doktor.

- Ocalony? - odpowiedział po angielsku, uśmiechając się smutnie - ocalony od męczeńskiej śmierci. Dziękuję wam bracia. Dni moje, a nawet godziny są policzone. - Rzekłszy to, popadł

znów w omdlenie.

- Umiera! - zawołał Dick.

- Nie, nie - odpowiedział Fergusson, nachylając się do chorego - ale jest bardzo chory, trzeba mu urządzić łożo w namiocie.

Urządzili łożo i ułożyli nieszczęśliwego, krwią zbrozonego. Całe ciało jego pokryte było ranami. Doktor przyrządził z chustki szarpie i położył na rany, obmywszy je poprzednio.

Później przyniósł ze swej apteki wzmacniające lekarstwo i wlał parę kropel do ust księdza.

- Dziękuję, dziękuję - mówił chory słabym głosem.

Fergusson był zdania, że potrzeba go zostawić obecnie w zupełnym spokoju, zasunął firanki namiotu i objął znowu ster balonu.

O świcie prąd unosił balon w kierunku zachodnim i północnozachodnim Fergusson obserwował przez chwilę niespokojny sen chorego.

- O! gdybyśmy mogli utrzymać przy życiu tego towarzysza, którego nam niebiosy zesłały! -

rzekł strzelec. - Czy masz nadzieję?

- Tak, Dicku!

Około wieczora "Victoria" zatrzymała się, a Joe i Kennedy zmieniali się przy chorym, podczas gdy Fergusson czuwał nad bezpieczeństwem balonu. Następnego ranka "Victoria"

posunęła się w kierunku zachodu, zdawało się, iż dzień będzie pogodny.

Misjonarz przywołał swoich nowych przyjaciół nieco silniejszym głosem. Rozsunięto zasłony i chory z zadowoleniem wciągał w siebie świeże, poranne powietrze.

- Jak się pan czujesz? - pytał Fergusson.

- Być może, że lepiej - odpowiedział - ale was, moi przyjaciele, dotąd widziałem tylko we śnie! Zaledwie mogę sobie zdać sprawę z tego, co zaszło! Kto wy jesteście, powiedźcie, abym was mógł wspominać w ostatniej mojej modlitwie.

- Jesteśmy angielskimi podróżnikami - odpowiedział doktor; - postanowiliśmy balonem objechać Afrykę i podczas naszej jazdy mieliśmy szczęście ocalić pana.

- Wiedza ma swoich bohaterów - rzekł misjonarz

- Religia zaś męczenników - dodał Szkot.

- Pan jesteś misjonarzem? - pytał doktor.

- Jestem kaznodzieją misyjnym Łazarzystów. Bóg mi was zesłał, niech będzie chwała Jego!

Przybywacie z ojczyznej części świata, opowiedzcie mi, proszę, o Europie, Francji, od pięciu lat jestem bez żadnej stamtąd wiadomości.

- Pięć lat przebywałeś pan wśród dzikich? - zapytał Kennedy.

- Tak - odpowiedział młody ksiądz - są to barbarzyńcy, ale współbracia, których tylko religia może oświecić.

Fergusson, czyniąc zadość żądaniu misjonarza, długo opowiadał o Francji. Ten słuchał go uważnie i żywi ciekły mu z oczu. Biedny człowiek ścisnął dłonie Joego i Kennedy'ego, a ręce jego były rozpalone od gorączki. Doktor przyrządził mu parę szklanek herbaty, którą chory wypił z apetytem.

- Jesteście odważnymi podróżnikami - powiedział on - i wasze ryzykowne przedsięwzięcie uda się wam; ujrzyte znowu waszych krewnych, przyjaciół, ojczyznę...

Misjonarz znów popadł w takie osłabienie, że musiano go położyć. Fergusson trzymał go przez parę godzin na rękach. Nie mógł zapanować nad sobą, patrząc, jak życie szybko ulata, czyżby mieli go znów utracić, wyrwawszy z objęć śmierci? Doktor opiekował się chorym z największą pieczołowitością, dzięki temu nieszczęśliwy stopniowo odzyskiwał przytomność.

Z urywanych słów księdza dowiedziano się jego historii. Misjonarz był biednym, młodym człowiekiem z Aradon, wsi w Bretanii, już od młodości marzył, aby zostać księdzem. Z życiem



ascetycznym chciał połączyć życie pełne niebezpieczeństwa i wstąpił do zakonu księży Misjonarzy W 20 roku życia opuścił swą ojczyznę i udał się do niegościnnych wybrzeży Afryki, a stamtąd, pomimo licznych przeciwności, dotarł do plemion, zamieszkujących górne dopływy Nilu. Przez dwa lata daremne były jego usiłowania celem nawrócenia niewiernych. Jedno z najdzikszych plemion Nyambarra uwięziło go; znosił najstraszniejsze katusze, ale pomimo to nie ustawał w nauczaniu i nawracaniu. Plemię to w jednej z walk z sąsiadującym szczepem zostało rozbite, a jego pozostawiono na pobojowisku w mniemaniu, że wyzionął ducha.

Zamiast jednak powrócić tam, skąd przyszedł, prowadził dalej swą pielgrzymkę.

Najspokojniejsze czasy, jakie przeżył, były te, kiedy uważano go za idiotę; przyswoił sobie narzecza tych okolic i nie przestawał nawracać.

W ten sposób przebiegał jeszcze przez dwa lata barbarzyńskie kraje, gnany nadludzką siłą, której tylko Bóg użyć może.

Od roku przebywał wśród "Barafri", jednego z najdzikszych plemion Afryki.

Przywódca tego plemiona zmarł przed paru dniami, a ponieważ misjonarza obwiniono o przyczynienie się do jego śmierci, postanowiono go zgładzić. Męczarnie jego trwały od 40

godzin, miał on umrzeć, jak słusznie przypuszczał doktor, następnego południa. Gdy usłyszał

odgłosy strzałów, odezwała się w nim chęć do życia. - Na pomoc, na pomoc - wołał i mniemał, że śni, gdy usłyszał z niebios pochodzące słowa pociechy.

- Nie żałuję ulatującego życia - dodał on - jest ono własnością Boga.

- Miej pan nadzieję - pocieszał go doktor - ocalimy cię od śmierci tak samo, jak ocaliliśmy od męczarni.

- Nie błagam niebios o to - odpowiedział ksiądz z pokorą. - Niech będzie pochwalony Bóg, który zezwolił mi raz jeszcze usłyszeć mowę ojczystą i uścisnąć dłonie przyjaciół.

Oslabienie znów nim opanowało. Przeszedł dzień pomiędzy nadzieją i obawą. Kennedy był

bardzo wzruszony, a Joe niejednokrotnie ocierał łzy ukradkiem.

"Victoria" posuwała się bardzo wolno.

Około wieczora Joe oznajmił, że na zachodzie ujrzał olbrzymie światło. Pod wyższą szerokością można by przypuścić, że zjawisko to jest wielkim światłem północnym Zdawało się, iż niebo stoi w płomieniach. Doktor starannie zbadał to zjawisko.

- Może to być tylko wulkan czynny - powiedział.

- Ale wiatr niesie nas w tym kierunku - dodał Kennedy.

- To nic, przesuniemy się ponad tym wulkanem.

Po upływie 3-ech godzin balon znalazł się po za górami między 24°15' długości i 4°42'

szerokości. Przed nim roztaczał się rozpalony krater, wyrzucający strumienie płynnej lawy i ciskający w górę rozpalone odłamki skał. Było to wspaniałe, ale zarazem niebezpieczne widowisko, gdyż wiatr gnał balon w kierunku atmosfery, stojącej w ogniu. Ponieważ wulkan był przeszkodą, której ominąć nie było można, musiano wznieść się ponad nią. Za pomocą rozgrzania dmuchawki balon wzniósł się do wysokości 6000 stóp.

Umierający ksiądz obserwował ze swego łoża ognisty krater, z którego wydobywały się wśród przeraźliwego łoskotu tysiące olśniewających płomieni.

- Jakie to piękne - rzekł - i jak nieskończenie wielką jest moc Boga, nawet w najstraszniejszych przejawach natury!

Około godziny 10-tej wieczorem wulkaniczna góra widniała na horyzoncie jak czerwony punkcik.

## **ROZDZIAŁ XXII**

Piękna noc roztoczyła się nad ziemią, misjonarz spał snem przerywanym.

- On już nie wyzdrowieje - rzekł Joe. - Biedny człowiek, taki jeszcze młody!

- Skona na naszych rękach - mówił doktor. - Oddycha coraz słabiej; nic go nie zdoła ocalić.

- Obrzydliwe bestie - wołał Joe z gniewem - a pobożny ten człowiek znajduje jeszcze dla nich słowa usprawiedliwienia, tak, on nawet im przebacza.

- Niebo zsyła mu jeszcze piękną noc, może ostatnią. Przypuszczam, że nie będzie już wiele cierpieć, zaśnie spokojnie snem wiecznym.

Umierający przemówił parę słów urywanych, doktor zbliżył się doń. Chory skarżył się na brak tchu i żądał więcej powietrza. Odsunięto zasłony namiotu i powiało łagodne, nocne powietrze, które chory z zadowoleniem wciągał w siebie.

- Moi przyjaciele - rzekł on słabnącym głosem; - umieram, niechaj Bóg, który wynagradza dobre uczynki, doprowadzi was do pewnego portu i życzenia moje spełni.

- Niech pan nie traci nadziei - rzekł Kennedy - to tylko przemijający atak osłabienia.

- Śmierć zbliża się - odpowiedział misjonarz - pozwólcie mi spojrzeć jej w oczy odważnie.

Śmierć jest tylko początkiem wieczności i końcem wszelkich trosk ziemskich. Pomóżcie mi uklęknąć, bracia moi, proszę was o to!

Kennedy uniósł go, strasznie było patrzeć jak bezsilne członki ugiwały się pod nim.

- Boże mój! Boże! - wołał umierający apostoł - ulituj się nade mną!

Ostatnie słowa, jakie wypowiedział, były błogosławieństwem nowych swych przyjaciół, po czym padł na ręce Kennedy'ego, którego twarz zalała się łzami.

- Umarł! - powiedział doktor, nachylając się nad nim - umarł!

I przyjaciele zgięli kolana, cicho wymawiając słowa modlitwy.

- Jutro rano - rzekł Fergusson - pochowamy go w tej ziemi afrykańskiej, zroszonej krwią jego.

Doktor, Kennedy i Joe podczas reszty nocy czuwali przy zwłokach.

Następnego rana wiatr dał z południa i "Victoria" unosiła się dość wolno ponad pustą, górzystą okolicą. Ukazywały się tu zagasłe kratery, tam głębokie wąwozy; nigdzie jednak nie widziano kropli wody.

Doktor postanowił wylądować w jednym z wąwozów, celem pochowania zwłok. Otaczające góry miały chronić balon przed wiatrami i umożliwić opuszczenie się na ziemię, gdyż nie znaleziono ani jednego drzewa, na którym by można zawiesić kotwicę.

Skutkiem wyrzucenia balastu przy uprowadzeniu misjonarza mógł balon opuścić się tylko za pomocą utraty gazu. Fergusson otworzył zatem klapę balonu i wodór sycząc począł ulatniać się, a "Victoria" natychmiast opuściła się do wąwozu.

Jak tylko łódź dotknęła ziemi, doktor zamknął klapę, Joe zeskoczył na ziemię, trzymając się ręką krawędzi łodzi, a drugą zbierał kamienie, mające zastąpić jego wagę. Wkrótce mógł użyć do tej czynności i drugiej ręki; niebawem złożył 500 funtów kamienia do łodzi, wówczas doktor i Kennedy mogli także wysiąść, a "Victoria" została unieruchomioną.

Ponieważ zebrane kamienie były nadzwyczaj ciężkie, nie potrzeba ich było użyć w większej ilości.

Okoliczność ta była tak uderzającą, iż zwróciła uwagę Fergussona, który zaczął ściślej badać minerał.

- Zadziwiające odkrycie - szeptał do siebie doktor. Kennedy i Joe tymczasem udali się szukać w pobliżu miejsca na grób. Panował straszny upał. Musiano przede wszystkim oczyścić grunt od kamieni i wykopać dość głęboki grób, ażeby dzikie zwierzęta nie mogły się dostać do zwłok.

Nareszcie skończono tę smutną pracę, grób był gotowy; włożono doń szczątki misjonarza, zakopano i ustawiono rodzaj pomnika z odłamków skał.

Doktor podczas tej czynności towarzyszy stał nieruchomy w oddali, pogrążywszy się w zadumie. Nie słyszał wzywań przyjaciół i nie szukał schronienia przed palącym słońcem.

- Nad czym rozmyślasz? - zapytał Kennedy.

- Nad zadziwiającym kontrastem przyrody, dziwny zbieg okoliczności, wiecie, w jakiej ziemi leży ten skromny człowiek, to serce szlachetne?

- W jakiej? - zapytał Szkot.

- Ten człowiek, który ślubował ubóstwo, spoczywa w kopalniach złota.

- W kopalniach złota? - zawołali jednocześnie Joe i Kennedy z największym zdziwieniem.

- Tak, w kopalniach złota - powtórzył doktor.

Te grudy, które odrzucacie, jako bezwartościowe, są kruszcem najpiękniejszej czystości. - To niemożliwe, niemożliwe! - wołał Joe.

- Przekonasz się o tym niebawem.

Joe rzucił się jak wariat do zbierania rozrzuconych kawałków, Kennedy nie mniej gorliwie zajął się tym samem.

- Uspokój się, kochany Joe - rzekł Fergusson.

- Panie doktorze, pana to wcale nie wzrusza?

- Nie mój drogi, tym bardziej, że na nic nam te bogactwa. Nie możemy ich przecież zabrać.

- Co? - nie zabrać? to byłoby...

- Ciężar byłby za wielki dla naszej łodzi! nie chciałem wam nawet mówić o tym odkryciu, aby was nie martwić.

- Mamy więc te skarby zostawić? Porzucić wielki majątek, do nas należący?

- Strzeż się, mój przyjacielu, czy cię opanowała gorączka złota? Czyż cię ten dopiero co pogrzebany człowiek nie pouczył o wartości światowych bogactw?

- Wszystko to prawda - odpowiedział Joe - ale to złoto! - panie Kennedy, czybyś pan nie zabrał stąd parę milionów?

- Co robić, mój chłopcze - odparł Kennedy, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu - ponieważ nie przybyliśmy tu szukać skarbów, więc ich też nie zabierzemy.

- Miliony te są zbyt ciężkie - dodał doktor - i nie można ich tak łatwo włożyć do kieszeni.

- Ale, czyby nie można zamiast piasku wziąć kruszec jako balast?

- Na to mogę pozwolić - rzekł Fergusson - z warunkiem jednakże, iż nie będziesz się gniewał, jeżeli będziemy zmuszeni wyrzucić kilkaset funtów.

- Kilkaset funtów - powtórzył Joe - czyż to wszystko jest złotem?

- Tak, mój kochany, można wzbogacić niem całe kraje.

- I to wszystko pozostanie tu bez użytku?

- Być może, lecz na pocieszenie powiem ci coś...

- Trudno mnie pocieszyć - rzekł zasmucony Joe.

- Posłuchaj, oznaczę ci ściśle pod względem geograficznym tę miejscowość i po powrocie do Anglii będziesz mógł twoim rodakom o niej opowiadać.

- A więc, panie doktorze, uznaję, że masz pan słuszość i zgadzam się z losem, gdy inaczej być nie może, ale przynajmniej napełnijmy łódź naszą tym kruszcem; co pod koniec naszej podróży pozostanie, możemy uważać za czysty zarobek.

Doktor z uśmiechem przyglądał się tej czynności, po czym oznaczył miejscowość z grobem misjonarza, która znajdowała się pod 22°23' długości i 4°55' północnej szerokości.

Rzuciwszy jeszcze raz wzrokiem na mogiłę, okrywającą zwłoki nieszczęśliwego Francuza, doktor powrócił do łodzi.

Wieczorem tego samego dnia "Victoria" posunęła się o 90 mil na zachód, znajdowała się obecnie o 1400 mil od Zanzibaru.

## **ROZDZIAŁ XXIII**

Balon przymocowano do oddzielnie stojącego drzewa i przepędzono noc spokojnie. Podróżni mogli sobie nareszcie pozwolić na spoczynek, gdyż parę dni ostatnich spędzili w ciągłym wzruszeniu i niepokoju.

Nazajutrz niebo było czyste i upał wielki, balon uniósł się w przestworza. Po kilku daremnych próbach doktor wynalazł niezbyt szybki prąd, który go zagnał na północny zachód.

- Nie poruszamy się z miejsca, jeżeli się nie mylę, w ciągu 10-ciu dni odbyliśmy połowę naszej drogi, w obecnych jednak warunkach upłyną miesiące, zanim ją ukończymy, zwłaszcza, że grozi nam brak wody.

- Przecież to niemożliwe, żebyśmy na tych olbrzymich przestrzeniach nie znaleźli rzeki lub stawu.

- Bardzo bym był rad temu.

Okolica niepokoiła doktora, nabierała ona stopniowo cechy pustyni. Nie widać było ani wsi, ani zbiorowiska chat; roślinność nikła, a natomiast wszędzie ukazywał się białawy piasek, zwiastun pustyni.

Zdawało się, że przez te miejsca nigdy nie przechodziły karawany, gdyż pozostawiłyby ślady obozowiska, kości zwierzęce lub ludzkie. O cofnięciu się z tych pustych miejsc nie było mowy, a wreszcie nie leżało to w zamiarach doktora.

Burza, która by go przez ten kraj, jak można najprędzej przeniosła, byłaby dlań wielce pożądaną, ale na horyzoncie nie widać ani jednej chmurki. Pod koniec dnia tego "Victoria"

przebyła około 30 mil.

Gdyby tylko nie należało obawiać się braku wody. Cały zapas składał się zaledwie z 3

galonów (około 13 1/2 litra). Jeden przeznaczony został do gaszenia pragnienia, a dwa ostatnie miał wchłonąć aparat gazowy, dla którego zapas ten wystarczał na 48 godzin.

- 48 godzin! - mówił Fergusson do swych towarzyszy. - Ponieważ jednak postanowiłem podróżować tylko we dnie, aby w nocy nie przeoczyć jakiego źródła lub rzeki, przeto możemy jeszcze być w drodze 3 i pół dnia.

Uważam za obowiązek zapoznać was z ważnością położenia, a ponieważ zachowuję tylko jeden galon na zaspokojenie pragnienia, będziemy musieli poprzestać na bardzo małych porcjach wody.

- Podziel porcje dla nas - zaproponował strzelec. - Nie mamy jeszcze czego rozpaczać, mając trzy dni przed sobą.

- Tak, kochany Dicku!

- A ponieważ nasze narzekania na nic się nie przydadzą, skorzystajmy z tych trzech dni i namyślmy się, co mamy czynić. Do tego czasu trzeba nam podwoić czujność.

W nocy łódź znajdowała się na niezmiernie dużej przestrzeni, z której zauważyć było można wielkie wzniesienie. Wysokość tegoż wynosiła około 800 stóp ponad poziom morza. Dzięki tej okoliczności podróżni nabrali otuchy, gdyż przypomnieli sobie twierdzenia geografów, dotyczące dużej przestrzeni wody w środkowej Afryce. Jeżeli w istocie wody te istniały, to niezawodnie będą przez nich odkryte. Po spokojnej nocy nastąpił dzień jeszcze więcej upalny, aniżeli poprzedni; od samego rana gorąco było nie do zniesienia. Doktor mógł się schronić przed tym upałem, wznosząc się wyżej, ale utracono by znaczną ilość wody, czego trzeba było unikać.

Fergusson zadowolił się wzniesieniem o 100 stóp ponad ziemię; słaby prąd gnał balon w kierunku zachodnim.

Około godziny 12-tej w południe "Victoria" przebyła zaledwie kilka mil.

- Nie możemy pręcej podróżować - rzekł doktor - nie jesteśmy więcej panami położenia, zmuszeni będziemy raczej poddać się okolicznościom.

- Czyśmy przebyli przynajmniej połowę drogi?

- Pod względem odległości tak, pod względem zaś trwania nie, zwłaszcza, gdy nam wiatr przestanie sprzyjać.

- Nie mamy jednak czego się skarżyć - mówił dalej Joe - wszystko dotąd nam sprzyjało, znajdziemy też i wodę. Ja to mówię - Joe.

Grunt wciąż się obniżał. Rozrzucone pojedyncze rośliny ustępowały miejsce pięknym drzewom wschodu, małe zarośla walczyły jeszcze z piaskiem o swoje istnienie.

- Patrz Joe, tak sobie wyobrażałeś Afrykę; widzisz, żem miał słusność, mówiąc: bądź cierpliwy i czekaj!

- Ale, panie doktorze, jest to bardzo naturalne, upał i piasek! Byłoby niedorzecznym w takim kraju czego innego szukać, a czyżby się opłacało tak daleko podróżować, ażeby nic innego nie zobaczyć prócz tego, co się ma w Anglii?

Około wieczora doktor stwierdził, że "Victoria" w tym upalnym dniu przebyła 20 mil.

Następny dzień przeszedł również zupełnie jednostajnie. Wiatr dąć prawie przestał i zdawało się, że nadejdzie chwila, iż zabraknie powietrza do oddychania.

Doktor uznawał położenie za bardzo krytyczne, lecz zachował spokój i zimną krew człowieka, przywykłego do walki. Uzbrojony w lunetę, obserwował rozmaite punkty na dalekiej przestrzeni; widział ostatnie pagórki, ustępujące miejsca nizinom, stopniowe zanikanie roślinności i roztaczającą się przed jego oczami niezmierną pustynię.

Był zupełnie świadomy odpowiedzialności na nim ciążyącej, czyż prawie nie zmusił

Kennedy'ego i Joego do odbycia z nim niebezpiecznej podróży? Czyż w ogóle podróż ta była możliwą? a może Bóg pozostawił następnym dopiero stuleciom możliwość zbadania tajemniczego kontynentu? Jak to zwykle bywa w godzinach zwątpienia, powstawały w jego mózgu coraz to nowe męczące myśli, usuwające logiczny pogląd na rzeczy. Gdy pogodził się z myślą, że tego uczynić nie był powinien, począł rozmyślać, co czynić należy. Czy powrót byłby możliwym? Czy nie można znaleźć wyższej strefy, która by skierowała balon w mniej puste okolice? Znał już kraje, które przebył, ale te, które miał przebyć, były mu zupełnie obce. Dręczony wyrzutami, uważał za najwłaściwsze wyznać towarzyszom prawdę; przedstawić stan rzeczy, objaśnić, co zrobiono, co jeszcze zrobić należy, w ostatecznym razie można cofnąć się z powrotem, lub przynajmniej próbować tego i żądał w tym względzie ich zdania.

- Nie mamy innego zdania, jak pańskie - odpowiedział Joe. - Cierpienia pańskie i ja znieść mogę, a nawet łatwiej, dokąd pan pójdiesz, będę mu towarzyszył!

- A ty, Kennedy?

- Kochany Samuelu, nie jestem człowiekiem, który oddaje się rozpacz. Nikt nie znał lepiej niebezpieczeństw tego przedsięwzięcia, ale z chwilą, gdy mnie w tym względzie przekonałeś,

zaprzestałem w nie wierzyć.

Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak osiągnięcie wytkniętego celu. Gdybyśmy wracali, niebezpieczeństwo nie zmniejszyłoby się, jeżeli chcesz posuwać się naprzód, możesz liczyć na mnie.

- Dziękuję wam, przyjaciele - odpowiedział doktor, wzruszony temi słowy - spodziewałem się po was tego, gdyż przeświadczony jestem o waszej wierności i poświęceniu, lecz w tej chwili potrzebne mi były słowa otuchy. Jeszcze raz wam dziękuję. I trzej towarzysze uścisnęli sobie wzajemnie dłonie.

- Posłuchajcie mnie - zaczął znowu Fergusson - wedle moich obliczeń jesteśmy jeszcze oddaleni od zatoki gwinejskiej o przeszło 300 mil; pustynia w tym kierunku nie może się zbyt daleko rozciągać, ponieważ wybrzeże jest zamieszkane. W ostatecznym razie zatrzymamy się na tym wybrzeżu, a niemożliwym jest, abyśmy nie napotkali oazy lub źródła celem odnowienia zapasu wody. Do tego planu brak nam jednak wiatru, bez którego posunąć się nie możemy.

- Musimy cierpliwie czekać - odpowiedział strzelec.

Przez cały ten dzień, który zdawał się nie mieć końca, rozglądano się na wszystkie strony. Nic nie ujrano, coby mogło wzbudzić nadzieję; wyniesienia nikły, przed ich oczami roztaczała się pustynia. Podróżni przebyli dnia tego tylko 15 mil. Noc przeszła spokojnie, lecz doktor oka nie zmrużył.

## **ROZDZIAŁ XXIV**

Nazajutrz niebo znów było jasne, w atmosferze panował ten sam spokój.

"Victoria" wzniosła się do wysokości 500 stóp, ale nie można było zauważyć zmiany miejsca na zachodzie.

- Znajdujemy się w pośrodku pustyni - oznajmił doktor. - Nieprzejrzana równina piaszczysta!... Co za dziwny widok! Jak różnorodnie przyroda rozdzieliła swe dary! Dlaczego tam, owa bogata roślinność, a tu, ta nadzwyczajna pustka. Obydwa miejsca znajdują się pod jedną szerokością, pod tymi samymi promieniami słonecznymi!

- To "dlaczego" mało mnie zajmuje - odpowiedział Kennedy. - Cóż mnie obchodzi przyczyna, chodzi głównie o sam fakt.

- Trzeba trochę rozmyślać kochany Dicku, przecież to nie szkodzi.

- W samej rzeczy, mamy po temu czasu dosyć, nie widzę, abyśmy się posuwali, wiatr zasnął.

- Nie potrwa to zbyt długo - rzekł Joe - zdaje mi się, że zauważyłem parę chmur tam na wschodzie.

- W istocie! - Joe ma słuszość - powiedział doktor.

- Prawdziwa chmura z silnym deszczem i porządnym wiatrem - dodał Kennedy - przydałaby się nam wielce.



- Zobaczmy, Dicku, co będzie, zobaczymy.

- Mamy dziś piątek, a piątkowi zwykle nie dowierzam - rzekł Joe.

- Może tym razem uprzedzenie twoje się nie sprawdzi.

- Pragnąłbym tego bardzo, panie Fergusson - rzekł Joe, ocierając sobie pot z czoła. - Ciepło, rzecz dobra, zwłaszcza w zimie, ale nadmiar jego w lecie wcale niepożądany.

- Czy nie obawiasz się działania tego ciepła na nasz balon? - zapytał Kennedy.

- Nie, osłona gutaperkowa wytrzymałaby wyższą jeszcze temperaturę.

- Chmura! chmura! - zawołał Joe, którego bystry wzrok mógł iść w zawody z najlepszą lunetą.

W istocie można było teraz zauważyć wyraźnie chmurę, roztaczającą się powoli na horyzoncie.

- Z tej pojedynczej chmury deszczu nie będzie - rzekł doktor - kształty jej są bez zmian.

- A może byśmy się do tej chmury wzniesli?

- Obawiam się, że nic to nie pomoże, przy tym stracimy wiele gazu, a tym samym wody. W

naszym jednak położeniu wszystkiego powinniśmy próbować, a zatem wzniesiemy się.

Po rozszerzeniu płomienia w dmuchawce powstało straszne gorąco i niebawem balon wzniósł się w górę.

Na wysokości 1200 stóp od ziemi natrafiono na chmurę, otoczoną gęstą mgłą. Nie uczuwano najmniejszego wiatru, "Victoria" nieco prędzej szybowiała; była to jedyna korzyść z tej próby.

Około godziny 4-tej zdawało się Joemu, że zauważył jakiś przedmiot unoszący się na piaszczystej równinie i niebawem stanowczo zapewniał, że widzi dwie palmy.

- Palmy! - zawołał Fergusson - a więc tam musi być źródło, studnia!

Wziął lunetę celem przekonania się, czy Joe mówił prawdę.

- Na koniec woda! woda! - zawołał - jesteśmy ocaleni, osiągniemy zamierzony cel!...

- A teraz, panie doktorze, czyby nie było właściwym napić się? Umieram z pragnienia.

- Tak, mój chłopcze, pijmy!

Nikt nie dał się prosić i wypito całą kwartę.

- Ach, jak ta woda dobrze robi - mówił z zadowoleniem Joe - nawet najlepszy porter nigdy mi tak nie

smakował.

O godzinie 6-tej unosiła się "Victoria" ponad drzewami palmowymi, były to dwa wyschnięte szkielety drzewne bez liści. Fergusson, ujrawszy te drzewa, przestraszył się. Pod nimi zauważono miejsce przysypane kamieniami, gdzie niegdyś była studnia, ale obecnie ani kropli wody. Serce doktora ścisnęło się na ten widok. Chciał on właśnie oznajmić swe obawy towarzyszom, gdy uwagę jego zwróciły głośne okrzyki tychże. Niedaleko na zachodzie zauważono rozrzucone członki ludzkie; szkielety otaczały źródło, widocznie do tego miejsca doszła karawana; słabsi padli na piasku, silniejsi, doszedłszy do upragnionej studni, znaleźli tu swą śmierć.

Podróżni spojrzeli na siebie milcząco.

- Nie wysiadajmy tu - prosił Kennedy - uciekajmy od tego straszego widoku, nie znajdziemy tu ani kropli wody.

- Nie, Dicku, musimy się o tym dokładnie przekonać i możemy tu przenocować tak dobrze, jak gdzie indziej. Zbadajmy studnię do dna, było tu kiedyś źródło, może więc odkryjemy jakąś resztkę wody.

Podróżni wylądowali, Joe i Kennedy, wychodząc z łodzi, wsypali odpowiadającą ich wadze ilość piasku i pośpieszyli do studni. Zdawała się ona od wielu lat wyschniętą, nigdzie śladu wilgoci. Poszukiwania okazały się daremnymi.

## **ROZDZIAŁ XXV**

"Victoria" ubiegłego dnia przebyła nie więcej nad 10 mil i pomimo to, ażeby się utrzymać w powietrzu, użyto 165 kubicznych stóp gazu.

W sobotę rano dał doktor sygnał do odjazdu. Dmuchawka tlenowodorowa mogła działać tylko 6 godzin jeszcze.

- Jeżeli do tej pory nie znajdziemy źródła, Bóg jeden wie, co się z nami stanie.

- Mamy dzisiaj wiatr niepomysłny - rzekł Joe - ale wkrótce dodał, widząc zasmucone oblicze Fergussona - może się zmienić.

Próżna nadzieja! W powietrzu panowała grobowa cisza. Upał był nie do zniesienia; termometr wskazywał w cieniu namiotu 113 stopni (45C.).

Joe i Kennedy ułożyli się na posłaniu i szukali, jeżeli nie snu, to przynajmniej zapomnienia rzeczywistości.

Pragnienie dawało się coraz dotkliwiej uczuwać, a pozostało zaledwie dwie kwarty rozgrzanego płynu i każdy połykał wzrokiem te kosztowne krople, nie wążąc się nimi zwilżyć swych warg.

Dwie kwarty wody wśród pustyni!

- Muszę zrobić jeszcze jedną próbę - rzekł doktor do siebie - będę szukał prądu powietrznego, który

by nas mógł unieść, chociażbym miał wszystko poświęcić. - I podczas gdy jego towarzysze leżeli wspólnie, Fergusson czynił przygotowania do tej ostatniej próby.

Balon uniósł się, nie znalazł jednak prądu, który by go posunął dalej, wodę zużyto w zupełności, dmuchawka zgasła skutkiem braku wodoru, bateria Bunsena przestała być czynną i balon opuścił się na to samo miejsce, skąd uniósł się przed chwilą.

Była godzina 12-ta, znajdowano się obecnie pod 19°35' długości i 6°51' szerokości, czyli około 500 mil od jeziora Tschad i przeszło 400 mil od zachodnich wybrzeży Afryki.

Łódź została napełniona piaskiem wagi podróżnych i ci wysiedli na ziemię. Każdy z nich pogrążył się w smutnych myślach, zachowując milczenie. Joe przygotował wieczerzę z sucharów i pemikanu, ale nikt nie miał ochoty do jedzenia, parę kropel ciepłej wody uzupełniało tę smutną ucztę.

- Duszę się - skarżył się Joe - upał coraz straszniejszy, niema się jednak czemu dziwić - dodał, spoglądając na termometr, wskazujący 140 stopni ciepła (60° Celsjusza).

- Piasek tak rozpalony, jakby był grzany w piecu - zauważył Dick - i nie widać ani jednej chmury na horyzoncie.

- Nie powinniśmy jeszcze rozpaczać - uspokajał doktor - po takich upałach następują w tych szerokościach burze, zjawiają się one z szybkością błyskawicy.

- Ach, gdybyż to już nastąpiło - wzdychał Kennedy.

- Zdaje mi się - rzekł doktor - że barometr obniża się.

- Daj to Boże! jesteśmy uwięzieni na ziemi jak ptaki, którym obcięto skrzydła.

- Z tą różnicą, że skrzydła nasze są nienaruszone i mam nadzieję zrobić z nich niebawem właściwy użytek.

- O, gdyby się tylko wiatr pojawił - wołał Joe - gdybyśmy mogli dostać się do jakiego stawu lub źródła, niczego nam więcej nie potrzeba. Żywności mamy dosyć na cały miesiąc, chodzi tylko o zaspokojenie pragnienia.

Nie tylko pragnienie, ale bezustanne przyglądanie się pustyni, męczyło umysł; ani pagórka, ani kamienia, na którym wzrok mógłby spocząć na chwilę. Wiecznie niezmienny błękit nieba i niezmierna przestrzeń żółtego piasku działały przygnębiająco. Nieszczęśliwi, którym brak było wody przy takim upale, poczęli uczuwać objawy pomieszania zmysłów. Zrenice ich powiększyły się, a wzrok stawał się ponurym.

Gdy noc nastąpiła, postanowił doktor celem przerwania apatii odbyć dłuższą wycieczkę po piaszczystej przestrzeni, nie dla robienia poszukiwań, lecz, aby przejść się.

- Chodźcie - rzekł do towarzyszy - ruch nam dobrze zrobi!

- To niemożliwe - odparł Kennedy - nie mógłbym kroku zrobić.

- Ja wolę spać - rzekł Joe.

Ponieważ doktor przekonał się, iż nie skłoni towarzyszy, aby z nim poszli, sam puścił się w drogę.

Pierwsze kroki stawiał z trudnością, jak rekonwalescent po ciężkiej chorobie, ale niebawem zauważył, że ruch będzie dlań zbawiennym.

Przebył parę mil na zachód i czuł się już bardzo wzmocnionym, gdy nagle doznał zawrotu głowy, zdawało mu się, iż zawisł nad przepaścią. Olbrzymia puszcza przestraszała go, uważał

siebie jako punkt matematyczny, środek nieskończonej peryferii, tj. niczego. "Victoria" znikła w cieniu i doktora, tego odważnego podróżnika, ogarnął strach bezgraniczny. Chciał

powrócić, ale było to niemożliwym, wołał, nawet echo mu nie odpowiadało; głos jego ginął

we wszechświecie, jak kamień w olbrzymiej przepaści.

I tak sam jeden wśród głębokiej ciszy pustyni, padł na piasek w omdleniu.

O północy otworzył oczy i znalazł się na rękach swego wiernego Joego Ten, zaniepokojony tak długą nieobecnością swego pana, szedł śladem jego kroków, odbitych na miękkim piasku i znalazł go wreszcie, leżącego bez przytomności.

- Co się panu stało? - spytał zaniepokojony.

- Nic, kochany Joe, było to tylko osłabienie.

- Przypuszczam, że nie będzie ono miało złych następstw, proszę, wstań pan, oprzyj się o mnie i wróćmy do "Victorii".

Fergusson, wsparty na ramieniu Joego, udał się w kierunku balonu.

- Jak to było nierozsądnie ze strony pańskiej, panie doktorze, żeś się narażał na takie niebezpieczeństwo, mógłbyś być ograbiony - dodał, śmiejąc się. - Ale, pomówmy teraz poważnie, musimy powziąć jakieś postanowienie; stan obecny nie może trwać dłużej.

Fergusson nic nie odpowiedział.

- Jeden z nas trzech musi się poświęcić dla pozostałych, a tym jednym, będę ja.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Plan mój jest bardzo prosty. Zaopatrzę się w żywność i będę szedł coraz dalej, aż dojdę do jakiejś miejscowości, co przecież kiedyś nastąpić musi. Gdy dojdę do jakiej wsi, pokażę kartkę, na której pan napisze parę słów po arabsku. Albo więc dostarczę wam pomocy, albo też poświęcę moje życie.

Co pan myśli o tym planie?

- Projekt niemądry, ale świadczy o dobroci twego serca; to niemożliwe, ty nas opuścić nie możesz!

- Powinniśmy jednak spróbować, panu i Kennedy'emu na złe by to nie wyszło. Gdyby powiał

korzystny wiatr, zanimby przyszła pomoc moja, nie potrzebujecie na mnie czekać, a plan mój może się udać nadspodziewanie.

- Nie, Joe; nie rozłączymy się. - Czekajmy jeszcze cierpliwie!

- Dobrze, panie doktorze, pozostawiam panu dzień jeden do namysłu, ale dłużej nie dam się odwielec od mego zamiaru.

## ROZDZIAŁ XXVI

O świcie Fergusson spojrzał na barometr, nie uległ żadnej zmianie.

- Nic - mówił do siebie - nic. - Wyszedł z łodzi i rozglądał się; wciąż ten sam upał, ta sama jasność. Niebiosa są nieubłagane

Joe milczał, pogрузzył się w myślach, rozważając ciągle swój plan wędrówki.

Kennedy, powstawszy ze swego łóżka, czuł się bardzo chorym, nerwy jego były wstrząśnięte i doznawał strasznych mąk pragnienia.

Wprawdzie było jeszcze parę kropel wody, a choć wszyscy o tym wiedzieli i każdy pragnął je wypić, jednakże nikt nie miał odwagi tego uczynić. Trzej towarzysze spoglądali na siebie z ukosa, z uczuciem zwierzęcej pożądliwości, która zwłaszcza występowała u Kennedy'ego; silny jego organizm cierpiał najwięcej skutkiem braku wody. Przez cały dzień leżał, mówiąc z gorączki, chodził tu i tam, gryzł swe ciało i chciał otworzyć żyły, aby pić krew.

- O ty kraju pragnienia! - wykrzyknął - powinieneś się nazywać krajem "rozpaczy!" - po czym popadł w odrętwienie.

Około wieczora i Joego napadł atak obłądu.

Nieskończona przestrzeń piasku wydawała mu się jako olbrzymi staw z jasną, przezroczystą wodą. Nieraz rzucił się na rozgrzaną ziemię, ażeby się napić i wstawał z ustami pełnymi piasku.

- Przekleństwo! wołał gniewnie - toć to słona woda! - W chwili, gdy Fergusson i Kennedy leżeli nieruchomie, opanowała go myśl wypicia pozostałych paru kropel wody. Nie mógł

pozbyć się tej myśli i zbliżał się, czołgając na kolanach do łodzi. Ujrzał flaszkę, w której znajdował się cenny płyn, chwycił ją i poniósł do ust.

Wtem usłyszał nagle przerażający głos: "Pić, pić!" Był to Kennedy, który do niego się przyczółgał i

kłęcząc, z płaczem błagał o wodę. Joe płakał również, oddał nieszczęśliwemu flaszkę z ostatnimi kroplami wody.

- Dziękuję - wyszeptał Kennedy, ale Joe nie słyszał go i padł wraz z nim na piasek.

Nareszcie przeszła ta straszna noc, a gdy zajaśniał ranek, nieszczęśliwi czuli, jak usychały ich członki pod palącymi promieniami.

Joe usiłował się podnieść, lecz było to niemożliwym, nie mógł też wykonać swego planu.

Gdy spojrzał w górę, ujrzał Fergussona ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, spoglądającego wzrokiem szaleńca w jeden punkt. Kennedy znajdował się w stanie budzącym trwogę, poruszał głową w rozmaite strony, jak dzikie zwierzę, zamknięte w klatce.

Nagle ujrzał swą strzelbę, leżącą w łodzi.

- O! - zawołał z nadludzką siłą, podnosząc się. Podchwycił broń i skierował ją w usta.

- Panie! panie! - zawołał Joe i rzucił się na strzelca, aby przeszkodzić samobójstwu.

- Puść mnie, puść! - wołał Szkot.

- Idź precz, bo cię zastrzelę! - Ale Joe przyczepił się do niego i tak tarzali się przez minutę.

Wtem padł strzał. Fergusson podskoczył w górę jak widmo i zaczął się rozglądać. W jednej chwili wzrok jego się ożywił, ręką wskazał horyzont i zawołał głosem prawie nadludzkim:

- Tam, tam, tam, na dole!

W ruchach jego tyle było stanowczości, że Joe i Kennedy zaprzestali tarzania się i spojrzeli we wskazanym kierunku.

Pustynia została w ruch wprawioną, jak morze podczas burzy. Słońce skryło się po za ciemne chmury, których olbrzymi cień przedłużył się aż do "Victorii". Nadzieja zajaśniała w oczach Fergussona.

- Samum! - zawołał. - Samum! - powtórzył Joe, nie wiedząc, co słowo to znaczy.

- Tym lepiej! - wołał Kennedy z wściekłością. - Tym lepiej, raz umrzemy!

- Tym lepiej, gdyż będziemy żyli - odparł doktor i szybko począł wyrzucać piasek, który przytrzymał łódź. Towarzysze zrozumieli go nareszcie, przyłączyli się doń i zajęli miejsce obok niego.

- A teraz, Joe - rzekł doktor - wyrzuć 50 funtów twego kruszcu!

Joe wykonał rozkaz, ale uczuł chwilowy żal. Balon podniósł się.

- Był już czas po temu! - wołał Fergusson. Samum w samej rzeczy zbliżał się z szybkością błyskawicy. Gdyby "Victoria" nie uciekła przed nim, byłaby w kawałki rozerwaną, zniszczoną.

- Wyrzucić jeszcze więcej balastu! - wołał doktor.

- Oto! - odpowiedział Joe, wyrzucając duży kawał kruszcu.

Balon wznosił się szybko ponad morze wzburzonego piasku i skutkiem silnego wiatru gnany był z nieobliczoną szybkością.

O godzinie 3-ciej burza przeszła, piasek utworzył pewną ilość małych pagórków, a niebiosy powróciły do dawnego spokoju.

"Victoria", która znowu nieruchomie zawisała, wznosiła się teraz nad oazą z kwitnącymi drzewami, wyłaniającymi się z piaskowego morza, podobnie jak wyspa.

- Woda! tam jest woda! - zawołał doktor z zapalem i jednocześnie wyszedł z łodzi, zbliżając się do oazy, oddalonej o 200 kroków.

W ciągu 4-rech godzin podróży przebyli 240 mil.

Przyprowadzeni do równowagi, Kennedy i Joe wyszli na ziemię.

- Nie zapominajcie o waszej broni! - wołał Fergusson - i bądźcie ostrożni!

Dick pochwycił natychmiast swój karabin, a Joe flintę i flaszkę. Szybko udali się do drzew, po za którymi znajdowała się studnia. Nie zwracali uwagi na rozmiękły grunt i świeże ślady, wyciśnięte w ziemi.

Nagle rozległ się w oddaleniu 10 kroków głośny ryk.

- Lew! - zawołał Joe.

- W samą porę - dodał rozgoryczony strzelec - gdy chodzi o walkę, czuję się dostatecznie silnym!

- Ostrożnie panie, ostrożnie! zważ, iż od jednego z nas zależy życie wszystkich. Ale Kennedy nie słuchał go. Z pałającym wzrokiem i nabitym karabinem szedł dalej. Pod jedną z palm stał

olbrzymi lew i zdawał się oczekiwać napadu, gdyż jak tylko zbliżył się doń strzelec, jednym skokiem rzucił się na niego. Ale nie zdążył go osiągnąć, gdyż kula uwięzła w sercu; padł

nieżywy.

- Hura! Hura! - wołał Joe.

Teraz Kennedy pobiegł do studni i począł chciwie pić wodę, Joe naśladował go.

- Nie trzeba pić za wiele - przestrzegał Joe, napełniając flaszkę wodą, ale Dick pił, nie odpowiadając.

- A co się stało z panem Fergussonem? - zapytał Joe.

To jedno słowo przywróciło przytomność Kennedy'emu, wybiegającemu ze studni. Lecz tu napotkał nową niespodziankę, olbrzymie jakieś ciało zamykało wyjście; Joe, który szedł ze strzelcem, musiał wraz z nim się zatrzymać.

- Jesteśmy zamknięci!

- To niemożliwe! Co to być może?

W tej chwili rozległ się straszny ryk, zwiastujący nowego nieprzyjaciela.

- Drugi lew! - wołał Joe.

- To lwica! Czeka, ty przeklęta bestio! czekaj! - Strzelec w mgnieniu oka nabił karabin i strzelił, ale zwierzę znikło.

- Naprzód! - zawołał Kennedy.

- Panie Dicku, nie zabiłeś zwierzęcia, inaczej ciało tu by się stoczyło. Jestem przekonany, że bestia znajduje się na zewnątrz, gotując się do skoku i kto pierwszy z nas się ukaże, będzie zgubiony.

- Lecz co robić? Wyjść przecież musimy, Samuel na nas tam czeka.

- Trzeba nam zwabić zwierzę, weź pan moją flintę, a daj mi karabin.

- Co zamyślasz uczynić?

- Zaraz pan zobaczysz...

Joe zdjął swój płócienny surdut, przymocował do karabinu i ustawił jako przynętę przed wejściem do źródła.

Zwierzę rzuciło się nań natychmiast.

Kennedy u wejścia oczekiwał zjawienia się lwicy i jedną kulą zmiażdżył jej ramię.

Lwica zatoczyła się, porywając z sobą Joego, który uczuwał już na sobie olbrzymie łapy bestii, gdy rozległ się drugi strzał i Fergusson z bronią w ręku ukazał się u wejścia.

Joe podniósł się szybko, przeszedł po ciele lwicy i podał swemu panu flaszkę pełną wody.

Unieść ją do ust i do połowy wychylić, było dziełem jednej chwili, po czym trzej podróżni dziękowali Opatrzności za cudowne ocalenie.



## ROZDZIAŁ XXVII

Wieczór był śliczny i trzech przyjaciele spędzili go na murawie, spożywszy z apetytem kolację. Nie żałowano dziś ani herbaty ani grogu.

Nazajutrz słońce ukazało się w całym swym majestacie, ale promienie jego skutkiem gęstych zarośli nie mogły się przedostać. Ponieważ żywności było dosyć, postanowił doktor w tym miejscu oczekiwać przyjaznego wiatru.

- Jakie przejście z cierpienia do radości - zauważył Kennedy; - ten nadmiar wody po tak dotkliwym braku. Ten przepych w następstwie takiej nędzy! - Ach! byłem bliski utraty zmysłów.

- Gdyby nie Joe, kochany Dicku, nie rozmyślałbyś teraz nad zmiennością doli ludzkiej.

- Odważny chłopiec! wierny przyjaciel! - wołał Szkot, podając Joemu rękę.

- Niema o czym mówić - odpowiedział Joe - przecież może mi się pan kiedyś odwdzięczyć, panie Dicku, choć prawdę powiedziawszy, wolałbym, abyś pan nie potrzebował tego czynić.

Na wesołej pogawędce przeszedł dzień cały, i noc, nieprzerwana żadnym wypadkiem nadzwyczajnym. Nazajutrz nie było zmiany, powietrze pogodne, wiatru ani trochę i balon stał nieruchomie na miejscu.

Doktor zaczął się znowu niepokoić. Jeżeli podróż się przedłuży, żywności nie starczy. Czyżby po znalezieniu wody, miano umrzeć z głodu?

Niebawem wstąpiła w niego nadzieja, gdyż ujrzał spadek barometru; był to widoczny znak zmiany atmosfery. Przedsięwziął też zaraz przygotowania, ażeby być gotowym do podróży przy pierwszej korzystnej okoliczności. Skrzynie z żywnością i wodą zostały szczelnie napełnione.

Doktor musiał przywrócić równowagę balonu i Joe był zmuszony znów wyrzucić znaczną ilość swego kosztownego kruszcu.

Przez cały dzień Fergusson daremnie oczekiwał zmiany powietrza. Temperatura znacznie się podniosła i, gdyby nie cień w oazie, byłaby niemożliwą do zniesienia. Termometr wskazywał na słońcu 149° (65°C.).

Był to największy upał, jaki zauważono.

O godzinie 3-ciej z rana, gdy Joe czuwał, temperatura oziębiła się, niebo pokryło się chmurami i ciemność się zwiększyła.

- Wstawać! wstawać! - wołał Joe, budząc swych towarzyszy; - burza nadchodzi! Na

"Victorię"! na "Victorię"!

Był największy czas do wsiadania. "Victoria" ugięła się pod siłą orkanu. Gdyby przez jakiś wypadek część balastu wypadła na ziemię, balon uciekłby i nie można byłoby go już odnaleźć. Ale Joe z całych sił popędził do "Victorii", przytrzymał łódź i doktor wraz z Kennedym zajęli swe miejsca, wyrzuciwszy zwyżkę nadwagi.

Podróżni obserwowali po raz ostatni drzewa oazy, uginające się pod burzą i znikli niebawem w ciemnościach nocy, gnani wiatrem wschodnim.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Podróżni od chwili wyruszenia jechali z wielką szybkością, pragnęli oni stracić z oczu tę pustynię, która tyle złego im wyrządziła.

Niebawem zauważono bujną roślinność i trawy, które podróżnym tak samo, jak Kolumbowi zwiastowały bliskość lądu.

Fergusson powitał radośnie te nowe okolice i jak majtek na statku mógł zawołać: ląd! ląd! Po upływie godziny roztoczył się przed jego oczyma kontynent, który dotąd robił dzikie wrażenie.

- Jesteśmy zatem teraz w krajach cywilizowanych? - pytał strzelec.

- Cywilizowanych? - Co pan mówisz, przecież mieszkańców jeszcze nie widać.

- Dzięki szybkości, z jaką podróżujemy, nie długo i mieszkańców ujrzymy - odpowiedział doktor.

- Czy jesteśmy jeszcze wciąż w kraju negrów, panie Samuelu?

- Tak, a potem przybędziemy do Arabów.

- Do Arabów, do prawdziwych Arabów z wielbłędami?

- Bez wielbłędów; zwierzęta te są tu prawie nieznanne, napotyka się je dopiero parę stopni dalej na północ.

- To mi się nie podoba!

- Dlaczego?

- Ponieważ przy niekorzystnym wietrze przydałyby się nam. Przychodzi mi właśnie myśl, panie doktorze, że można by je zaprząć do łodzi i dać się ciągnąć.

- Myśl tę powziął już kto inny przed tobą, kochany Joe, i została w czyn wprowadzoną przez utalentowanego francuskiego pisarza, wprawdzie tylko w jednym z jego romansów...

Widzisz zatem, że projekt twój należy do sfery fantazji i niema nic wspólnego z naszym środkiem

## lokomocji

Joe, który czuł się nieco dotkniętym, że myśl jego znalazła już zastosowanie, począł znów przyglądać się okolicy.

Jeziora średniej wielkości rozciągały się pod nimi, a zamykały je amfiteatralnie wzniesione pagórki, ciągnęły się tu liczne urodzajne doliny z różnymi drzewami; palmy oliwne z liśćmi długimi na 15 stóp, bombyxy, pendanusy i t. d.

Baobaby i orzechy sudańskie uzupełniały bujną roślinność.

- Cudowny to kraj - rzekł doktor.

- Już widać zwierzęta, a ludzie są także niedaleko! - zawołał Joe.

- Ach! - odezwał się Kennedy, gdyby tak można urządzać małe polowanie.

- Nie możemy się zatrzymać przy tak silnym prądzie, uzbrój się trochę w cierpliwość, a będziesz wynagrodzony sowicie.

W istocie był powód, mogący strzelca wzruszyć. Dickowi serce uderzało przyspieszonym biciem i ręka mimo woli chwyciła za broń.

Fauna tego kraju nie ustępowała florze. Dziki wół tarzał się w tak gęstej trawie, że nikł w niej, szare, czarne i żółtawe słonie biegły przez lasy, robiąc spustoszenia po drodze. Widać było także krowy i konie rzeczne; słowem, cała menażeria rzadkich zwierząt wśród cudownej oranżerii. Po tej pięknej roślinności poznał doktor dumne królestwo Adamowe.

- Obecnie wkraczamy do miejsc zwiedzonych przez nowych odkrywców - oznajmił doktor swym towarzyszom - szczęśliwe to zrządzenie losów. Będziemy mogli połączyć podróże odkrywcze kapitanów Burtona i Speke z podróżą Bartha i niebawem dojdziemy do krańca, do którego dotarł ten odważny podróżnik.

- Zdaje mi się - zauważył Kennedy - iż drogi te są w znacznej odległości jedna od drugiej.

- Możemy to łatwo sprawdzić, weź kartę do ręki i przekonaj się, jaki stopień długości posiada południowy kraniec jeziora Ukerewe, do którego dotarł Speke.

- Miejscowość ta jest położoną pod 37°.

- A miasto Jola, które wieczorem ujrzymy, punkt, do którego przybył Barth?

- Pod 12° długości.

- Różnica zatem 25 stopni, każdy po 6 mil, czyli 150 mil.

- Ładny spacer dla ludzi, wędrujących pieszo.

- Pomimo to odbywają go. Jeszcze przed ukończeniem tego stulecia będą te niezmierzone okolice zbadane. Ale... - spojrzawszy na kompas - dodał Fergusson - żałuję, że wiatr gna nas na zachód, wolałbym, aby nas zwrócił więcej na północ.

Po 12-godzinnej podróży znalazła się "Victoria" w granicach Nigrycyi. Olbrzymie wierzchołki gór Atlantika wznosiły się ku horyzontowi. Wysokość tych gór wynosiła około 1300 sążni. Zachodni skłon Atlantika reguluje odpływ wszystkich wód w tej części Afryki do oceanu, są to góry księżycowe tej okolicy. Niebawem oczom podróżnych ukazała się prawdziwa rzeka, a była nią Benue, wielki dopływ Nigru, nazywany przez tuziemców

"Źródłem wód".

- Rzeka ta - mówił doktor - będzie kiedyś naturalnym środkiem komunikacyjnym z wnętrzem Nigrycyi. Pod dowództwem jednego z naszych odważnych kapitanów, parowiec "Plejada"

przeplłynął tę rzekę do miasta Jola. Widzicie zatem, że znajdujemy się w znanym kraju.

Liczni niewolnicy zajmowali się robotą w polu, plantując sargo. Ogromne zdziwienie powstało wśród tych ludzi, gdy "Victoria" leciała nad nimi jak meteor. Wieczorem balon zatrzymał się w odległości 40 mil od Jola; w pobliżu wznosiły się śpiczaste szczyty gór Mendif.

Doktor polecił zarzucić kotwicę i przymocować ją do wysokiego drzewa, ale ostry wiatr trząsał

"Victorią" do tego stopnia, że chwilami, układała się na bok, a łódź znajdowała się w niebezpieczeństwie. Fergusson nocy tej nie zmrużył oka; nieraz miał ochotę przeciąć linę i uciec, na szczęście wichura ustała i balon nie ulegał więcej wstrząśnieniom.

Nazajutrz wiatr był umiarkowany, ale odsunął podróżnych od miasta Jola, któremu Fergusson chciał się przyjrzeć, nie było jednak na to rady i balon był zmuszony żeglować na północ, a nawet nieco na wschód.

Kennedy zaproponował zatrzymać się w tym kraju dla polowania; Joe twierdził, że kuchnia jego wymaga zaprowiantowania w świeże mięso, ale dzikie obyczaje okolicy, wrogie stanowisko ludności i kilka strzałów, skierowanych ku "Victorii", skłoniły doktora do puszczenia się w dalszą drogę.

Unoszono się nad krajem, który jest widownią pożarów i mordów, w którym krwawe walki pomiędzy sułtanami nigdy nie ustają.

Liczne, zamieszkane przez negrów wsie, znajdowały się wśród wielkich łąk, których gęste trawy usiane były fioletowymi kwiatami.

Pomimo wszelkich usiłowań, doktor pożeglował w kierunku północnego wschodu, wprost na górę Mendif; wysokie szczyty tych gór dzielą basen Nigru od łożyska jeziora Tschad.

Wkrótce ukazała się Bagele ze swoimi 18 wsiami. O 3-ciej godzinie "Victoria" znajdowała się naprzeciwko góry Mendif, musiano wznieść się ponad nią na wysokość 8000 stóp. Zimno było tak

przejmujące, że podróżni musieli okryć się kocami.

O godzinie 5-tej "Victoria" znalazła się ponad równiną, zarzucono kotwicę i łódź zbliżyła się do ziemi. Kennedy niebawem wyszedł, wzięwszy strzelbę do ręki. Wkrótce powrócił, niosąc tuzin dzikich kaczek i bekasów, z których Joe przygotował wieczerzę.

## ROZDZIAŁ XXIX

Rano 11-tego maja "Victoria" puściła się w dalszą drogę. Jak dotąd podróżnicy wyszli cało z szalejących orkanów, tropikalnych upałów i niebezpiecznych wylądowań. Fergusson mógł już teraz liczyć na wyborny swój statek powietrzny i przestał się niepokoić rezultatem podróży.

Przezorność nakazywała mu w tym kraju barbarzyństwa i fanatyzmu zachowywać wszelkie środki ostrożności i zalecił swoim towarzyszom baczenie zwracać uwagę na wszystko, co się wydarzyć może. Wiatr unosił ich znowu nieco na północ, około godziny 9-tej ujrzeli wielkie, wśród dwóch wysokich gór wzniesione miasto Mosfeja.

W tej chwili wjeżdżał tryumfalnie do miasta szejik z konną eskortą, odzianą w różnokolorowe szaty; trębacze i laufry odsuwali gałęzie, robiąc przejście pochodowi. Doktor spuścił balon, by przyjrzeć się z bliska tuziemcom. Ale ci, ujrawszy "Victorię", zaczęli w przestraszu uciekać. Tylko jeden szejik nie ruszył się z miejsca, nabił strzelbę i czekał.

Doktor zbliżył się doń na 150 stóp i przemówił, witając go w języku arabskim. Gdy do uszu szejika doszły te słowa, jakby z nieba pochodzące, padł na ziemię i doktorowi trudno było wyperswadować mu, ażeby powstał.

- Leży w naturze rzeczy - rzekł Fergusson - że ci ludzie uważają nas za nadziemskie istoty.

- Z cywilizacyjnego punktu widzenia - zauważył Dick - byłoby lepiej, gdybyśmy uchodzili za ludzi zwykłych, gdyż negrzy łatwiej by przyswoili sobie pojęcie o potędze Europejczyków.

- Masz słuszość, ale cóż na to poradzić. Choćbyś nie wiem jak tłumaczył mechanizm statku powietrznego, słowa twoje będą niezrozumiane i, gdy zobaczą ludzi w balonie, zawsze ich uważać będą za nadziemskie istoty. Mosfeja dawno już znikła z horyzontu i oczom podróżnych przedstawiła się teraz Mandara ze swoją zadziwiającą roślinnością. Ukazywały się tu bujne lasy akacjowe, rośliny głowiaste, bawełna i pola indygo. Rzeka Shari, wpadająca do Tschadu, rozlewała tutaj swe wody.

Kilka członów pływało po rzece; "Victoria", 1000 stóp oddalona od ziemi, nie zwracała uwagi tuziemców. Wiatr dotąd silny, uśmierzył się.

- Czybyśmy mieli raz jeszcze być narażeni na brak wiatru? - zapytał doktor.

- Nic by to nie szkodziło, panie Fergusson, nie brak nam wody i nie mamy czego obawiać się pustyni.

- Tak, ale za to dzikich plemion.

- Tam unosi się coś podobnego do miasta - meldował Joe.

- To Kernak. Ostatni powiew wiatru doprowadzi nas tam i będziemy mogli dokonać ścisłego zdjęcia miasta.

- Czy nie można by się zbliżyć jeszcze więcej? - zapytał Kennedy.

- Nic łatwiejszego nadto. Znajdujemy się prawie ponad miastem, zakręczę kurek dmuchawki i niebawem spuścimy się.

"Victoria" po upływie pół godziny zawisała na wysokości 200 stóp ponad ziemią. Można teraz było wyraźnie przyjrzeć się stolicy Loggum, było to istotnie miasto z szeregiem domów i dość szerokich ulic. Na jednym z placów odbywał się właśnie targ niewolników.

Na widok "Victorii" odegrała się często już obserwowana scena; rozległ się krzyk, a potem zapanowało najwyższe zdumienie. Wszyscy zebrani porzucili swe zajęcia i poczęli spoglądać w górę.

Nareszcie ustał hałas, podróżni przyglądali się z zajęciem miastu; balon opuścił się na 60 stóp od ziemi.

W tej chwili z domu swego wyszedł gubernator Loggumu, rozwinięto zieloną chorągiew i muzykanci zatrąbili rodzaj marsza. Tłumy zebrały się około gubernatora, Fergusson chciał

przemówić, ale daremnie, słowa jego nikły wśród wrzawy.

Ludność odznaczała się piękną budową ciała, miała wysokie czoła, kręcone włosy i orle nosy.

Obecność "Victorii" wywołała wielkie wrażenie wśród mieszkańców. Niebawem zauważyli podróżni, iż gromadzą się wojska gubernatora celem zwalczania wspólnego nieprzyjaciela.

Gubernator, otoczony swym dworem, nagle zalecił milczenie i przemówił do podróżnych w narzeczu arabskim Baghirmi.

Z mowy tej doktor nie wiele zrozumiał, z oddzielnych słów jednak pojął, że żądano, aby się oddalili. Żądaniu temu chętnie by Fergusson zadośćuczynił, ale przeszkadzał temu brak wiatru.

Nieruchomość balonu zaczęła gniewać gubernatora, a jego dworzanie przeraźliwie krzyczeli, chcąc tym zmusić zjawisko do ucieczki.

Ponieważ krzyk na nic się nie przydał, żołnierze ustawili się w pogotowiu wojennym i chcieli zaatakować balon, w tej jednak chwili powiał wiatr i "Victoria" spokojnie się uniosła.

Gubernator pochwycił strzelbę i skierował ją na balon, ale Kennedy, obserwując jego ruchy, zmiażdżył kulą swego karabinu broń, trzymaną przez gubernatora. Podczas tego nieoczekiwanego wypadku powstała ogólna ucieczka i miasto przez resztę dnia świeciło pustkami.

Zbliżała się noc, znów nastąpiła cisza w powietrzu i musiano zawisnąć w przestrzeni na wysokości 300 stóp od ziemi. Panował grobowy spokój. Doktor podwoił czujność, gdyż cisza mogła być tylko

pozorną, ukrywając jakąś zasadzkę.

Fergusson miał powody być ostrożnym. Około godziny 12-tej zdawało się, iż całe miasto stoi w płomieniach.

- Zdziwiające zjawisko - sądził doktor.

- Boże, opiekuj się nami! - zawołał Kennedy - ogień wznosi się, aby nas dosięgnąć.

W istocie masa płomieni wśród hałasu, wściekłych objawów gniewu i huku wystrzałów wznosiła się ku "Victorii".

Doktor niebawem znalazł wytłumaczenie tego zjawiska.

Przyczepiono do skrzydeł gołębi łatwo zapalny materiał i puszczono ptaki w kierunku balonu.

Przestraszone gołębie pofrunęły, rzucając w różne strony snopy płomieni. Kennedy strzelał do ptaków, ale na nic się to zdało wobec takiej masy. Ptaki już otaczały łódź i balon...

Doktor wyrzucił z łodzi kawał kruszcu i usunął się jak można najprędzej przed atakiem niebezpiecznych ptaków. Jeszcze przez parę godzin widziano, jak gołębie fruwały w różnych kierunkach, później zmniejszyła się ich liczba i na koniec zupełnie znikła.

- Teraz - rzekł doktor - możemy spać spokojnie.

## **ROZDZIAŁ XXX**

O godzinie 3-ciej z rana zauważył Joe, trzymający straż, jak znikało pod nimi miasto i że

"Victoria" podjęła swą podróż. Doktor i Kennedy przebudzili się.

Fergusson spojrział zaraz na kompas i stwierdził z zadowoleniem, że wiatr unosił balon w kierunku północnym i północno-wschodnim.

- Mamy dziś szczęście, wszystko nam sprzyja, być może, iż jeszcze odkryjemy jezioro Tschad.

- Czy jest ono bardzo długie? - pytał Kennedy.

- Ciągnie się na przestrzeni 120 mil.

- Będzie to zajmujące wznosić się ponad tym dywanem wodnym, urozmaici to nie mało naszą podróż.

- Zdaje mi się, że nie powinniśmy narzekać na brak urozmaień.

- W samej rzeczy, wyjąwszy braku wody w pustyni, nie groziło nam dotąd żadne poważne niebezpieczeństwo. Nasza odważna "Victoria" wybornie się zachowuje. Dziś mamy 12 maja, a 18 kwietnia wyruszyliśmy, jesteśmy zatem w drodze 25 dni. Jeszcze około 10 dni, a osiągniemy cel.

- Dokąd przybędziemy?

- Nie wiem i mało mi na tym zależy.

- Masz słuszość, pozostawmy Opatrzności starania, dotyczące kierowania balonem i opiekę nad nami.

Podróźni posuwali się prostą drogą biegiem Shari; cudowne brzegi tej rzeki nikły w cieniu rozmaitych drzew; mknęli przez bogaty w bujną roślinność okręg Maffatay i dosięgli nareszcie południowego brzegu jeziora Tschad. To było zatem Morze Kaspijskie Afryki, o którego istnieniu tak długo wątpiono, to międzymorze, dokąd dotarły tylko wyprawy Denhama i Bartha.

Doktór starał się zbadać obecne ukształtowanie jeziora, które różniło się od zaobserwowanego w roku 1847, ale wyrysować kartę jeziora Tschad jest niemożliwym ze względu na grząskie, nieprzebyte błota. Od roku do roku zamieniają się te trzęsawiska w wodę i powiększają w ten sposób jezioro. Położone nad brzegami miasta na wpół zostają zatopione, jak to miało miejsce w 1856 roku z Ngornu; teraz na tym samym miejscu igrają konie rzeczne i aligatory, gdzie niegdyś były mieszkania tuziemców.

Doktór chciał zbadać zawartość wody, którą uważano przez długie lata za słońą, a ponieważ bez obawy dla łodzi można się było zbliżyć do powierzchni wody, opuścili się więc nasi podróżni.

Joe zapuścił flaszkę i wyciągnął na wpół napełnioną wodą, która okazała się niezdatną do picia.

Podczas gdy Fergusson rezultat badania notował, w pobliżu rozległ się wystrzał. Kennedy nie mógł się powstrzymać, by nie puścić kuli na rzecznoego konia, który oddychał jednakże spokojnie i znikł tylko przestraszony hukiem wystrzału.

- Z harpunem łatwiej by go można pochwycić - zauważył Joe.

- Jak to?

- No, jedną z naszych kotwic.

- W istocie - zawołał Kennedy - Joe ma znów szczęśliwą myśl...

- Której proszę w czyn nie wprowadzać - dodał doktor - zwierzę pociągnęłoby nas tam, dokąd nikt by z nas nie chciał się dostać.

- Zwłaszcza teraz, kiedy zbadaliśmy zawartość wody w jeziorze. Czy można jeść tę rybę, panie doktorze?

- Co ty nazywasz rybą, jest zwierzęciem ssącym, mięso jego jest bardzo smacznoe; służy ono za przedmiot handlu wśród ludów zamieszkałych nad brzegami jeziora.

- Żałuję zatem, że strzał pana Kennedy chybił.



- Chcąc powalić rzeczno go konia, trzeba trafić go w brzuch albo w nogę, kula nie naruszyła go nawet. Jeśli tylko grunt okaże się korzystnym, będziemy mogli się zatrzymać na północnym brzegu jeziora, tam, Dicku, ujrzysz całą menażerię i będziesz mógł do woli strzelać.

- Chciałbym spróbować mięsa tego konia rzeczno go, przecież to wstyd dotrzeć do środkowego punktu Afryki i jeść tylko bekasy i kuropatwy jak w Londynie.

## ROZDZIAŁ XXXI

"Victoria" od chwili przybycia nad jezioro Tschad wpadła w prąd, który posuwał ją więcej na zachód.

Doktor, któremu na razie kierunek ten nie podobał się, pogodził się jednak z nim, gdy zauważył Kuke, stolicę Bornu. Miasto było otoczone murem, wznosiło się kilka pięknych meczetów wśród licznych domów, w stylu arabskim zbudowanych. Na podwórkach domów i placach publicznych rosły drzewa palmowe i kauczukowe.

Kuka składa się z dwóch różnych miast, oddzielonych jedno od drugiego przez "Dendal", bulwar długości 300 sążni, na którym właśnie znajdowali się liczni jeźdźcy i piesi. Po jednej stronie mieści się bogata część miasta z pięknymi budynkami, po drugiej zaś biedna z małymi, niskimi chatkami, w których wegetują nędzarze. Kuka nie zajmuje się ani handlem, ani przemysłem.

Podróżni nasi nie mogli szczegółowo przyjrzeć się miastu, gdyż powstał dość silny wiatr, który zagnał balon o 30 mil dalej, znów nad jezioro Tschad. Oczom ich przedstawił się nowy widok; mogli obserwować liczne wyspy, zamieszkane przez Biddiomahów, niebezpiecznych rozbójników morskich.

W tej chwili Joe skierował wzrok na horyzont i zwrócił się do Kennedy'ego.

- Panie Dicku, to będzie coś dla pana.

- Co takiego?

- Patrz pan, tam, to wielkie stado ptaków, dążące w naszym kierunku.

- Ptaki? - zapytał doktor i chwycił lunetę.

- Widzę - rzekł Kennedy - będzie około tuzina.

- Czternaście sztuk - powiedział Joe.

Fergusson, zdjęwszy lunetę z oczu, odezwał się:

- Wolałbym, aby ptaki te pofrunęły w inną stronę.

- Pan ich się obawiasz? - zapytał Joe.

- Są to sępy i jeżeli nas napadną...

- Potrafimy się obronić. Nie przypuszczam, aby ptaki te mogły być dla nas niebezpiecznymi.

- Kto wie - odpowiedział doktor.

Po upływie 10 minut stado zbliżyło się na odległość strzału. Czternaście ptaków napełniło powietrze przeraźliwym krzykiem, sunęły one prosto na balon, więcej podrażnione, niż zatrwożone obecnością "Victorii".

- Jak one krzyczą! - zawołał Joe - pewnie nie podoba im się, że tak fruujemy, jak i one.

- Wyglądają w samej rzeczy strasznie - rzekł strzelec - i uważałbym je za niebezpieczne, widząc je uzbrojonymi w karabin Purdey Moora.

- Nie potrzeba im karabinu - odpowiedział Fergusson z miną poważną.

Sępy opisywały w locie swoim olbrzymie koło, zbliżając się do "Victorii". Doktor coraz bardziej się niepokoił. Postanowił wznieść się wyżej celem uniknięcia niebezpiecznego sąsiedztwa. Balon wzniósł się niebawem, a sępy za nim, nie mając zamiaru uciekać.

- Widocznie chcą nas atakować - rzekł strzelec, nabijając strzelbę.

Ptaki w istocie zbliżyły się na odległość zaledwie 50 stóp i widocznie oczekiwały strzału.

- Mam ogromną ochotę strzelić.

- Nie, Dicku, nie drażnijmy bez powodu tych ptaków.

- Prędko się z nimi załatwię.

- Tym razem mylisz się.

- Mamy dla każdej bestii oddzielną kulę.

- A jak je dosięgniesz, gdy rzucą się na górną część balonu? Wyobraź sobie, że atakuje cię na lądzie masa lwów, lub na morzu stado wilków morskich. Dla aeronautów spotkanie z sępami jest tak samo niebezpieczne.

- Czy mówisz serio, Samuelu?

- Tak, Dicku.

- Więc czekajmy!

- Bądź gotów na wypadek ataku, ale nie strzelaj bez mojego rozkazu.

Ptaki trzymały się teraz razem w pewnym oddaleniu od balonu, można je było nazwać skrzydlatymi

wilkami morskimi.

- Towarzyszą nam - rzekł doktor, widząc jak uniosły się jednocześnie z balonem - daremnie było wznosić się wyżej.

- Co robić? - zapytał zafrasowany Kennedy.

Doktor milczał.

- Słuchaj, Samuelu - mówił dalej strzelec - jest ich 14, a my mamy do rozporządzenia 17 strzałów. Czy niema sposobu wytępienia ich lub rozproszenia? Biorę na siebie parę sztuk.

- Nie wątpię w twoją zręczność, Dicku, ale powtarzam, jeśli zaatakują górną część balonu, będziemy wobec nich bezbronnymi.

W tej chwili jeden z największych ptaków rzucił się na "Victorię".

- Ognia! ognia! - zawołał doktor i zaledwie wymówił te słowa, a ptak śmiertelnie ugodzony, zataczając się, runął.

Kennedy pochwycił parę strzałową strzelbę, Joe przygotowywał drugą.

Ptaki przestraszone wystrzałem, na chwilę się oddaliły, ale niebawem powróciły do ponownego ataku, Kennedy zmiażdżył kulą szyję najbliższego, Joe przestrzelił skrzydła drugiemu.

Ptaki teraz zmieniły taktykę, wzniosły się ponad "Victorię".

Doktor, pomimo znanej odwagi, zbladł. Nastąpiła straszna chwila. Niebawem rozległ się na powłoce jakby syk rozdzieranego jedwabiu i łódź zakołysała się pod nogami podróżnych.

- Jesteśmy zgubieni - zawołał Fergusson, rzuciwszy okiem na wznoszący się szybko barometr. Potem dodał: - Szybko wyrzucić balast! - Po upływie paru sekund znikły wszystkie kawały kruszcu.

- Wciąż spadamy!.. wypróżnijcie skrzynię z wodą, Joe, czy słyszysz? Spadamy do jeziora... -

Joe usłuchał rozkazu. Doktor wysunął się po za krawędź łodzi, znajdującej się od powierzchni Tschadu zaledwie o 200 stóp.

- Zapasy! zapasy! - wołał doktor.

Wyrzucono skrzynię z żywnością.

- Wyrzucajcie jeszcze! wyrzucajcie! - wołał znowu doktor. - Wszystko wyrzucone! -

odpowiedział Kennedy.

- Nie wszystko - rzekł lakonicznie Joe, wskazując na siebie i niebawem zniknął po za krawędzią

łodzi.

- Joe! Joe! - wołał doktor przerażony.

Ale Joe nie mógł go więcej słyszeć. "Victoria", pozbywszy się ciężaru, wzniosła się znów w powietrze na 1000 stóp i zagnana została na północne wybrzeże jeziora.

- Zginął! - szeptał zrozpaczony strzelec.

- Zginął, aby nas ocalić! - dodał Fergusson.

I łzy toczyły się z ocz tych nieustraszonych ludzi.

## ROZDZIAŁ XXXII

Z samego rana zbadali podróżni część wybrzeża, na którym wczoraj zarzucili kotwicę.

Przyjaciele nie mieli odwagi wspominać o nieszczęśliwym towarzyszu.

Nareszcie przemówił Kennedy.

- Joe może nie zginął, jest on bardzo zręczny i znakomicie pływa. Ujrzymy go znowu, ale tego nie wiem, gdzie mianowicie. Uczynimy wszystko, aby mu dać możliwość zbliżenia się do nas.

- Niechaj Bóg wysłucha twych słów, Dicku! - rzekł doktor wzruszony - zrobimy wszystko, aby odnaleźć naszego przyjaciela. Przede wszystkim usuńmy z "Victorii" na nic już nie przydatną zewnętrzną powłokę. Uwolnimy się od znacznego ciężaru, 650 funtów, a to się opłaci.

Dwaj towarzysze wzięli się do roboty, połączonej z wielkimi trudnościami; musiano bardzo mocną materię jedwabną zrywać po kawałku. Praca ta trwała 4 godziny, balon wewnętrzny nie został uszkodzony.

"Victoria" po zdjęciu powłoki znacznie się zmniejszyła, co wywołało wielkie zdziwienie ze strony Kennedy'ego.

- Nie obawiaj się Dicku, potrafię przywrócić równowagę i gdy nasz biedny Joe powróci, będzie mógł z nami znowu podróżować.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, to w chwili upadku znajdowaliśmy się niedaleko od jakiejś wyspy.

- Tak i mnie się zdaje, ale wyspa ta, jak i wszystkie inne Tschadu, niewątpliwie jest zamieszkała przez rozbójników morskich. Dzicy ci byli świadkami naszej katastrofy. Co się stanie z Joem, gdy wpadnie w ich ręce, o może przesady plemienia go ocalą?

- Joe będzie się umiał zręcznie wywinąć, ufam w jego spryt i przytomność umysłu.

- Ja także! Teraz Dicku możesz polować w okolicy, nie oddalając się zbyt, trzeba koniecznie

zgrupować zapasy żywności.

- Dobrze, pójdę i nie długo powrócę.

Liczne strzały, dolatujące niebawem do uszu doktora, stwierdzały, że polowanie będzie uwieńczone pomyślnym rezultatem. Doktor zajął się teraz sprawdzeniem przedmiotów znajdujących się w łodzi i przywróceniem równowagi drugiego balonu, na czym zeszedł mu dzień cały. Kennedy'emu polowanie się powiodło, przyniósł moc gęsi, dzikich kaczek, bekasów i t. p. i wziął się zaraz do wędzenia dziczy.

Nastał wieczór. Po spożyciu wieczerzy, złożonej z pemikanu i sucharów oraz wypiciu herbaty, ułożyli się na przemian do snu. Podczas czuwania każdemu się zdawało, że słyszy głos Joego

O świcie doktor obudził Kennedy'ego.

- Długo rozmyślałem nad tym, co mamy zrobić, aby odszukać naszego towarzysza.

- Zgadzą się na wszystko, coś postanowił, powiedz więc...

- Przede wszystkim powinien Joe otrzymać wiadomość od nas.

- To się rozumie, mógłby pomyśleć, żeśmy go opuścili...

- To niemożliwe, zna nas zbyt dobrze, aby podobne myśli mogły przyjść mu do głowy, pomimo to powinien się dowiedzieć, gdzie jesteśmy.

- Ale jakim sposobem?

- Zajmiemy znowu miejsca w łodzi i wzniesiemy się w powietrze.

- A gdy nas wiatr uniesie?

- Tego nie będzie. Wiatr posunie nas w kierunku jeziora, a okoliczność ta jest bardzo pomyślną. Przez cały dzień będziemy się wznosić nad tą olbrzymią powierzchnią wód. Joe może nas tam najłatwiej zauważyć, gdyż oczy jego będą wciąż ku górze zwrócone, a może mu się uda nas zawiadomić o miejscu swego pobytu.

- Jeżeli jest sam i wolny, nie omieszka tego uczynić.

- A nawet gdy jest uwięziony - dodał doktor - ujrzy nas zaraz i domyśli się celu naszych poszukiwań. Tuziemcy nie mają zwyczaju zamykać swych więźniów.

O 7-mej godzinie rano odczepiono kotwicę, "Victoria" wzniosła się w powietrze na 200 stóp i niebawem zagnaną została ponad jezioro, nad którym przebiegała z szybkością 20 mil na godzinę.

Doktor wznosił się i spuszczał z wysokości 500 do 200 stóp. Kennedy często strzelał.

Przybywszy ponad wyspy, przyjaciele spuszczaali balon i dokładne robili poszukiwania.

- Wszystko daremne! - rzekł z rozpaczą po upływie dwóch godzin Kennedy.

- Bądź cierpliwy, Dicku, nie powinniśmy tracić nadziei. Jesteśmy bardzo blisko od miejsca wypadku. Do godziny 11-tej "Victoria" przebyła około 90 mil, wpadła tylko w inny prąd, który gnał ją na wschód. Balon unosił się teraz nad wielką i gęsto zaludnioną wyspą, którą doktor poznał jako wyspę Farram ze stolicą Boddimahów. Lecz i tu nie natrafiono na żaden ślad Joego

Około godziny 3-ciej ujrano wioskę Tangalia, położoną na wschodnim brzegu Tschadu, był to krańcowy punkt, do którego doszedł podróżnik Denham. Doktor zaczął się niepokoić zmianą kierunku wiatru, który go mógł zagnać w nieprzejrzone puszcze środkowej Afryki.

- Musimy się teraz zatrzymać, a nawet wylądować; zwłaszcza w interesie Joego jest to konieczne, ażeby powrócić przez jezioro, należy tylko znaleźć przeciwny prąd wiatru.

Przez godzinę całą szukał doktor w rozmaitych strefach i na koniec na wysokości 1000 stóp natrafił na silny wiatr, który gnał balon na północny zachód.

Przekonano się teraz, że Joe nie znajdował się na wyspach jeziora, gdyż znalazłby środek stwierdzenia swej bytności.

- Może go na ląd uprowadzono - myślał doktor, spoglądając na północny brzeg Tschadu.

Około godziny 5-tej wieczorem Fergusson oznajmił miasto Lari. Silny wiatr gnał dalej balon, aniżeli pragnął tego doktor, ale teraz znów nastąpiła zmiana prądu i "Victoria" uniesioną została ściśle do tego samego punktu, gdzie wczoraj nocowano.

Z nadejściem nocy wiatr się uspokoił i dwaj przyjaciele czuwali w rozpaczliwym usposobieniu.

## **ROZDZIAŁ XXXIII**

O godzinie 3-ciej rano dął wiatr z taką siłą, że "Victoria" z trudem mogła się na ziemi utrzymać.

- Musimy się stąd oddalić - rzekł doktor - nie możemy tu dłużej pozostać.

- A Joe?

- Nie opuszczę go, stanowczo nie opuszczę, chociażby miał mnie orkan zagnać o sto mil stąd, powrócę. Ale gdy pozostaniemy tu, wszyscy się narazimy.

- Bez niego udać się w dalszą podróż! - zawołał żałośnie Szkot.

- Mój drogi, dla mnie jest to niemniej bolesne, ale musimy się poddać konieczności.

Odjazd jednakże był połączony z wielką trudnością. Głęboko zapuszczonej kotwicy pomimo

usiłowań, nie można było odczepić i Fergusson był zmuszony przeciąć linę. "Victoria"

wzniosła się od razu na 300 stóp i skierowała się bezpośrednio na północ.

Doktor nie mógł temu przeszkodzić i, założywszy ręce, pograżył się w ponurem rozmyślaniu.

Po upływie paru minut przemówił do Kennedy'ego w te słowa:

- Może źle zrobiliśmy, żeśmy się w taką podróż puścili?...

- Przed paru dniami uważaliśmy się za szczęśliwych, żeśmy uniknęli wielkiego niebezpieczeństwa - odpowiedział strzelec. - Biedny Joe, prawa natura, dobre serce! Jeżeli na chwilę dał się oślepić bogactwami, to jednak dobrowolnie poświęcił swe skarby. Teraz jest daleko od nas i wiatr unosi nas coraz dalej, ale my znów powrócimy, nieprawdaż?

- Tak, Dicku, nawet gdyby nam przyszło iść pieszo do jeziora Tschad i zetknąć się z sułtanem Bornu.

- Będę ci towarzyszył wszędzie - zapewniał z siłą strzelec. - Możesz na mnie liczyć! Joe poświęcił się dla nas, my poświęcimy się dla niego!

Postanowienie to dodało otuchy dwom przyjaciółom, czuli się silniejszymi dzięki wspólnej myśli.

Fergusson starał się znaleźć prąd przeciwny, który by mógł go zbliżyć znowu do jeziora, ale było to teraz niemożliwym ze względu na orkan, szalejący przeraźliwie.

"Victoria" przeleciała kraj Tibbusów, przecięła Belad-el-Dscherid i przybyła do morza piaszczystego; ostatni pas roślinności zniknął w oddali.

Balon sunął jak gwiazda ruchoma i w ciągu 3-ech godzin przebył 60 mil.

- Nie możemy się zatrzymać! nie możemy się spuścić! - wołał doktor. - Żadnego wzniesienia, ani jednego drzewa! Czyż, przebywszy pustynie, niebiosa sprzysięgły się przeciwko nam?

Tak mówił doktor w rozpaczy, nie mogąc powstrzymać pomimo wszelkich wysiłków biegu balonu. Orkan szalał straszliwie, Kennedy z rozwianym włosiem spoglądał nieruchomie, milcząc, a doktor, zdawało się, iż w tym groźnym niebezpieczeństwie odzyskiwał spokój i odwagę. Twarz jego była spokojna, nawet wówczas, gdy "Victoria", zakręciwszy się, nagle zawisła. Wiatr północny przeważał teraz i gnał obecnie balon w przeciwnym kierunku, ale z równie wielką szybkością.

- Dokąd dążymy? - pytał Dick zaniepokojony.

- Niechaj Opatrzność nami kieruje, kochany Dicku, nie należało nawet na chwilę w nią wątpić. Ona wie lepiej, co dla nas zbawienne i prowadzi obecnie do miejsc, których nie spodziewaliśmy się ujrzeć.

Do niedawna roztaczające się niziny zaczęły ustępować miejsca małym pagórkom; wiatr dał

jeszcze wciąż gwałtownie i "Victoria" sunęła w przestworzu nadzwyczaj szybko.

Droga, którą obecnie przebywali podróżni, była inną, zamiast brzegu Tschadu widziano wciąż pustynię. Kennedy zwrócił uwagę przyjaciela na tę okoliczność.

- To nic - uspokajał go doktor - najważniejszą jest dla nas rzeczą przybyć znowu na południe, prawdopodobnie ujrzymy miasto Wuddie lub Kuka i nie omieszkamy tam się zatrzymać.

- Zgadzam się z tym - odparł strzelec. - Niechaj nas tylko Pan Bóg strzeże od tego, abyśmy nie byli zmuszeni przejeżdżać pustyni. Zdaje mi się, że wiatr słabnie, kurz, unoszący się nad piaskiem, mniej gęsty i horyzont rozjaśnia się.

- Tym lepiej, trzeba uważnie śledzić przez lunetę, żaden punkt nie powinien ujść naszej uwagi.

- Ja się tym zajmę, Samuelu. Jak tylko się ukáže pierwsze drzewo, nie omieszkam ci zaraz o tym powiedzieć.

I Kennedy siadł z lunetą w ręku na krawędzi łodzi.

## **ROZDZIAŁ XXXIV**

Co się stało z Joem?

Gdy rzucił się do jeziora i wypłynął na powierzchnię, pierwszą jego czynnością było otworzyć oczy i spojrzeć w górę.

Zauważył, że "Victoria" znów wznosiła się wysoko ponad jeziorem. Balon stawał się coraz mniejszym, nareszcie objął go silny prąd północny i znikł niebawem po za horyzontem.

- Prawdziwe szczęście, że wpadł na tę myśl szczęśliwą, inaczej powziąłby ten zamiar pan Kennedy i nie wahałby się w czyn go wprowadzić, bo jest to bardzo naturalnym, że jeden człowiek poświęca się dla ocalenia dwóch innych.

Joe, uspokoiwszy się co do tego punktu, począł myśleć o sobie, znajdował się wśród niezmiernie jeziora, zamieszkanego przez nieznanne dzikie plemiona. Jeden z powodów więcej, aby się ratować bez użycia pomocy innych, a fakt ten wcale go nie przerażał.

Przed napadem tych ptaków, które wedle jego zdania zachowały się jak prawdziwe sępy, zauważył na horyzoncie wyspę. Postanowił zrzucić z siebie mniej potrzebne części ubrania i rozwinąć całą swą umiejętność pływania. Przechadzka wodna na przestrzeni 6-7 mil, nie utrudzała go zbyt i myślał teraz tylko o tym, ażeby prostą drogą dopłynąć do wyspy. Po upływie 1 1/2 godziny odległość, dzieląca go od wyspy, nie była zbyt znaczną, ale czym więcej zbliżał się do lądu, opanowywała go myśl, której pozbyć się nie mógł.

Wiedział on, że na brzegach tego jeziora znajdują się olbrzymie aligatory, których żarłoczność była mu znana. Odważny ten chłopiec przyzwyczał się do uważania wszystkiego na świecie za rzecz naturalną, ale do myśli o aligatorach nie mógł przywyknąć.



Znajdował się już bardzo blisko od brzegu ocienionego drzewami, gdy poczuł niezwykle zapach.

- Zupełnie tak, jak przewidywałem, krokodyl niedaleko. - Zanurzył się szybko, ale nie tak prędko, ażeby mógł wyminąć jakieś olbrzymie ciało, którego skóra pokryta łuską, nieprzyjemnie go dotykała. Myślał, że jest stracony i począł pływać z rozpaczliwą szybkością; wypłynął na powierzchnię i znów się zanurzył. Płynął jak można najostrożniej, gdy nagle poczuł, jak go pochwycono za rękę, a potem całego.

Biedny Joe! myślał ostatni jeszcze raz o swoich panach i rozpoczął rozpaczliwie się pasować, podczas czego wielce go dziwiło, że nie jest pociągany na dno. Wiedział dobrze, że krokodyle zdobycz swą ściągają na dno i dopiero tam ją połykają, on wszakże czuł, że go ciągną na powierzchnię. Otworzył oczy i ujrzał się wśród dwóch negrów, którzy go mocno trzymali, wydając przy tym dzikie okrzyki.

- Patrzcie, negrzy zamiast krokodyli! - zawołał zdumiony Joe - przekładam ich w każdym razie nad te bestie! Ale jak mogli ci hultaje używać tu kąpieli. - Nie wiedział, że mieszkańcy wysp jeziora Tschad zanurzali się w wodach, w których przebywają aligatory, nie troszcząc się wcale o ich obecność.

Ale czyż Joe nie wpadł z jednego niebezpieczeństwa w drugie? Ponieważ jednak nie miał innej rady, dał się uprowadzić na brzeg.

- Prawdopodobnie - myślał on - ludzie ci podziwiali "Victorię" jako zjawisko powietrzne, byli świadkami mego upadku i obejdą się ze mną z szacunkiem, przynależnym człowiekowi, który spadł z nieba.

Tak myślał Joe, gdy go przyprowadzono do brzegu, na którym zgromadziły się tłumy wszelakiej płci i różnego wieku, wydające przeraźliwe okrzyki.

Znajdował się wśród plemienia Biddiomahów, odznaczających się piękną czarną skórą jak heban. Nie potrzebował się wstydić swego ubioru, gdyż był "rozebrany" wedle najnowszej mody tego kraju.

Zanim zdążył zdać sobie sprawę z położenia swego, zauważył, że przyjmowano go z prawdziwą czcią. Uspokoilo go to nieco, chociaż przygoda w Kaseh stała mu żywo jeszcze w pamięci.

- Przypuszczam, że będę musiał zostać albo Bogiem, albo jakimś synem księżycy, niech się więc dzieje wola nieba kiedy inaczej być nie może. Najważniejszym jest zyskać na czasie.

Podczas gdy Joe tak rozmyślał, tłum otoczył go wkoło, padając przed nim na ziemię. Coraz bardziej oswajano się z jego widokiem i ofiarowano mu pyszną ucztę, złożoną ze zsiadłego mleka, miodu i tłuczonego ryżu. Odważny chłopiec spożył z apetytem podane mu jadlo. Gdy nastał wieczór, czarownicy wzięli ze czcią Joego za rękę i zaprowadzili do chaty pełnej amuletów. Zanim tam wszedł, spojrział bojaźliwie na masę kości leżących wokoło tego świętego miejsca. Gdy go zamknięto, zaczął rozmyślać nad swoim położeniem.

Podczas wieczora i części nocy słyszał uroczyste pieśni i prócz tego hałas, który dla uszu

afrykańskich był prawdopodobnie bardzo przyjemnym.

Uderzano w bębny i łomotano starem żelazem, tańczono i śpiewano chórem.

Joe mógł przez otwory, znajdujące się w ścianach, obserwować te uroczystości; o każdej innej porze przyglądanie się ceremoniom sprawiłoby mu przyjemność, lecz umysł jego trapiły poważne myśli. Chociaż skłonny był na obecne swe położenie zapatrywać się z dobrej strony, nie mógł jednak zaprzeczyć faktowi, że wpadł w ręce dzikiego plemienia, a fakt ten wystarczał, ażeby wywołać smutne myśli. Po kilku godzinach znużenie przemogło i Joe popadł w sen głęboki, który by trwał długo, gdyby nie zbudziła go wilgoć, roztaczająca się w chacie.

Wilgoć ta zmieniała się niebawem w masę wody, sięgającej mu do pasa.

- Co się stało? - zawołał - powódź! Prawdopodobnie nowa tortura tych przeklętych negrów, naprawdę, nie będę czekał, aż woda dojdzie mi po za głowę. - Rzekłszy to, poruszył silnie ścianami, które się rozpadły i znalazł się niebawem w pośrodku jeziora; wyspa przestała istnieć, znikła podczas nocy, miejsce jej zajęła daleka płaszczyna jeziora Tschad.

Jedno z częstych zjawisk na jeziorze Tschad uwolniło odważnego Joego Niejedna wyspa, która zdawała się posiadać moc skały, znikła w ten sposób.

Joe nie znał tych własności wysp Tschadu, ale nie omieszkał z nich skorzystać.

Wkrótce ujrzał barkę, do której się zbliżył, na szczęście znajdowało się w niej parę wiosł.

Umieściwszy się w niej wygodnie, szybko mknął po jeziorze.

- Trzeba się zorientować - mówił do siebie. - Gwiazda podbiegunowa mi dopomoże, zwykła ona wskazywać kierunek północny. Joe, ku wielkiemu zadowoleniu, niebawem się przekonał, że prąd gna go w kierunku północnego brzegu Tschadu. Około godziny 2-giej nad ranem natrafił na drzewo, które mu ofiarowało na swych gałęziach schronienie. Joe wdrapał się na nie i oczekiwał tam światła dziennego.

Gdy zaświtało, zaczął się przyglądać drzewu, na którym przesiedział i niezwykle widok nappełnił go strachem.

Gałęzie były pokryte węzami i kameleonami; można było mniemać, że jest to oryginalne drzewo, które zamiast owoców rodzi te osobliwe gady.

Przy pierwszych promieniach słońca zaczęły się te płazy ruszać, Joe przy towarzyszeniu syku i świstu szybko zesunął się na dół.

Skutkiem tej nocnej przygody postanowił odtąd ostrożniej postępować. Udał się w kierunku północno-wschodnim, omijając chaty, domy, doły i w ogóle wszystko, gdzie by mógł natrafić na ludzi.

Często zwracał wzrok w górę, wciąż spodziewał się ujrzeć "Victorię" i chociaż upatrywał

balonu przez dzień cały daremnie, nie tracił wiary w Fergussona. Potrzeba było silnej woli, ażeby znieść ze spokojem położenie w jakim się znajdował. Głód coraz bardziej mu dokuczał, gdyż pokarm, złożony z korzeni i owoców palmy, nie mógł go zaspokoić i dodać sił

do marszu 30-milowego, który właśnie odbył na zachód. Noc postanowił przepędzić na brzegu jeziora.

Tu znowu znosił wiele od ukąszeń rozmaitych obrzydliwych owadów; muchy, moskity itp.

robactwo, formalnie pokrywało ziemię. Po upływie dwóch godzin z resztek ubrania nic nie pozostało, owady wszystko zjadły.

Była to straszna noc, podczas której znużony wędrownik ani chwili nie mógł wypocząć.

Nareszcie nastał dzień; Joe szybko powstał i ujrzał ze wstrętem, że łożo jego dzieliła obrzydliwa ropucha, przyglądająca mu się obecnie dużymi, okrągłymi oczyma.

Przejął go wstręt nie do opisanania, ale otrząsnął się z niego niebawem, zanurzając się w wodzie.

Po kąpieli, która go orzeźwiła trochę, puścił się w dalszą drogę. Właściwie nie wiedział już co czynić, ale czuł w sobie jakąś siłę, przewyciężającą rozpacz.

Głód zaczął mu coraz bardziej dokuczać, dzięki obfitości wody miał przynajmniej czym gasić pragnienie i gdy przypominał sobie cierpienia na pustyni, uważał się obecnie za szczęśliwego.

- Gdzie może się obecnie znajdować "Victoria" - pytał sam siebie... - Wiatr dmie z północy!

Powinni byli wrócić na jezioro. Prawdopodobnie pan Samuel miał robotę koło przywrócenia równowagi, dzień wczorajszy na tym mu zszedł; dziś więc może...

Ale trzeba działać, jak gdybym go nie miał nigdy już zobaczyć. Jeżeli mi się uda dotrzeć na koniec do jednego z większych miast nad jeziorem, znajdę się położeniu podróżnych, o których opowiadał nam nasz pan. Dlaczego nie mam tak jak oni się wydostać? Niektórzy z nich powrócili do ojczyzny, czemu bym ja...

Dalej więc odważnie!

Podczas gdy Joe prowadził sam ze sobą rozmowę i wciąż dalej się posuwał, ujrzał niedaleko gromadę dzikich. W porę się jeszcze zatrzymał, ażeby nie być przez nich widzianym i spoglądał przez zarośla na ich czynności. Zajmowali się oni truciem strzał za pomocą soków wilczego mleka, główne to zajęcie plemion tych okolic.

Joe obawiał się poruszyć, wstrzymał w sobie oddech i ukrył się w gęstwinie. Nagle spojrzął w górę i ujrzał "Victorię"; tak, to była "Victoria", oddalona od niego zaledwie o 100 stóp.

W obecnej chwili było niemożliwym, aby z balonu go ujrzano, albo usłyszano.

Łza stoczyła mu się z oczu, ale nie rozpaczy, lecz wdzięczności. Pan jego poszukiwał go! Pan jego nie chciał go porzucić! Biedny chłopiec musiał teraz oczekiwać odejścia czarnych, aby móc wyjść z ukrycia i pobiec na brzeg Tschadu. "Victoria" w tej chwili znikła z horyzontu.

Joe postanowił na nią oczekiwać; niewątpliwie znowu powróci. W istocie balon ponownie się ukazał, ale ze strony więcej na wschód. Joe biegł i krzyczał... ale daremnie. Silny wiatr unosił szybko balon.

Po raz pierwszy opuściły nieszczęśliwego energia i nadzieja, uważał się za straconego; nie miał już odwagi rozmyślać nad swym położeniem, nad środkami ocalenia.

Szedł dalej przez dzień cały, a nawet i część nocy, pomimo że nogi jego broczyły we krwi, a ciało okryte było ranami. Oczekiwał chwili, gdy siły jego doszczętnie się wyczerpią i męki zakończą się śmiercią. Noc była ciemna, posuwał się z wolna coraz dalej, gdy nagle uczuł, że grunt zaczyna się chwiać pod nim; były to duże bagna, w które się zanurzył. Pomimo wszelkich usiłowań, zapadał się coraz głębiej.

- Więc to ma być śmierć! - myślał - a przy tym co za śmierć!

Z natężeniem wszystkich sił chciał się wydostać, ale wszelkie usiłowania na nic się nie przydały... Zamknął oczy i wołał:

- Mój panie! mój panie! Ratunku! ratunku!...

## **ROZDZIAŁ XXXV**

Od czasu, gdy Kennedy zajął miejsce obserwacyjne w łodzi, spoglądał bezustannie i uważnie na horyzont. Po pewnym czasie zwrócił się do doktora i rzekł:

- Jeśli się nie mylę, widzę tam zbiorowisko ludzi i zwierząt, wciąż się poruszających.

- A może to burza, która nas chce znów porwać na północ? - rzekł Fergusson, powstając w celu zbadania horyzontu.

- Nie przypuszczam, aby to miała być burza, to stado dzikich wołów lub gazeli.

- Być może Dicku, ale chwilowo jest ono oddalone od nas o 10 mil i nawet przez lunetę nie mogę dokładnie dojrzeć.

- W każdym razie nie stracę tego punktu z oczu, a zdaje mi się, że są to jeźdźcy! patrz...

Doktor uważnie się przyglądał wspomnianemu punktowi.

- Może masz słuszość, jest to oddział Arabów lub Talibasów, zachowują ten sam kierunek co i my, lecz my ich prześcigniemy, za pół godziny będziemy ich widzieli.

Kennedy chwycił ponownie lunetę i starał się zbadać szczegółowo, co to są za ludzie.

Jeźdźców można było dokładnie rozpoznać i nawet zauważyć, że garstka odłączyła się.

- Widocznie są to manewry lub polowanie - rzekł Kennedy. - Ci ludzie zdają się kogoś ścigać.

- Cierpliwości, Dicku, wkrótce dognamy ich, a nawet prześcigniemy. Robimy teraz więcej niż 20 mil na godzinę, żaden koń temu nie podoła. Po kilku minutach szczegółowej obserwacji, Kennedy znów zawołał:

- Jest około 50 Arabów, pędzących galopem, widzę ich dokładnie; teraz przywódca ich znajduje się na czele, oddalony o 100 kroków, a wszyscy podążają za nim. - Niechaj będą, kim chcą, nie mamy się czego obawiać, a w razie potrzeby wzniosę się wyżej.

- Czekaj Samuelu! czekaj! To dziwne - dodał po chwili - ci Arabowie mają wygląd, jakby ścigali kogo.

- Czy jesteś tego pewny?

- Tak, nie mylę się, polują, i to na człowieka. Jeden oddalony o 100 kroków, nie jest przywódcą, lecz zbiegiem.

- Zbiegiem - powtórzył Samuel - nie traćmy go z oczu, ale chwilę jeszcze czekajmy.

- Samuelu! Samuelu! - zawołał po chwili wzruszonym głosem.

- Co takiego? - Czy to złudzenie optyczne? czy to możliwe? To on, Samuelu, to on!

- On! - zawołał także Fergusson.

On! To słowo wystarczyło, nie trzeba było wymieniać imienia.

- On jest na koniu, zaledwie o 100 kroków od swych prześladowców! Ucieka!

- W istocie, to Joe - rzekł doktor, blednąc.

- W ucieczce nie może nas zauważyć!

- Wkrótce spostrzeże - dodał Fergusson.

- Jakim sposobem?

- Za pięć minut znajdziemy się o 15 stóp od ziemi, ponad nim.

- Za pomocą strzału zwrócę jego uwagę.

- Nie, tego nie trzeba robić, gdyż on nie może zawrócić, jest zupełnie odciętym.

- Cóż robić?

- Czekać!

- Czekać do chwili, gdy Arabowie go pochwycą?

- My ich uprzedzimy. Teraz jesteśmy od niego oddaleni zaledwie o 2 mile i gdy tylko koń Joego wytrzyma!...

- Wielki Boże! - krzyknął Kennedy. - Co się stało?

Kennedy wydał okrzyk przerażenia, gdy ujrzał, jak Joe spadł na ziemię; koń jego padł

widocznie znużony i zupełnie wyczerpany.

- On nas widział! - zawołał doktor radośnie; - gdy znów powstał i dosiadł konia, dawał nam znaki. - Ale Arabi go dościgną! dlaczego czekać?

Ach, ten odważny chłopiec, hura! - wykrzyknął strzelec, który nie mógł już opanować swej radości.

Joe natychmiast po upadku znowu powstał, a gdy potem doścignął go jeden z jeźdźców, jednym skokiem na stronę usunął mu się i jak pantera skoczył, chwycił Araba za gardło i udusił. Rzuciwszy trupa na ziemię, znowu począł pędzić dalej.

Krzyki przekleństwa i gniewu Arabów rozległy się w powietrzu, a ponieważ zajęci byli wyłącznie ściganiem zbiega, nie zauważyli wcale "Victorii", oddalonej od nich zaledwie o 50

kroków i unoszącej się ponad nimi na wysokości 30 stóp. Jeden z jeźdźców coraz więcej się zbliżał do Joego, zamierzając nań uderzyć dzidą.

Widząc to Kennedy, dał strzał, który Araba powalił na ziemię.

Joe na odgłos strzału nawet się nie odwrócił.

Część jeźdźców na widok "Victorii" stanęła, reszta jednak nie zaniechała pościgu.

- Co ten Joe robi? Dlaczego nie zatrzymuje się? - wołał Kennedy.

- Joe zachowuje się bardzo dobrze, odgadłem myśl jego, trzyma się w kierunku balonu i liczy na naszą pomoc!

- Uprowadzimy go z przed nosa tych Arabów.

- Teraz jest oddalony od nas zaledwie o 200 kroków.

- Co mam czynić? - pytał Kennedy.

- Przede wszystkim odłożyć strzelbę.

- Dobrze!

- Czy możesz utrzymać w ręku 150 funtów balastu?

- Jeszcze więcej!

- To wystarczy.

I doktor wręczył mu worki z piaskiem.

- Stój w głębi łodzi i bądź gotów wyrzucić balast za jednym zamachem! Ale błagam cię, czekaj chwili rozkazu!

"Victoria" wznosiła się teraz nad jeźdźcami, którzy ścigali Joego w galopie.

Doktor stał przy przedniej krawędzi łodzi i trzymał w ręku rozwiniętą drabinę, celem spuszczenia jej w odpowiedniej chwili.

Joe znajdował się w oddaleniu 50 kroków od swych prześladowców. "Victoria" znalazła się ponad tym miejscem.

- Bacność, Kennedy! Joe, uważaj! - krzyknął doktor, wyrzucając drabinę, której stopnie dotykały ziemi.

Joe odwrócił się i pochwycił drabinę, w tej samej chwili doktor rzekł do Kennedy'ego.

- Puszczaj!

- Stało się!

I "Victoria", pozbawiona ciężaru większego od wagi Joego, wzniosła się w powietrze na 150 stóp.

Joe trzymał się z całych sił drabiny i wdrapał się ze zręcznością kłowna cyrkowego do swych towarzyszy, którzy go przyjęli z otwartymi rękoma.

Arabi wydali okrzyk zdziwienia i gniewu, gdy im uprowadzono ofiarę.

Joe, dotarłszy do łodzi, zawołał:

- Panie doktorze, panie Dicku! - i zemdlał, podczas gdy Kennedy wciąż wykrzykiwał:

- Ocalony! ocalony!

Joe był prawie nagi, a ręce i nogi zakrwawione świadczyły o przebytych cierpieniach.

Doktor ułożył go starannie w namiocie, przewiązawszy rany.

Niebawem Joe odzyskał przytomność i zażądał kieliszka wódki. Po wypiciu jej odważny chłopiec uściśnął dłoń doktora i Kennedy'ego i oświadczył, że może opowiedzieć swoje przygody. Ale Fergusson nie pozwolił mu mówić i Joe pogrążył się w głębokim śnie, który wielce mu się przydał.

"Victoria" posuwała się dalej w kierunku zachodnim i pod wieczór przeszła 10-ty stopień długości.

## ROZDZIAŁ XXXVI

W nocy wiatr się uspokoił i "Victoria" zarzuciła kotwicę na wielkim sykomorze. Doktor i Kennedy na przemian czuwali, Joe zaś przespał 24 godzin z rzędu.

- Najlepsze to dla niego lekarstwo - rzekł Fergusson, natura sama przywróci mu siły.

Nazajutrz znów dał silny wiatr, zmieniał często kierunek, gnał "Victorię" na południe, później unosił na północ, wreszcie pognał w kierunku zachodnim. Doktor stwierdził królestwo Damerghu. Wkrótce ujrzano miasto Zinder, słynne swym placem kaźni; w środku tego placu wystawione jest "drzewo śmierci", kat znajduje się pod nim i wiesza każdego, kto się w cieniu usadowi.

Kennedy spojrział na kompas i zauważył, że znów kierują się na północ.

- Nic nie szkodzi, gdybyśmy tak do Timbaktu zajechali.

- Ale w lepszym zdrowiu - dodał Joe, ukazując swą dobroduszną twarz z poza zasłony namiotu.

- Otóż jest i nasz przyjaciel Joe, nasz zbawca! - zawołał Kennedy - jakże się czujesz?

- Zupełnie dobrze. Nic tak nie oczyszcza człowieka jak kąpiel w jeziorze Tschad, a później mała podróż dla przyjemności. Czy pan nie jesteś tego samego zdania? - Dobry z ciebie chłopak - odparł Fergusson, ściskając dłoń jego - jakeśmy się obawiali i niepokoiли o ciebie!

- A ja o panów, ale czy mi panowie uwierzycie, że o losy wasze byłem zupełnie spokojny.

- Nigdy się nie porozumiemy, jeżeli będziesz patrzył z tego punktu widzenia na rzeczy.

Twoje szlachetne poświęcenie ocaliło nas, mój chłopcze, gdyż inaczej "Victoria" wpadłaby do jeziora, z którego nikt nie zdołałby jej wyciągnąć.

- Jeśli pan czyn mój nazywasz poświęceniem, panie doktorze, to on mnie także ocalił, ponieważ jesteśmy teraz wszyscy trzej znowu razem. Nie mamy więc sobie wzajemnie nic do zawdzięczenia.

- Nie można dojść do ładu z tym chłopcem - rzekł strzelec.

- Najlepszym środkiem porozumienia będzie, gdy więcej o tej sprawie nie będziemy wspominali.

- Uparciuch z ciebie - rzekł wesoło doktor. Mógłbyś przynajmniej opowiedzieć nam swoje przygody.

- Jeżeli to pana zaciekawia, to i owszem, ale przedtem zjadłbym coś, gdyż jestem bardzo głodny i



widzę, że pan Dick o zapasach nie zapomniał.

Po spożyciu wędzonej gęsi i wypiciu herbaty, oraz grogu, Joe zaczął opowiadać znane już czytelnikom przygody, którym doktor i Kennedy przysłuchiwali się z wielkim zajęciem.

Podczas tego opowiadania przebył balon znaczną przestrzeń, Kennedy wskazywał na grupę domów, które robiły wrażenie miasta. Doktor, zajrzawszy do karty, oznajmił, że to targowisko Tagelel w Damerghu.

- Posuwamy się więc teraz prosto na północ? - pytał strzelec, śledząc na karcie kierunek

"Victorii".

- Tak.

- Czy cię to niepokoi?

- Dlaczego tak przypuszczasz?

- Ponieważ droga ta prowadzi przez Tripolis i przez wielką pustynię.

- Tak daleko nie zajedziemy, kochany Dicku.

- Gdzie zamierzasz się zatrzymać?

- Może w Timbuktu.

- W istocie - wmieszał się do rozmowy Joe - kto był w Afryce, powinien także widzieć Timbuktu.

- Będziesz piątym lub szóstym Europejczykiem, który zobaczy to tajemnicze miasto. Gdy przybędziemy do miejscowości, położonej między 17° i 18° szerokości, poszukamy korzystnego prądu, który nas zagna na zachód.

- Czy długo jeszcze będziemy podróżowali w kierunku północnym?

- Przynajmniej 150 mil.

- W takim razie położę się spać.

- Przyjemnych marzeń, panie Kennedy, odpocznij pan również, panie doktorze, na mnie teraz kolej czuwania.

Strzelec ułożył się w namiocie, a doktor pozostał na straży, twierdząc, że nie jest znużony.

Po upływie 3-ech godzin "Victoria" z nadzwyczajną szybkością przekroczyła kamienisty teren; wznosiły się tu góry, parę tysięcy stóp wysokie. Żyrafy, antylopy i strusie przelatywały w przepysznych lasach akacji, mimozy i palm; po nieznośnej pustyni, następowała w całej pełni

prześliczna roślinność kraju Kailuasów.

O godzinie 10-tej wieczorem "Victoria" po przebyciu 250 mil, zatrzymała się ponad znacznym miastem. Było to Aghades, niegdyś wielkie centrum handlowe.

"Victoria" nie została zauważoną, zarzuciła kotwicę w polu o 2 mile od miasta.

## ROZDZIAŁ XXXVII

Dzień 17-go maja przeszedł spokojnie bez żadnego wypadku; znowu ukazała się pustynia, wiatr unosił "Victorię" w kierunku południowo-zachodnim. Doktor przed wyruszeniem w drogę napełnił skrzynię świeżą wodą, nie chcąc zarzucać kotwicy w tych okolicach, nawiedzanych przez Tuaregów.

Po przebyciu drogi z Aghades do Mursuku, zrobiwszy 180 mil, znaleźli się niebawem nad bardzo jednostajnym krajem, położonym pod  $16^{\circ}$  szerokości i  $4^{\circ}55'$  długości. Ponieważ wiatr był pomyślny i księżyc świecił, doktor postanowił nie przerywać podróży, wznosił "Victorię"

do 500 stóp i ta sunęła spokojnie dalej. W niedzielę rano nastąpiła zmiana w kierunku wiatru, który gnał balon na północny zachód.

- Czy jesteśmy jeszcze daleko od wybrzeża? - pytał Joe.

- Od jakiego wybrzeża, mój chłopcze? - Czyż wiemy, gdzie nas przypadek zaprowadzi. Mogę ci tylko tyle powiedzieć, że stąd do Timbaktu jest jeszcze 400 mil.

- A ile czasu potrzeba, ażeby się tam dostać?

- Jeśli wiatr nas zbyt nie uniesie, przypuszczam, że przybędziemy tam we wtorek wieczorem.

Wieczorem tego dnia balon przebył  $2^{\circ}20'$  długości, a w nocy przekroczył jeszcze jeden stopień.

W poniedziałek nastąpiła zupełna zmiana powietrza, padał deszcz rzęsimy, w tych stronach bardzo częsty, natrafiono też na duże błota; roślinność składała się głównie z mimoz, baobabów i tamarindów.

Było to terytorium Sonary

- Wkrótce osiągniemy Nigru - rzekł doktor - krajobraz w pobliżu dużych rzek przybiera inne kształty.

W południe "Victoria" żeglowała ponad stolicą Gao.

- Rzeka Niger była już znaną w starożytności - opowiadał Fergusson - uważano ją za współzawodnika Nilu; tak samo, jak ten ostatni, Niger zwracał uwagę geografów wszystkich czasów, a zbadanie jego kosztowało również wiele ofiar.

Niger płynął wśród bardzo oddalonych pomiędzy sobą brzegów; wody jego z łoskotem toczyły się na

południe, ale podróżni nie mogli dokładnie śledzić jego biegu, gdyż wiatr szybko ich unosił.

- Chciałem wam opowiedzieć o tej rzece, a tymczasem zesłała już nam z oczu. Pod nazwą Dhiuleba, Mayo, Egghireu, Quorra, przepływa ona wielkie przestrzenie, pod względem długości prawie dorównywa Nilowi.

- Czy odkryto źródła Nigru? - pytał Joe.

- Od bardzo dawna, ale pochłonęło to wielką ilość ofiar.

Dnia tego doktor opowiadał swym towarzyszom szczegóły dotyczące okolicy, którą przebywali. Grunt płaski nie przeszkadzał dalszemu ich posuwaniu się, niepokoił Fergussona tylko silny wiatr północnowschodni, usuwający go z szerokości Timbaktu.

O godzinie 8-mej wieczorem "Victoria" przebyła przeszło 200 mil na zachód i oczom podróżnych przedstawiło się wspaniałe widowisko.

Promienie księżycowe, wydostawszy się z po za gęstych chmur, padły na łańcuch gór Hombori.

Niema nic piękniejszego nad te wierzchołki, które wyglądają jakby były z bazaltu; rysowały się w fantastycznych sylwetkach na ciemnym horyzoncie, można było wziąć je za bajeczne ruiny jakiego średniowiecznego miasta.

"Victoria" przyjęła teraz kierunek więcej na północ i 20-go rano przebiegała ponad siecią kanałów, strumieni i rzek, wpadających do Nigru.

Liczne kanały, pokryte gęstą trawą, robiły wrażenie łąk. Niger płynął tu pomiędzy dwoma brzegami, bogato zarosłymi w krucyfery i tamarindy.

Całe stada gazeli tarzały się w wysokiej trawie, a aligatory spokojnie na nie czatowały.

Liczne wielbłądy, naładowane towarami z Dschenna, stały w cieniu drzew. Wkrótce ukazał się przy zakręcie rzeki szereg niskich chatek; na dachach i tarasach leżała nagromadzona pasza.

- To Kabra! - zawołał radośnie doktor - port Timbaktu, miasto znajduje się w odległości 5 mil stąd.

W samej rzeczy po upływie dwóch godzin roztoczyła się przed oczyma naszych podróżnych królowa pustyni, tajemnicze Timbaktu.

Przy przesuwaniu się "Victorii" powstał w mieście ruch niezwykły, uderzono w bębny, ale zanim jakiś miejscowy uczoney mógł objaśnić cudowne zjawisko, balon, gnany silnym wiatrem, zniknął i znalazł się znów ponad rzeką.

- A zatem - rzekł doktor - niechaj nas niebiosy prowadzą, dokąd zechcą! - Aby tylko na zachód - dodał Kennedy.

- Gdyby nawet szło o to - odezwał się Joe - abyśmy wrócili tą samą drogą do Zanzibaru i przejechali ocean aż do Ameryki, wcale bym się tego nie obawiał.

- Ale tego nie będziemy mogli dokonać.

- Dlaczego?

- Nie starczyłoby nam gazu, mój chłopcze; poruszająca siła balonu widocznie się zmniejsza, będziemy musieli bardzo go oszczędzać, aby "Victoria" doniosła nas do wybrzeża. Będziemy nawet zmuszeni wyrzucić jeszcze sporo balastu.

Podczas nadchodzącej nocy doktor wyrzucił ostatni worek z ciężarem; "Victoria" wzniosła się, ale z trudnością utrzymała się w górze. Znajdowano się obecnie o 60 mil od Timbaktu, a następnego dnia podróżni nasi przebudzili się na brzegu Nigru, niedaleko jeziora Debo.

## **ROZDZIAŁ XXXVIII**

Szybkość "Victorii" wciąż wzrastała. Niestety balon skierował się więcej na południe i po kilku chwilach przekroczył jezioro Debo.

Fergusson poszukiwał w różnych strefach innego prądu atmosferycznego, ale daremnie.

Wreszcie zaniechał tych poszukiwań ze względu na utratę gazu. Doktor milczał, ale był

bardzo zaniepokojony. Uparty wiatr, który koniecznie chciał zagnać balon na południe Afryki, psuł mu wszelkie rachunki; nie wiedział już teraz na kogo, lub na co ma liczyć. Co się z nimi stanie, gdy dostaną się na wybrzeża Gwinei? Jak długo przyszloby im tam czekać na okręt, który by ich do Anglii zawiózł? Obecny prąd gnał balon do królestwa Dahomeyu i najdzikszych plemion, których król podczas publicznych uroczystości każe mordować tysiące ofiar.

Chwilami doktor miał nadzieję, że prąd ulegnie zmianie.

Nagle Joe zawołał:

- Patrzcie, chmura!

Doktor, spojrzawszy przez lunetę, zawołał:

- To nie chmura!

- Cóż więc takiego? - pytał zdziwiony Joe.

- Szarańcza, przeciągająca jak chmura.

- To ma być szarańcza?

- Biada tej okolicy, na którą się spuści, staje się ona pustynią, w 10 minut chmura ta nas dosięgnie.

Fergusson miał słuszość; gęsty, ciemny obłok, mający kilka mil długości, nadciągał z ogłuszającym szumem, rzucając potężny cień na powierzchnię ziemi i olbrzymia masa szarańczy rozłożyła się na zielonej łące, około 100 kroków od "Victorii".

Po kwadransie masa ta pofrunęła dalej, a podróżni ujrzeli drzewa ogołoczone z liści, łąkę zaś doszczętnie pozbawioną trawy.

- Jest to straszny deszcz, o wiele więcej szkodliwy, niż największy grad - zauważył Kennedy.

- Przy tym niema na szarańczę żadnego środka - dodał Fergusson - za zniszczenie, jakie wyrządza, daje jednak do pewnego stopnia wynagrodzenie, gdyż tuziemcy zbierają w znacznej ilości te owady, służące im za smaczną potrawę.

Pod wieczór okolica stawała się błotnistą, lasy nikły, ustępując miejsce pojedynczym drzewom; na brzegach rzeki ukazywały się plantacje tytoniu i różne rośliny pastewne. Na jednej z wysp podróżni ujrzeli miasto Dschena, prowadzące znaczny handel.

- Gdyby nie zwłoka w podróży - rzekł doktor - można by w tym mieście wysiąść, przebywa tu niewątpliwie niejeden Arab, który był we Francji lub Anglii i któremu nasz sposób podróżowania nie byłby obcy.

- Odłóżmy tę wizytę do czasu przyszłej wyprawy - śmiejąc się, zauważył Joe.

- Jeżeli się nie mylę, moi przyjaciele, wiatr zaczyna dąć ze wschodu, ze sposobności tej powinniśmy korzystać.

Doktor wyrzucił parę niepotrzebnych przedmiotów i udało mu się utrzymać "Victorię" w prądzie dlań pomyślnym. O godzinie 4-tej z rana pierwsze promienie słońca oświetliły Sego, stolicę Bambarra, miasto odznaczające się tym, że składa się z czterech oddzielnych miast.

Podróżni mogli tylko w przelocie widzieć meczety i ruchliwą ludność, dążącą z jednego miasta do drugiego.

Wiatr południowoschodni gnał ich za szybko, aby mogli bliżej przypatrzeć się tej stolicy, nie widzieli więc i nie byli widziani.

- Jeśli przez dwa dni następne tak szybko będziemy się posuwali, dotrzemy do Senegalu.

- Wówczas znajdziemy się w krajach zaprzyjaźnionych? - zapytał Kennedy.

- Jeszcze nie zupełnie, ach, gdyby "Victoria" mogła jeszcze przebyć paręset mil, przybylibyśmy bez zmęczenia aż do wybrzeża zachodniego.

- I wówczas podróż nasza będzie skończoną - rzekł Joe. - Gdyby nie chodziło o przyjemność opowiadania szczegółów z naszej podróży, nie wysiadałbym nigdy na ląd. Jak pan sądzisz, panie doktorze, czy nam uwierzą?

- Kto wie, kochany Joe, zaprzeczyć wszakże jednemu faktowi nikt nie będzie mógł, bo przecież mieliśmy tysiące świadków, że wyruszyliśmy z tamtej, a powracamy z tej strony Afryki.

## ROZDZIAŁ XXXIX

Dnia 27 maja okolica przedstawiała nowy widok. Ukazywały się z dala skały, zwiastujące bliskość gór. Fergusson wiedział o tym z opowiadań swych poprzedników. Ci ostatni narażeni byli na liczne niebezpieczeństwa wśród negrów tych okolic; większa część towarzyszy Mungo-Parka zginęła skutkiem niezdrowego klimatu. Doktor postanowił stanowczo nie wylądowywać tutaj, ale nie miał chwili spokoju. "Victoria" spadała widocznie; musiano ciągle wyrzucać różne przedmioty, zwłaszcza było to koniecznym przy przeprawie przez góry. Balon wciąż spadał, wężył się, ulegając jednocześnie wydłużeniu.

Kennedy zauważył ten objaw i w obawie zapytał doktora:

- Czy balon niema przypadkiem dziury?

- Nie - odpowiedział Fergusson - ale gutaperka widocznie skutkiem żaru rozmiękła lub stopniała, wodór widocznie się ulatnia.

- Czy nie można temu zaradzić?

- Nie, jedynym środkiem jest ulżenie łodzi, wyrzucmy wszystko, co tylko da się wyrzucić.

- Ale co wyrzucić? - zapytał Kennedy, spoglądając na prawie pustą łódź.

- Namiot, ciężar jego jest dość znaczny.

Joe wziął się zaraz do roboty, rozebrał namiot i wyrzucał części jego składowe.

Balon wzniósł się nieco, ale niebawem zauważano, że znowu spada.

- Poświęćmy wszystko, bez czego obejść się możemy, za żadną cenę nie chciałbym zarzucać kotwicy w tych okolicach. Lasy, przez które teraz przebywamy, są również niebezpieczne.

- Może znajdują się tam lwy, hieny? - zawołał pogardliwie Joe. - Gorzej jeszcze, mój chłopcze, bo ludzie najbardziej okrutni z całej Afryki.

- Skąd wiadomo o tym?

- Od podróżnych, którzy przed nami tu byli, jesteśmy niedaleko rzeki - mówił dalej doktor -

ale widzę już, że balon nasz przez nią się nie przeprawi.

- Gdybyśmy tylko dostali się na brzeg - mniemał strzelec - poradzilibyśmy sobie jakoś.

- Spróbujmy dotrzeć tam, niepokoi mnie tylko jedno.

- Co takiego?

- Musimy jeszcze przebyć góry, a będzie to trudnym, ponieważ siła wlotu balonu nie może być wzmocnioną.

- Biedna "Victoria" - żałośnie zawołał Joe; - polubiłem ją tak, jak marynarz swój okręt, trudno mi będzie z nią się rozstać. Wprawdzie nie jest już tak piękną, jak w chwili odjazdu, ale nie trzeba jej za to złorzeczyć.

- Bądź spokojny, Joe, balon opuścimy w ostatecznym tylko razie, będzie on nas jeszcze tak długo nosił, dopóki siła jego doszczętnie się nie wyczerpie. Pragnąłbym tylko, aby mógł wytrzymać jeszcze 24 godzin.

- Słabnie - rzekł Joe - chudnie, życie jego ulata, biedny balon!

- Jeśli się nie mylę, ukazują się teraz na horyzoncie góry, o których wspominałeś, Samuelu!

- Tak jest, wysokość ich zdaje się być znaczną, trudno nam będzie je przebyć.

- Czy nie można okrążyć?

- Nie sądzę.

Niebezpieczne przeszkody zbliżały się szybko, czyli mówiąc dokładniej, wiatr gnał "Victorię"

z nadzwyczajną szybkością na spiczaste skały; za każdą cenę balon powinien się wznieść ponad nie, nie chcąc ulec rozbiciu.

- Wypróżnić skrzynie z wodą - zarządził Fergusson, pozostawiając zapas wody na jeden dzień.

- Załatwione! - meldował Joe.

- Czy balon się wznosi? - pytał Kennedy.

- Zaledwie o 20 stóp - odpowiedział doktor, obserwując barometr, ale to nie wystarcza.

Ostro zakończone szczyty gór zbliżały się teraz do podróżnych, zdawało się, że chcą rzucić się na balon, który winien był wznieść się jeszcze o 500 stóp, aby je przebyć.

Wylano zapas wody z dmuchawki, zatrzymując tylko parę kwart, ale i to nie pomogło.

- A pomimo to wszystko musimy się dostać na drugą stronę! - oświadczył doktor.

- Wyrzucę próżne skrzynie? - zaproponował Kennedy.

- Wyrzuć!

- Smutne to - rzekł Joe - gdy trzeba tak pozbawiać się wszystkiego.

- Co się ciebie tyczy Joe, nie chcesz się znowu poświęcać, jakieś to już raz uczynił, przysięgnij mi, że się nie ruszysz z miejsca.

- Nie obawiaj się pan, panie doktorze, nie rozstaniemy się.

"Victoria" wzniosła się o jakie 20 sążni, ale szczyt góry sterczał jeszcze wysoko ponad nią.

- Za dziesięć minut łódź nasza zmiażdży się o górę, jeżeli nie przesuniemy się ponad nią - myślał Fergusson.

- Wyrzucić cały zapas mięsa, które jest ciężkie, zostawić tylko pemikan!

Balonowi ubyło znowu około 50 funtów ciężaru, widocznie się wzniosł, ale cóż to pomogło, góra wciąż była ponad nim. Położenie było straszne. "Victoria" sunęła z wielką szybkością; wiadano, że przy zetknięciu rozleci się w kawałki.

Doktor rozglądał się po łodzi, była ona zupełnie pusta.

- Będziesz musiał broń twą poświęcić, Dicku.

- Broń moją poświęcić? - zawołał wzruszony strzelec.

- Jeśli to jest koniecznym?

- Samuelu! Samuelu!

- To jedynie może nas ocalić!

- Zbliżamy się coraz więcej, coraz więcej! - krzyknął Joe.

Jeszcze o 10 sążni góra przewyższała "Victorię". Joe wyrzucił kołdry, a także parę worków ołowiu i prochu, nie mówiąc nic o tym Kennedy'emu.

Balon znów się wzniosł, przeszedł przez niebezpieczne miejsce, ale łódź znajdowała się jeszcze wciąż pod skałami, o które rozbić się musiała.

- Kennedy! Kennedy! - wołał doktor - wyrzuć broń, inaczej wszyscy zginiemy!

- Czekał pan, panie Dicku, czekaj! - wołał Joe.

I Kennedy, który odwrócił się na te słowa, ujrzał znikającego Joego

- Joe! Joe! - wołał.

- Nieszczęśliwy! - rzekł doktor.



Szczyt góry w tym miejscu posiadał około 20 stóp szerokości, na drugiej stronie zaś była pochyłość. Łódź właśnie przeszła na tę dość równą przestrzeń.

- Przesuniemy się! przebyliśmy szczęśliwie! - zawołał teraz ktoś, a na głos ten serce doktora drżało z radości.

Odważny chłopiec trzymał się rękoma o dolną krawędź łodzi, biegł pieszo po pochyłości, zmniejszając w ten sposób ciężar o swoją wagę.

Gdy balon przedostał się na drugą stronę i przed Joem ukazała się przepaść, wdrapał się zrećnie po linie i powrócił znów do łodzi.

- Kochany Joe! drogi przyjacielu! - mówił czule doń doktor.

- To, co obecnie uczyniłem, nie było dla pana, ale dla broni pana Kennedy'ego. Od czasu zajścia z Arabem byłem jego dłużnikiem, a ja zwykłem płacić długi; teraz jesteśmy skwitowani. - Rzekłszy to, wręczył strzelcowi jego broń ulubioną.

Kennedy uściskał dłoń Joego, nie wymówiwszy przy tym słowa.

Trzeba było, aby "Victoria" teraz wciąż spadała, co nie było trudnym, spadła niebawem na 200 stóp od ziemi i kołysała się zachowując równowagę.

- Poszukamy odpowiedniego miejsca na noc - rzekł doktor.

- Ach! więc nareszcie się zdecydowałeś? - zapytał Kennedy.

- Tak, długo myślałem nad pewnym planem, który obecnie w czyn wprowadzę.

- Szósta godzina, mamy zatem jeszcze dosyć czasu. Joe, wyrzuć kotwice.

Joe usłuchał rozkazu i wkrótce obydwie kotwice zawisły pod łodzią.

- Widzę duże lasy - dodał doktor - umocujemy balon do jakiegoś drzewa. Za nic na świecie nie chciałbym nocy przepędzić na ziemi.

- Więc wcale nie wsiądziemy? - pytał Kennedy.

- Na cóż by się to przydało? - powtarzam wam, że byłoby to niebezpiecznym, gdybyśmy się rozłączyli, nadto będziecie mi do potrzebni pewnej trudnej roboty.

"Victoria" przesuwała się ponad olbrzymimi lasami, nagle zatrzymała się, kotwice uwięzły. Z

nastaniem zmroku wiatr ustał, balon zawisł nad wielkim zielonym polem, utworzonym z liści wielkich sykomorów.

## ROZDZIAŁ XL

Fergusson przede wszystkim zajął się oznaczeniem miejscowości, znajdującej się zaledwie o 25 mil od Senegalu.

- Mamy jeszcze tylko przekroczyć rzekę, a ponieważ niema ani mostu, ani barki, musimy się dostać na drugą stronę balonem i w tym celu ponownie trzeba zmniejszyć ciężary.

- Nie wiem, czy to będzie już możliwym - rzekł strzelec w obawie o swą broń, chyba że jeden z nas się poświęci, a ja bym to chętnie uczynił.

- A czyż nie jestem do tego przyzwyczajony? - rzekł Joe.

- Tym razem nie chodzi o to, aby wyskoczyć, lecz dotrzeć do wybrzeży Afryki pieszo, umiem dobrze chodzić, przecież jestem strzelcem.

- Nigdy się na to nie zgodzę! - zawołał Joe.

- Sprzeczka wasza, moi odważni przyjaciele, jest bezpożyteczną - powiedział Fergusson -

przypuszczam, iż do tej ostateczności nie przyjdzie, a gdyby nawet przyjść miało, to wszyscy trzej razem przez ten kraj przejdziemy.

- O, to piękne słowo! - krzyknął Joe - mały spacer wcale nam nie zaszkodzi.

- Przedtem jednak jeszcze - dodał doktor - użyjemy ostatniego środka, ażeby ulżyć naszej

"Victorii", usuniemy wszystkie aparaty, ważące około 900 funtów.

- A w jaki sposób osiągniemy rozszerzenie gazu?

- Musimy się obejść bez tego.

- Ale...

- Posłuchajcie mnie, przyjaciele. Ściśle obliczyłem siłę poruszającą, wystarczy ona zupełnie, aby nas trzech wraz z nielicznymi, pozostałymi przedmiotami uniosła. Będziemy mieli zaledwie 500 funtów wagi, włączając obie kotwice, które zatrzymamy.

- Kochany Samuelu, znasz się na tych rzeczach lepiej od nas, ty tylko możesz położenie osądzić, powiedz, co mamy czynić, a będziemy posłuszni.

- Oczekuję rozkazów, panie doktorze! - rzekł Joe.

- Powtarzam wam, moi przyjaciele, że musimy poświęcić nasze aparat.

- Poświęćmy go! Do dzieła! - zawołał Kennedy i Joe.

Nie była to mała robota, lecz została nareszcie dokonana.

Kennedy i Joe byli tak zmęczeni, że nie mogli się na nogach utrzymać.

- Udajcie się na spoczynek, przyjaciele - rzekł Fergusson. - Będę czuwał do godziny 4-tej, a potem zastąpi mnie Kennedy. Joe będzie mógł czuwać przez następne dwie godziny, a potem wyruszymy w drogę. - Dwaj towarzysze doktora nie dali się prosić, rozłożyli się wkrótce i zasnęli.

Fergusson wśród samotności i ciszy nocnej pogрузił się w myślach. Po zwalczeniu tylu przeszkód i będąc już bliskim celu, obawy jego się wzmogły. Nie mógł się pozbyć myśli, że pomyślnemu ukończeniu podróży stają na drodze nieprzewyciężone przeszkody. Położenie obecne wśród barbarzyńskiego kraju, przy środku komunikacyjnym, mogącym w każdej chwili ulec uszkodzeniu, nie było uspokajającym

Doktor nie mógł już ufać i liczyć na swoją "Victorię", jak dawniej.

Wśród tych i tym podobnych myśli zdawało mu się, że słyszy szum w olbrzymich lasach, widzi pośród drzew migocące światła; spoglądał na dół, kierował lunetę na właściwe miejsce, ale nic nie mógł dojrzeć.

Fergusson przysłuchiwał się jeszcze raz, ale do uszu jego nie dochodził najmniejszy szmer, a ponieważ pora straży jego minęła, przebudził Kennedy'ego i polecił mu największą czujność.

Położył się potem obok Joego, śpiącego spokojnie i mocno. Kennedy zapalił fajkę i przecierał

oczy, które z trudem mógł otworzyć i usiadł na skraju łodzi. Oparł głowę na rękę i puszczał

gęste kłęby dymu, aby się nie dać zaskoczyć przez sen. Absolutna cisza panowała wokoło; liście drzew szeleściły, pod wpływem lekkiego wiatru łódź się poruszała, kołysząc do snu strzelca; z wielkim trudem otwierał kilkakrotnie oczy, spoglądał w ciemność i zdrzemnął się na koniec, nie mogąc oprzeć się znużeniu.

Jak długo tak leżał, nie wiedział, ale nagle zbudzony został przez dziwny trzask, otworzył

szeroko oczy i spojrzął.

Las stał w płomieniach!

- Pożar! pożar! - wołał, nie zdając sobie jeszcze sprawy z wypadku.

Dwaj jego towarzysze niebawem powstali.

- Co się stało? - pytał Fergusson.

- Pożar! - odpowiedział Joe.

W tej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk w miejscu, ponad którym się znajdowali.

- Ach, ci dzicy! - wołał Joe - podpalili las, ażeby nas żywcem upiec.

- Nie ulega wątpliwości, są to Talibasi!

- Uciekajmy! - zawołał Kennedy; - na ziemię, jedyny to sposób ratunku!

Ale Fergusson powstrzymał go ręką i silnym uderzeniem siekiery przeciął linę kotwiczną.

Płomienie już dosięgały balonu, lecz "Victoria", pozbawiona kajdanów, wzniosła się w przestworza przeszło na 1000 stóp.

Okrzyki i wystrzały rozległy się na dole w lesie, ale balon, gnany prądem porannym, poszybował w zachodnim kierunku. Była wtedy godzina 4-ta rano.

## **ROZDZIAŁ XLI**

- Gdybyśmy nie byli tak przezorni i nie zmniejszyli naszych ciężarów - rzekł doktor - zginęlibyśmy bezpowrotnie, udało nam się, ale jeszcze grożą nam niebezpieczeństwa.

- Czego się jeszcze obawiasz? - pytał Dick - "Victoria" bez twego pozwolenia nie może się spuścić, a nawet gdyby się spuściła...

- Gdyby się spuściła? Spójrz naokoło Dicku!

Przebyli właśnie brzeg lasu i ujrzeli 30-tu jeźdźców, uzbrojonych w piki i muszkiety. Na swych rącznych koniach galopowali w kierunku "Victorii", sunącej z nadzwyczajną szybkością.

Ujrzawszy podróżnych, jeźdźcy wydali przeraźliwy okrzyk i chwycili za broń; można było spostrzec gniew i groźbę na ich opalonych, dzikich twarzach.

- To są okrutni Talibasi - rzekł doktor - wolałbym być w lesie otoczonym przez dzikie zwierzęta, niż wpaść w ręce tych bandytów.

- W samej rzeczy nie budzą oni zaufania - dodał Joe - są to silne łotry.

- Patrzcie na te zburzone wsie, spalone chaty - mówił dalej doktor - to ich dzieło, tam, gdzie kiedyś były urodzajne pola, teraz jest pustka.

- Dobrze, że nas dosięgnąć nie mogą - powiedział Kennedy - jeśli nam się uda wrócić ponad rzekę, będziemy zupełnie bezpieczni.

- Tak jest, Dicku, ale nie wolno nam spadać - rzekł doktor, spoglądając na barometr.

- Na wszelki wypadek zrobimy dobrze, jeżeli broń naszą przygotujemy - powiedział Kennedy.

- To nigdy nie szkodzi, panie Dicku.

- Na jakiej znajdujemy się teraz wysokości? - pytał Kennedy.

- 750 stóp, ale nie możemy już za pomocą wznoszenia się, lub opadania, szukać pomyślnego wiatru, lecz musimy zdać się na łaskę i niełaskę balonu.

- To źle, wiatr jest umiarkowany - mruczał Kennedy - gdyby nas porwał orkan, szalejący przedtem, dawno bylibyśmy już stracili z oczu tych łotrów.

- Łajdaki, ścigają nas! - rzekł gniewnie Joe.

- Gdyby tylko strzał mógł ich dosięgnąć - zauważył strzelec - z największą przyjemnością wysadziłbym z siodła jednego po drugim.

- Byłoby to dobrze, ale wówczas bylibyśmy także oddaleni od nich na strzał i "Victoria"

stałaby się łatwym celem dla kul z muszkietów, a pomyśl, w jakim bylibyśmy położeniu, gdyby kule ich rozerwały balon.

Talibasi ścigali podróżnych przez całe przedpołudnie. Do godziny 11-tej z rana, balon przebył

zaledwie 15 mil na zachód. Doktor wciąż patrzył, szukając na horyzoncie chociażby jakiejś małej chmurki. Obawiał się wciąż zmiany powietrza. Coby się z nimi stało, gdyby rzuceni znów zostali nad Nigr? Nadto wiedział, że balon widocznie opadał; od chwili wzlotu spuścił

się przeszło na 300 stóp, a do Senegalu było co najmniej jeszcze 12 mil. Sądząc po szybkości, z jaką się posuwali, trzeba było 3-ech dni, aby się do tej miejscowości dostać.

W tej chwili nowe okrzyki zwróciły uwagę podróżnych. Talibasi przyspieszyli bieg swych rumaków.

Doktor spojrzął na barometr i zrozumiał natychmiast powód tych krzyków.

- Czy spadamy? - spytał Kennedy.

- Tak!

- Do licha! - zawołał Joe.

Po upływie kwadransa łódź była oddaloną od ziemi zaledwie na 150 stóp, ale wiatr zaczął dąć silniej. Talibasi powstrzymali szalony bieg swych koni i zaczęli strzelać.

- Daremny wasz trud, głupcy! - zawołał Joe, biorąc na cel jednego z najbardziej zawziętych jeźdźców

Talibas padł na miejscu, towarzysze jego na chwilę się zatrzymali.

- Jeżeli jeszcze będziemy spadali, wpadniemy w ich moc, musimy koniecznie wznieść się znowu wyżej.

- Wyrzuć resztę zapasów pemikanu, pozbędziemy się w ten sposób 30 funtów!

Joe wykonał bezzwłocznie rozkaz.

Łódź, która prawie dotykała ziemi, wzniosła się znowu wśród wściekłych okrzyków Talibasów; po upływie jednak godziny "Victoria" znowu zaczęła spadać i łódź niebawem znalazła się na ziemi.

Talibasi rzucili się na nią. Zaledwie jednak "Victoria" dotknęła ziemi, gdy znów, jak się to często zdarza w podróżyach napowietrznych, jednym skokiem wzniosła się, aby znów spaść o milę dalej.

- Więc nie ujdziemy im! - zawołał gniewnie Kennedy.

- Wyrzuć zapas wódki, Joe! - zawołał doktor - a także instrumenty, w ogóle wszystko, mające jakąkolwiek wagę, nawet ostatnią naszą kotwicę, konieczność tego wymaga!

Joe wyrzucił barometr i termometry, ale to nic nie znaczyło, balon, który się na chwilę podniósł, znów spadał; Talibasi przysuwali się coraz bliżej i byli odeń oddaleni zaledwie o 200 kroków.

- Wyrzuć obydwie strzelby - wołał doktor.

- Przynajmniej nie bez wystrzałów - rzekł strzelec.

I cztery strzały jeden po drugim padły w szeregi jeźdźców, czterech też Talibasów padło na ziemię, wydając wściekłe okrzyki.

"Victoria" znowu się wzniosła, skacząc, jak wielka elastyczna piłka, odskakująca od ziemi.

Oryginalny był widok, jak nasi nieszczęśliwi podróżni w olbrzymich skokach powietrznych usiłowali uciec, ale położenie to miało się wkrótce skończyć. Była godzina 12-ta, "Victoria"

słabła, opróżniała się coraz bardziej, przybierała coraz więcej kształt flaszki.

- Niebo nas opuszcza! - rzekł Kennedy - zginiemy!

Joe milcząco spoglądał na swego pana.

- Nie! - rzekł tenże z naciskiem - mamy jeszcze 150 funtów do wyrzucenia.

- A mianowicie? - pytał Kennedy, patrząc z niedowierzaniem na doktora.

- Łódź - odpowiedział doktor spokojnie. - Zawiesimy się w sieci, trzymając się sznurów, w ten sposób dotrzemy do rzeki. Prędko! prędko!

I odważni ci ludzie nie zwlekali z użyciem tego środka ocalenia. Joe trzymał się jedną ręką sieci, a drugą przeciął liny łodzi, która padła w tej samej chwili, kiedy balon ostatecznie paść zamierzał.

Talibasi pognali konie, biegły one w pełnym galopie, ale "Victoria", która znalazła teraz silniejszy

prąd wiatru, uciekła przed nimi i w szybkim biegu skierowała się do pagórka, położonego na zachód; była to pomyślna okoliczność dla podróżnych, że mogli się wznieść ponad nim, podczas gdy horda była zmuszoną skierować się więcej na północ, dla obejścia tegoż pagórka.

Gdy przebyli pagórek, doktor radośnie zawołał:

- Rzeka! rzeka! - Senegal!

W istocie dwie mile od nich rzeka płynęła szerokim korytem; przeciwległy, niski i urodzajny brzeg stanowił wyborne miejsce do wylądowania.

- Jeszcze 15 minut, a będziemy ocaleni! - zawołał Fergusson.

Ale stało się inaczej, pusty balon spadał coraz niżej na grunt, pozbawiony prawie wegetacji. Kilkakrotnie dotykała "Victoria" ziemi, ażeby się znów wznieść; skoki jej zmniejszały się zarówno pod względem wysokości, jako też przestrzeni, podczas ostatniego zahaczyła górną częścią sieci o wysokie gałęzie baobabu, jedyne, samotnego drzewa na tym pustkowiu.

- Stało się! - westchnął strzelec.

- I tylko o 100 kroków od rzeki - dodał Joe.

Trzej nieszczęśliwi wysiedli na ląd i doktor doprowadził swych towarzyszy do Senegalu.

Przybywszy na brzeg, Fergusson rozpoznał wodospad Guina, nie widać tu było żyjącej istoty, ani też barki.

Na pierwszy rzut oka przypuszczać należało, iż przebycie tej rzeki jest niemożliwym; ale doktor niebawem zawołał donośnym i energicznym głosem:

- Nie wszystko jeszcze stracone!

- Byłem tego pewny - rzekł Joe, spoglądając z zaufaniem na swego pana.

Widok zeschniętej trawy, którą ujrzał doktor, naprowadziło go na śmiałą myśl. Być może, iż tym sposobem można by się jeszcze uratować. Zaprowadził swych towarzyszy do osłony balonu.

- Jesteśmy od tej zgrai oddaleni jeszcze na godzinę drogi - rzekł Fergusson - nie traćmy czasu i zbierzmy wielką ilość zeschniętej trawy, potrzeba mi najmniej około 10 funtów tejże.

- Co z nią zrobisz? - pytał Kennedy.

- Nie mam już gazu, nie pozostaje mi więc nic innego, jak przebycie rzeki za pomocą ogrzanego powietrza.

- Ach, mój Samuelu, ty jesteś istotnie wielkim człowiekiem!

Joe i Kennedy zabrali się bezzwłocznie do dzieła i wkrótce nagromadzili duży stóg trawy obok baobabu. Nie wiele czasu było potrzeba do tego, aby nadać balon za pomocą ogrzanego powietrza.

Ogień utrzymywano starannie, dzięki obfitości trawy i "Victoria" zaczęła stopniowo nabierać poprzedniego wyglądu.

Była wówczas godzina 12-ta minut 45.

W tej chwili ukazała się w odległości 2-ch mil na południu banda Talibasów, słyszano wyraźnie ich krzyki.

- Za 20 minut będą tutaj! - rzekł Kennedy.

- Trawy! trawy! Za 10 minut będziemy wysoko w powietrzu!

Joe szybko dostarczył więcej paliwa. "Victoria" w 2/3 częściach była nadęta.

- A teraz umieścmy się tak samo, jak poprzednio.

Po upływie 10 minut kilka wstrząśnień zwiastowało, iż balon zamierza wznieść się.

Talibasi zbliżali się, oddaleni byli zaledwie o 500 kroków. - Trzymajcie się dobrze! - wołał

Fergusson.

- Nie obawiaj się, panie doktorze!

Balon był gotów do drogi, wzniósł się niebawem.

- Naprzód! - krzyknął Joe.

Ogień z muszkietów był mu odpowiedzią i jedna kula nawet otarła mu ramię. Wówczas Kennedy strzelił ze swego karabinu i powalił na ziemię jeszcze jednego nieprzyjaciela.

Okrzyki wściekłości, nie dające się opisać, towarzyszyły ucieczce balonu, który podniósł się do 800 stóp.

W 10 minut potem odważni podróżni zauważyli, że zbliżają się do drugiego brzegu.

Tam stała pełna zaciekawienia, obawy i wzruszenia grupa, złożona z 10-ciu ludzi. Ludzie ci mieli na sobie uniformy francuskie. Można sobie wyobrazić ich podziw, gdy zauważyli wznoszenie się balonu na drugim brzegu rzeki.

Żeby nie dowódca ich, porucznik marynarki, który z gazet wiedział o odważnej wyprawie doktora Fergussona i rzecz całą im wytłumaczył, byliby na pewno sądzili, że balon, to zjawisko nadziemskie.

Było wątpliwym, czy balon, który zaczął się zwięzać, dotrze do przeciwległego brzegu, to też



Francuzi wskoczyli do rzeki i pochwycili w objęcia trzech Anglików w chwili, gdy "Victoria" spadła o parę sążni od lewego brzegu Senegalu.

- Czy mam przyjemność widzieć doktora Fergussona? - zapytał porucznik.

- Tak, i dwóch jego towarzyszy - odpowiedział spokojnie doktor.

Francuzi wydobyli podróżników z rzeki; podczas gdy balon, porwany dzikim wirem, popłynął jak olbrzymi pęcherz, ażeby pograżyć się z wodami Senegalu w kataraktach Guiny.

- Biedna "Victoria"! - zawołał Joe.

## **ROZDZIAŁ XLII**

Wyprawa, która się znajdowała na brzegu Senegalu, była wysłaną przez gubernatora i składała się z dwóch oficerów, panów Dufraisse i Rodamel, jednego sierżanta i 7 żołnierzy.

Od dwóch dni zajmowali się oni szukaniem odpowiedniego miejsca, celem urządzenia posterunku w Guina.

Francuzi, którzy byli widzami zakończenia odważnej wyprawy, stali się świadkami Fergussona.

Doktor prosił też zaraz porucznika Dufraisse, aby urzędownie mu poświadczył przybycie jego do katarakt Guiny.

Anglików zaprowadzono do prowizorycznego posterunku nad brzegiem rzeki, gdzie znaleźli gościnne przyjęcie.

Tutaj spisany został protokół, który brzmiał jak następuje:

"My niżej podpisani oświadczamy, że: W dniu 24 maja 1862 roku byliśmy świadkami przybycia tutaj na balonie doktora Fergussona i dwóch jego towarzyszy, Ryszarda Kennedy'ego i Józefa Wilsona, przy czym balon, parę kroków od nas oddalony, wpadł do wody i uniesiony prądem rzeki, zatonął w kataraktach Guiny. Celem zaświadczenia niniejszego zeznania, podpisaliśmy ten protokół, mający służyć za dowód prawny.

Działo się nad kataraktami Guiny, 24 maja 1862 roku.

Podpisano:

Samuel Fergusson, Ryszard Kennedy, Józef Wilson, Dufraisse, Radamel, Flippeau, Mayor, Péliissier, Lorois, Rascagnet, Guillon i Lebel".

Tak zakończyła się zadziwiająca podróż doktora Fergussona i dzielnych jego towarzyszy.

W sobotę, 24-go maja, przybyli do Senegalu, a 27-go tegoż miesiąca znaleźli się w Medine,

miejsowości, położonej więcej na północ rzeki.

Oficerowie francuscy przyjęli ich tam z otwartymi rękoma. Stąd wsiedli podróżnicy nasi na mały parowiec "Basilic", który zawiózł ich do ujścia Senegalu.

W 10 dni później przybyli do Saint-Luis, gdzie gubernator zgotował im uroczyste przyjęcie, wreszcie na angielskiej fregacie przybyli 25-go tegoż miesiąca do Portsmouth, a następnego dnia stanęli w Londynie.

Chyba zbyt czcym byłoby opisywać zapał, z jakim witało Królewskie Towarzystwo Geograficzne naszych bohaterów, którym w udziale przypadły najrozmaitsze odznaczenia.

Kennedy wkrótce powrócił ze swym znakomitym karabinem do Edynburga, pilno mu było uspokoić swoją starą gospodynię.

Doktor Fergusson i Joe pozostali takimi samymi, jak ich znajdowaliśmy w podróży, bezwiednie jednak stosunek ich uległ zmianie, stali się przyjaciółmi.

Pisma całej Europy prześcigały się w wyrażeniu uznania dla odważnych podróżników, zwłaszcza "Daily Telegraph", który wydrukował opis całej podróży.

Doktor Fergusson miał na jednym z posiedzeń Królewskiego Towarzystwa Geograficznego odczyt o swej wyprawie i został nagrodzony złotym medalem zasługi, który przypadł także w udziale dwom jego towarzyszom.

Koniec